

WIELKIE SERIE SF

GWIEZDNE WOJNY™

LANDO CALRISSIAN
i MYŚLOHARFA SHARÓW



NEIL SMITH

L. NEIL SMITH

PRZYGODY LANDO CALRISSIANA I

**LANDO CALRISSIAN
I MYŚLOHARFA SHARÓW**

(Lando Calrissian and The Mindharp of Sharu)

Przekład
Andrzej Syrzycki



*Dedykuję tę książkę
Robertowi Shea i Robertowi Anionowi Wilsonowi*

PROLOG

- Sabak!

Panował nieprawdopodobny żar. Młody hazardzista rzucił karty-płytki na blat stolika. Później, nie okazując entuzjazmu, zgarnął to, co dzięki nim zyskał, a co stanowiło mizerny dodatek do równie mizernych sum, jakie udało mu się wygrać tego wieczora. Coś w okolicach mało przekonujących pięciuset kredytów.

Pomyślał, że może była to wina panującego żaru. A może tylko jego wyobraźni.

Ta przekłeta asteroida, Oseon Dwa Tysiące Siedemset Dziewięćdziesiąt Pięć, krążyła bliżej słońca niż inne skalne bryły, i może właśnie dlatego nie zapomniano o wyposażeniu jej we wszystkie konieczne urządzenia klimatyzacyjne i umilające życie, w jakie zaopatrzone pozostałe skały systemu Oseona. Pomimo to niemal czuło się bezlitosny słoneczny wicher, smagający jej zeschniętą i spękaną powierzchnię, czuło się promieniowanie, przesiąkające przez jej żelazowo-niklową skorupę, a także czuło się niepożądaną energię, wypromieniowywaną przez ściany każdego pomieszczenia.

Szczególnie tego.

Tubylcy chyba także to odczuwali. Przed mniej więcej dwiema godzinami, zanim karty rozdano po raz trzeci, niektórzy zaczęli sprawiać wrażenie, że bardzo chętnie zdjęliby wszystko z wyjątkiem krótkich spodenek i podkoszulków. Wyglądali na równie zmęczonych i przygnębionych, jak młody hazardzista, który właśnie pociągnął łyk płynu ze szklaneczki. Dobrze chociaż, że nie musiał zastanawiać się nad tym, co pije. Rzecz jasna, żaden z graczy ani myślał o piciu jakiegokolwiek trunku. Większość zadowalała się po prostu wodą z lodem.

W pewnej chwili kropelki wilgoci, perlące się na zewnętrznej stronie szklanki, złączyły się w większe krople i spłynęły po nadgarstku do wnętrza rękawa obszytego złotym galonem munduru.

Co za życie! Oseon Dwa Tysiące Siedemset Dziewięćdziesiąt Pięć wyglądał na oazę ubóstwa, kryjącą się w samym sercu raju plutokratów. Niegościnna asteroida, z której wnętrza wydobywano drogocenne minerały, okrążała podobne do rozpalonego pieca słońce. Po drodze przelatywała jednak przez gwiazdny system planetarny, w którym roiło się od kasyn, domów uciech, i ośrodków wczasowych. Z większości tych rozrywek korzystali tylko najbogatsi ludzie galaktyki, tacy jak wędrowni handlarze starzyzną.

W tej chwili jednak hazardzista żałował, że kiedykolwiek dowiedział się o tym miejscu. Tak to jest, pomyślał, kiedy polega się na zdaniu urzędników, zatrudnionych w kosmoporcie. Strużka potu ściekała mu po szyi i zniknęła za stojącym kołnierzem półoficjalnego munduru. Kto powiedział, że górnicy, wydobywający surowce z wnętrza asteroid, zawsze zaliczają się do bogaczy?

Nie mówiąc ani słowa, przetasował bardzo grubą talię raz, dwa, trzy razy, a potem jeszcze dwukrotnie. Miał wrażenie, że odprawia jakiś zawiły rytuał. Później podsunął karty spoconemu graczowi, siedzącemu po prawej stronie, aby ten niedbałym ruchem je przełożył, po czym zaczął rozdawać. Kiedy wszyscy otrzymali po dwie, uzbroidł się w cierpliwość i czekał, aż amatorzy obliczą liczby swoich punktów. Bez względu na to, czy było tak w istocie, czy tylko mu się wydawało, odnosił wrażenie, że panujący żar spowalniał ich procesy myślowe.

Wszyscy dołożyli stawki do tego, co już znajdowało się na stole. Nie była to fortuna dla nikogo - może z wyjątkiem obawiających się ubóstwa uczestników wieczornych konkursów matematycznych z rachunku prawdopodobieństwa. Jedynie oni mogli uważać,

że hazardzista jest kimś w rodzaju romantyka, zawodowego poszukiwacza przygód, który dysponuje własnym gwiazdnym statkiem i cieszy się opinią nieprawdopodobnego szczęściarza.

Młodzieniec ze smutkiem uświadomił sobie, że ci zaściankowi łowcy mikroskopijnych sum kredytów rozpaczliwie starają się wyrzucić na nim wrażenie. Musiał przyznać, że ich starania nie są całkiem bezowocne. Pomyślał, że jeżeli nadal gra potoczy się o tak małe stawki, będzie musiał wyjąć źródło zasilania z elektrycznej golarki i dołączyć je do pokładowego zasobnika energetycznego, tylko po to, aby móc wystartować z tej zapomnianej przez Jądro asteroidy.

Należałoby zacząć od tego, że gwiazdnego statku, którego był właścicielem, nie nabył za gotówkę. Po prostu wygrał go w czasie innej partii sabaka, zorganizowanej w gwiazdnym systemie, który odwiedził na krótko przedtem, zanim trafił na tę skalną bryłę. Musiał jednak zdobyć trochę gotówki, jeżeli zamierzał nim dokądkolwiek polecieć. Na razie wszystko wskazywało na to, że na wygraniu statku stracił, i to wcale nie małą.

Spojrząwszy na swoje karty, stwierdził, że dał sobie minus dziewięć punktów. Trzymał Równowagę i dwójkę szabel. Nawet w najkorzystniejszych okolicznościach nie było to nic szczególnego, ale sabak należał do losowych gier, w których szczęście mogło nagle uśmiechnąć się do gracza albo go opuścić, już w chwili najbliższej zmiany waloru pojedynczej karty. Albo nawet bez takiej zmiany... Z drżeniem serca obserwował, jak diabeł, który nigdy nie znieruchomiał na awersie karty, migocze, rozmazuje się i znika, by po chwili zamienić się w siódmkę klepek.

To dawało mu minus cztery punkty. Niewielki postęp, ale zawsze postęp. Przyjrząwszy się leżącej na blacie stolika puli, dołożył do niej żeton trzydziestokredytowy, nie zdecydował się jednak na podwyższenie stawki.

Zmiana, jakiej właśnie był świadkiem, oznaczała także, że poprzednia siódemka klepek, którą mógł dostać jakiś inny gracz albo która leżała spokojnie gdzieś w nie rozdanej części talii, przemieniła się w coś innego. Młody hazardzista spojrzał po kolei na zaczerwienione i spocone twarze pozostałych graczy, ale nie wyczytał z nich absolutnie niczego. Każda z siedemdziesięciu ośmiu kart-płytek zmieniała walor w losowo określanych chwilach, chyba że spoczywała nieruchomo, położona awersem do góry w obrębie płytkiego interferencyjnego pola pośrodku blatu stołu. Sabak zaliczał się zatem do gier dynamicznych i szarpiących nerwy.

Mimo to młodzieniec znajdował w niej spokój i odprężenie. Zazwyczaj.

- Proszę o kartę, kapitanie Calrissian.

Vett Fori, odziana w połataną i wypłowiałą drelichy uczestniczka gry, siedząca po lewej stronie hazardzisty, pracowała jako główna nadzorczyzna kopalni asteroidy. Była drobną kobietą w nieokreślonym wieku, sprawiającą wrażenie nieustępliwej. Mimo to na jej pobrużdżonej i wiecznie zmartwionej twarzy potrafił gościć zdumiewająco łagodny uśmiech. Grała o bardzo wysokie stawki - a przynajmniej wysokie dla pozostałych graczy - ale ciągle przegrywała. Najwyraźniej martwiło ją coś jeszcze oprócz nieznośności żaru. Na blacie stolika obok jej łokcia spoczywało nie zapalone cygaro.

- Proszę, mów mi Lando - odparł młody hazardzista, wręczając jej następną kartę-płytkę. - „Kapitan Calrissian” brzmi, jakbym był jednookim odszczepieńcem, dowódcą imperialnego pancernika. Tymczasem mój „Sokół Milenium” jest tylko niewielkim zmodyfikowanym frachtowcem i to w dodatku, jak sądzę, całkiem starym.

Mówiąc to, nie przestawał obserwować kobiety. Miał nadzieję, że jakiś gest albo grymas powie mu, jaką kartę dostała. Nic z tego.

Z przeciwnej strony stołu doleciał odgłos nosowego chichotu. Arun Feb, asystent pani nadzorczyzny, także otrzymał jedną kartę. Pośrodku zatłuszczonej kamizelki, na wystającym

brzuchu mężczyzny, widniała spora dziura, a pod pachami ciemniały wilgotne plamy. Tak jak jego przełożona, był szczupły i niewysoki. Wyglądało na to, że podobnie są zbudowani wszyscy górnicy. Drobną budową ciała stanowiła w tym zawodzie niewątpliwą zaletę. Asystent miał ciemną, gęstą, krótko przystryżoną brodę, ale czubek jego głowy zdobiła tylko błyszcząca różowa skóra. Zaciągał się raz po raz cygarem, a w chwili przerwy popatrzył na kartę i dołączył do dwóch, które dostał poprzednio.

Nagle Lando usłyszał dobrze znany okrzyk.

- Och, na miłość Obrzeży, nie mogę się zdecydować! Czy nie mógłby pan podejść do mnie, kapitanie Calrissian?

Lando jęknął w duchu. Podobne okrzyki słyszał niemal przez cały wieczór. Wydawał je ottdefa Osuna Whett, który pomimo okazywanego cały czas niezdecydowania, ciągle wygrywał.

Możliwe, że z jego strony była to świadoma taktyka, polegająca na nieustannym denierwowaniu innych graczy. Podobnie jak młody kapitan gwiazdowego statku, Whett także przebywał po raz pierwszy na Oseonie, ale w przeciwieństwie do Calrissiana cieszył się o wiele mniejszą sympatią pozostałych graczy.

- Żałuję, ottdefa. Wie pan, że to niemożliwe. Będzie pan chciał wziąć kartę, czy nie?

Na twarzy Whetta ukazał się wyraz podejrzanego skupienia. Możliwe, że właśnie taki wyraz przysparzał mu sławy podczas zajęć ze studentami. Lando dowiedział się, że słowo „ottdefa” było tytułem, związanym z działalnością dydaktyczną albo naukową. Oznaczało mniej więcej to samo, co „profesor”.

Posiadacz tego tytułu wyglądał jak wrzecionowate widmo. Był nieprawdopodobnie wysokim siwowłosym mężczyzną, obdarzonym piskliwym głosem i zdradzającym chroniczne niezdecydowanie. Zanim usiadł do gry, zmarnował dwadzieścia minut, aby zamówić coś do picia... tylko po to, aby zmienić zamówienie, kiedy szklaneczka z płynem pojawiła się na blacie stołu.

Lando nie żywił wobec niego ciepłych uczuć.

- Och, niech będzie. Jeżeli pan tak nalega, poproszę o tę kartę.

- Doskonale.

Lando spełnił jego prośbę. Pomyślał jednak, że albo pracownik uczelni potrafi zachować podczas gry minę pokerzysty, albo jest zbyt roztargniony, żeby zwrócić uwagę na to, czy jego sytuacja jest zła, czy dobra. Młody hazardzista popatrzył w prawo.

- Komisarzu Phuna?

Krępy, kędzierzawowłosy osiłek, do którego się odezwał, nazywał się T. Lund Phuna i pełnił obowiązki mianowanego przez Starszego Administratora Oseona stróża prawa. Najwidoczniej nie było to sprawiające najwięcej satysfakcji zajęcie. Przepocona, stanowiąca część munduru tunika, wisząca teraz na oparciu jego krzesła, była niemal tak samo znoszona jak robocze ubrania pozostałych graczy. Komisarz palił jednego papierosa po drugim, trzymając je w wilgotnych od potu, drżących palcach i wypełniając i tak duszne pomieszczenie kłębami cuchnącego dymu. Od czasu do czasu ocierał spocone policzki wilgotną chusteczką.

-Wystarczy. Dziękuję.

- Rozdający bierze jedną kartę.

Lando dostał Idiotę, wartego zero punktów. Zważywszy na okoliczności, uznał tę kartę za jak najbardziej odpowiednią. Żałował, że nie poleciał do systemu Deli, jak planował, tylko do Oseona. Nierzadko wygrywał większe sumy w obozach dla uchodźców.

Wszyscy gracze ponownie dołożyli do puli jakieś drobne żetony. Vett Fori poprosiła o jeszcze jedną, czwartą kartę. Podobnie uczynił jej asystent, Arun Feb, który sięgnął po nią, nie wypuszczając z palców niedopałka cygara. Ottdefa Whett zrezygnował. Lando

dał sobie Mistrza szabel, co podniosło wartość jego wszystkich kart do plus dziesięciu punktów. Później zaczęła się ostatnia kolejka dokładania żetonów do puli.

Arun Feb ukończył grę, mając dziewięć punktów, a jego przełożona Vett Fori - minus dziewięć. Policjant Phuna, nie zmieniając ponurego wyrazu twarzy, zwlekał chwilę z odpowiedzią. Na jego nalanych policzkach pojawiały się wciąż nowe krople potu. Lando miał już zrezygnować, kiedy Whett krzyknął głośno:

- Sabak!

Ottdefa rzucił na zniszczony blat stolika Panią klepek, czwórkę manierek i szóstkę monet, po czym zgarnął mizerną pulę.

- Ach... no cóż, nie kupię za to imperialnych klejnotów koronnych ani legendarnego skarbu z systemu Rafy, ale...

- Skarbu z systemu Rafy? - zainteresowała się Vett Fori. Może i dobrze, że się tym interesuje - pomyślał Lando. — Gra w karty nie przyniosła jej nic dobrego.

- Słyszałam o systemie Rafy - ciągnęła nadzorczyńni. - Wszyscy o nim słyszeli. Znajduje się przecież najbliżej naszego. Mimo to jeszcze nigdy nie mówiono mi o żadnym skarbie.

Pracownik uczelni cicho chrząknął. Dźwięk zabrzmiał dziwnie, jak gęganie.

- Skarb Rafy - albo skarb Sharów, jak musimy go teraz nazywać - nie z uwagi na system gwiazdny, w którym się znajduje, ale dla uczczenia prastarej rasy obcych istot, która kiedyś tam żyła, a później zaginęła, nie pozostawiając najmniejszego śladu - jest rzeczywiście czymś godnym wielkiej uwagi.

Ottdefa wypowiedział te słowa wystudiowanym, profesorskim tonem. Na poprzecinanej siecią zmarszczek twarzy Vett Fori - nie zdradzającej żadnych uczuć, kiedy chodziło o grę w karty - odmalowała się irytacja... zapewne wywołana tym, że ktoś ośmielił się potraktować ją tak protekcjonalnie. Nadzorczyńni sięgnęła po cygaro i umieściła je między zębami, po czym spiorunowała spojrzeniem goryczy, siedzących po przeciwległej stronie stołu.

- Bez śladu? - Arun Feb parsknął, jakby nie dawał wiary słowom naukowca. - Byłem tam, przyjacielu, i widziałem ruiny pozostawione przez... jak ich nazwałś? Sharów? Te gmachy są największymi cudami inżynierii budowlanej, jakie wzniesiono w całej znanej części galaktyki. Co więcej, pokrywają niemal każdy zakątek większy niż mój paznokieć. A mieszkańcy systemu...

- To nie są Sharowie, drogi przyjacielu - przerwał mu Whett w sposób nie znoszący sprzeciwu. W jego głosie brzmiało coś pośredniego między chęcią okazania się drobiazgowo dokładnym a urażoną dumą. - Po tamtych nie pozostało ani śladu. Dobrze o tym wiem, ponieważ aż do niedawna nowy gubernator systemu Rafy zatrudniał mnie w charakterze badacza antropologa.

- Czegóż mógłby chcieć urzędnik od nieszkodliwego antropologa? - zapytał ironicznie Feb.

Wypuścił ostatnie kółko dymu, po czym zgniótł cygaro o krawędź próżniowej popielniczki i sięgnął po szklanę, aby napić się wody. Kilka kropel, które pociekły po jego szyi, jeszcze bardziej zmoczyło kołnierz przepoconej koszuli.

- No cóż - odciął się ottdefa. - Przypuszczam, że pragnął się dokładnie zapoznać ze wszystkimi aspektami nowych obowiązków. Jak pan z całą pewnością dobrze wie, w systemie Rafy żyje rasa tubylczych człekokształtnych istot, których wszystkie praktyki religijne obracają się wokół legend o dawno zaginionych Sharach. A nowy gubernator jest bardzo sumiennym gościem. Doprawdy wyjątkowo sumiennym.

- No, dobrze - odezwał się Lando, zastanawiając się, czy antropolog kiedykolwiek zacznie rozdawać karty. - Wspominał pan o jakimś skarbie?

Whett zamrugał.

- Ależ tak, rzeczywiście wspominałem. - W oczach pracownika uczelni zapaliły się przebiegłe błyski. - Interesuje się pan skarbami, kapitanie?

Bardziej niż tą grą - pomyślał Lando. - Jaka szkoda, że nie poleciałem do systemu Deli. Zapewne kierowałem się tym, że o wiele łatwiej wylądować gwiazdowym statkiem na maleńkiej asteroidzie niż na ogromnej planecie. Kiedy tylko ta farsa się zakończy - bez względu na to, czy moją wygraną, czy przegraną - polecą tam, nawet gdyby astronawigacyjne obliczenia miały zająć mi dwadzieścia lat.

- Jak wszyscy inni - odparł obojętnym tonem. Wyciągnął z kieszeni munduru małe, niewiele większe od papierosa cygaro, po czym zapalił je i wypuścił obłoczek dymu. Skarb, hmmm? Może, mimo wszystko, jednak dowie się tu czegoś ciekawego.

- Niezupełnie wszyscy - poprawił go naukowiec, wreszcie zaczynając tasować siedemdziesięcioośmiokartową talią. - Jeżeli chodzi o mnie, moje zainteresowanie nie wykracza poza sprawy natury czysto naukowej. Cóż znaczą dla mnie skarby tego świata? Jedną dla pana, jedną dla pana, jedną dla pani, jedną dla pana, jedną dla mnie. Jedną dla pana, jedną dla pana, jedną dla pani...

- No cóż, a zatem przyleciał pan we właściwe miejsce! - parsknęła rubasznym śmiechem Vett Fori, sięgając po kartą. - Po co pan tu przylatywał, skoro nie interesuje się pan skarbami tego świata? O ile pamiętam, nie zamierzaliśmy zatrudniać żadnych antropologów. Komisarz Phuna zapalił następnego papierosa, po czym, nie kryjąc goryczy w głosie, powiedział:

- Żeby przekonać się, jak żyje druga połowa, oto po co! Kiedy wylądował, przeglądałem jego dokumenty. Interesuje się tym, jak żyją biedacy w systemie gwiazdowym, znanym z bogactw i luksusów. A jeżeli już mowa o bogactwach tego świata, otrzymuje za te badania spore sumy z imperialnej kasy. Jesteśmy dla niego okazami, a on...

- Proszę, proszę, drogi przyjacielu, niech się pan nie unosi. Zamierzam tylko wnieść skromny wkład w nasze zrozumienie wszechświata. A kto wie, może to, czego się tutaj dowiem, poprawi byt nie tylko wasz, ale także innych istot...

Vett Fori, Arun Feb i T. Lund Phuna powiedzieli niemal równocześnie, jak na rozkaz:

- Nie potrzebujemy żadnej łaski!

- Ale ja potrzebuję - odezwał się Lando, przerywając pełną zakłopotania ciszę, jaka zapadła po ich słowach. - Niech pan opowie mi coś więcej na temat tej historii ze skarbem. A kiedy pan będzie mówił, bardzo proszę dać mi jakąś kartę.

Na stoliku ponownie pojawiła się pula, a gracze zaczęli dostawać następne karty. Calrissian, który z uwagi na coraz niższe stawki stracił całe zainteresowanie grą, w roztargnieniu spoglądał, jak trzymane karty-płytki zmieniają walory i kolory. O wiele niecierpliwiej oczekiwał na to, co miał mu powiedzieć antropolog.

- Tokowie są prymitywnymi tubylcami, zamieszkującymi wszystkie planety systemu Rafy. Jak przed chwilą wspomniał, zresztą bardzo przekonująco, Feb, asystent pani nadzorczy, oni i obecni kolonizatorzy żyją razem pośród ruin, pozostawionych przez prastarą rasę Sharów. Ruiny są gigantycznymi budowlami i zajmują prawie każdy kilometr kwadratowy powierzchni nadających się do zamieszkania planet. Dokładam i podnoszę stawkę o sto kredytów.

Arun Feb pokręcił głową, ale zdjął z malejącego stosu parę pięćdziesięciokredytowych żetonów i dorzucił do puli. Vett Feri, nie kryjąc obrzydzenia, zrezygnowała z dalszej gry. Odłożyła nie zapalone cygaro z powrotem na skraj blatu stolika.

Komisarz Phuna podniósł stawkę o następne pięćdziesiąt kredytów.

- Taa, ale naprawdę ważnym szczegółem, jaki powinno się wymienić, kiedy wspomina się o systemie Rafy, są rosnące tam życiokryształy.

Wskazał niewielki klejnot, zawieszony na cienkim łańcuszku, który opasywał jego spoconą

szyję. Whett kiwnął głową.

- Może ważnym dla ciebie, drogi komisarzu. To prawda, życiosady i hodowane w nich życiokryształy są głównym źródłem zysków, jakie czerpią z eksportu tamtejsi koloniści, ale ja interesuję się - ponieważ zapłacono mi, żebym się interesował - legendami Toków, a szczególnie tymi, które są związane z Myśloharfą.

Spojrzawszy w karty, Lando przekonał się, że otrzymał Panią monet, trójkę klepek oraz czwórkę szabel. Dorzucił do puli wymaganą liczbę kredytowych żetonów i w tej samej chwili zauważył, że trójka zamienia się w piątkę manierek. Miał zatem dwadzieścia trzy punkty, które i tak uzyskałby, ponieważ trzymał piątkę. Każdy gracz mógł przecież przypisać piątkę dowolną liczbę punktów.

-Sabak!

Suma, którą zgarnął tym razem, przewyższała wszystkie inne, jakie wygrał kiedykolwiek tego wieczora.

- Myśloharfa? - powtórzył. - A co to takiego, na planety Jądra? Ottdefa Whett zmarszczył nos, a później podał resztą talii Calrissianowi.

- Och, to tylko śmieszny przesąd tamtejszych tubylców. Podobno istnieje ukryty magiczny przedmiot, zaprojektowany w taki sposób, aby można było wzywać nim zaginionych Sharów, z którymi Tokowie w dziwny sposób się utożsamiają. Podobno, kiedy zaistnieje taka potrzeba, mogą posłużyć się nim, żeby wezwać Sharów do powrotu. To śmieszne, ponieważ Tokowie nie mogli żyć w tym samym okresie, co przedstawiciele cywilizacji, która zaginęła przed milionami lat. To tak, jakby ktoś powiedział, że ludzie mogli żyć w tej samej epoce, co dinozaury...

- Widziałem dinozaury - wtrącił Arun Feb. - Kiedy przebywałem na Trammisie Trzy.

Ponieważ gigantyczne gadziny słynęły w całej galaktyce, wokół stołu odezwały się parsknięcia i chichoty.

- Rozumiem jednak, że ma pan na ten temat własną teorię - zaczął Lando, który potasował i rozdał karty, a potem przyglądał się, jak rośnie stos żetonów na blacie stolika. Wszystko wskazywało na to, że jeżeli nie liczyć Vett Fori i jej asystenta, rozmowa na temat skarbu skłoniła graczy do zwiększenia stawek. Młody hazardzista zaciągnął się cienkim cygarem.

- Czy nie zechciałby pan powiedzieć o tym coś więcej?

Antropolog sprawiał wrażenie, jakby nie miał nic przeciwko temu. Co więcej, chyba byłby nawet gotów to uczynić, stojąc boso na ogromnej płycie lodu i nie mogąc ugasić pożaru płonących, gęstych siwych włosów na głowie.

- No cóż, młodzieńcze, te ruiny nie tylko zajmują całą powierzchnię, ale są absolutnie niedostępne. Nigdzie nie widać żadnego wejścia ani wyjścia. Zaryzykowałbym twierdzenie, że wszystkie skarby, zgromadzone w ciągu miliona lat, kiedy żyła pośród nich zaawansowana pod względem cywilizacyjnym rasa obcych istot, czekają na pierwszego śmiałka, któremu uda się dotrzeć do środka budowli. Nie zdradzą tajemnicy, jeżeli wyznam, że ja sam próbowałem kilka razy dokonać tej sztuki. Ruiny są jednak nie tylko niedostępne, ale także twarde jak najszlachetniejszy kryształ. Kiedy ktoś usiłuje posługiwać się jakimkolwiek narzędziem albo formą energii, na powierzchni nie pozostają najmniejsze ślady. Dokładam i podnoszą o następne pięćset. Komisarzu?

Okazując najwyższą niechęć, policjant dorzucił żetony, warte pięćset kredytów. Lando spojrzał na pulę z niejakim zdziwieniem, po czym podniósł stawkę o dalsze sto kredytów.

- Sabak!

Hmmm. Sprawy zaczynały wyglądać coraz lepiej. Tego wieczora wygrał już dwa tysiące. Zaczął rozdawać karty po raz trzeci, zastanawiając się, jak mógłby poradzić sobie hazardzista, gdyby zdecydował się zamieszkać na którejś z planet systemu Rafy. Sam

pomysł uznał za kuszący. O ile dobrze obliczył, gdyby chciał dotrzeć do najbliższego większego kosmoportu - co oznaczało dla niego możliwość skorzystania z pomocy wykwalifikowanych inżynierów - musiałby przelecieć w prostej linii tylko kilka lat świetlnych. Jak dotąd, „Sokół Milenium” pozostawał dla niego całkowitą zagadką.

Gdyby nie był takim beznadziejnie niedoświadczonym astronawigatorem i mechanikiem, mógłby teraz grać w karty na którejś z planet systemu Deli. On jednak przeraził się długiej, skomplikowanej podróży i rzekomo zdradzieckiego podejścia do usytuowanego pośród gór łądowiska. I to mimo wiarygodnych pogłosek na temat możliwości gry o duże stawki w atmosferze sprzyjającej jego zawodowi.

Ale Rafa...

Wygrał w trzecim rozdaniu i w czwartym, dzięki czemu zasoby jego gotówki powiększyły się o jakieś pięć i pół tysiąca kredytów. Przyszłość zaczynała rysować się w coraz bardziej różowych barwach i nawet już nie tak bardzo dokuczało mu nieznośne gorąco.

- Hmm, niech pan posłucha, kapitanie Calrissian...

To znów ten Whett. Wszystko przemawiało za tym, że w miarę jak stawki w grze coraz bardziej rosły, antropolog pozostał jedyną osobą, która okazywała niesłabnące zainteresowanie prowadzoną bez ładu i składu rozmową.

- Słucham? - odparł Lando, który skończył tasować karty-płytki i zajął się rozdawaniem.

- No cóż... chodzi o to, proszę pana, że w tej chwili moja sytuacja finansowa wygląda cokolwiek nieciekawie. Widzi pan, przekroczyłem sumę, którą pozwoiliem sobie przeznaczyć na dzisiejszą wieczorną rozrywkę, i...

Lando rozparł się na krześle i nie kryjąc rozczarowania, zaciągnął się cienkim cygarem. Uświadomił sobie, że popełnił błąd, spodziewając się, że wygra od tego zmizerowanego profesora jakąś większą sumę.

- Zbyt wiele podróżują, żeby mógł pan być moim dłużnikiem, ottdafa - powiedział.

- Doskonale to rozumiem, proszę pana, i w związku z tym pragnąłbym... no cóż, jeżeli wolno zapytać, ile zechciałby pan mi zapłacić za wieloczynnościowego robota drugiej klasy?

- Rzeczywiście zapytać wolno - odparł spokojnie hazardzista. - Trzydzieści siedem mikrokredytów i wykorzystany bilet na przelot wahadłowcem. Nie handluję używanym żelastwem, drogi ottdafa.

Mimo to nie odrzucił zupełnie pomysłu, który przyszedł mu do głowy. Mógłby przecież wynająć androida-pilota, aby ten doprowadził jego statek do systemu Rify - czy dokądkolwiek indziej zechciałby nim polecieć. Zastanowił się głębiej nad propozycją. Robot drugiej klasy był wart sporo pieniędzy - może nawet połowę tego, co jego gwiazdny statek. W takich okolicznościach...

- No dobrze, niech będzie. Dam kilokredyt... i ani mikrokredyta więcej. Nie ma pan wyboru.

Profesor wyglądał na rozczarowanego i niezadowolonego. Otworzył usta, zapewne pragnąc sprzeczać się z Carlissianem, ale popatrzył na pełną determinacji twarz hazardzisty i szybko zmienił zdanie. Kiwnął głową.

- A zatem kilokredyt. W tej chwili robot i tak do niczego mi się nie przyda. Ostatnio korzystałem z jego usług podczas próby włamania się do wnętrza pozostawionych przez Sharów ruin, ale...

- Zechce pani wziąć kartę, pani nadzorczym? - przerwał potok jego wymowy Lando.

- Rezygnuję. Stawki w tej grze stały się dla mnie za wysokie, a poza tym za piętnaście minut zaczynam pracę.

To samo można było zresztą powiedzieć o jej asystencie. Oboje siedzieli obok siebie, z zadowoleniem obserwując, że nareszcie przegrywa ktoś inny.

W przeciwieństwie do nich Osuna Whett wykorzystywał pożyczony tysiąc, coraz bardziej podnosząc kolejne stawki. Zapewne przypuszczał, że w ten sposób zmusi hazardzistę do ustąpienia. Wiernie sekundował mu w tym komisarz Phuna. Stos żetonów na blacie stolika jednak jeszcze bardziej rósł i pęczniał, ponieważ Lando za każdym razem nie tylko dokładał, ale i podnosił stawkę. Miał już dosyć tej gry i chciał, żeby, tak czy owak, jak najszybciej się zakończyła.

Dobrał sobie dwójkę szabel i czwórkę monet, a później dodatkową kartę, w chwilą po tym, jak obaj przeciwnicy także otrzymali swoje. Nagle czwórka w jego palcach przemieniła się w trójkę manierek, a dodatkowa karta, którą była dziewiątka klepek, przeobraziła się w Idiotę.

- Sabak! - krzyknął Lando, ciesząc się z podwójnego szczęścia. Jeżeli miałby sądzić po wysokości stosu żetonów kredytowych przed nim i braku takich samych żetonów przed Whettem i Phuną, gra nareszcie dobiegła końca.

- Gdzie mógłbym odebrać tego androida, ottdefa? - zapytał, zwracając się do antropologa.

- Zamierzam go natychmiast zatrudnić w charakterze nawiga...

- Na Rafie Cztery, kapitanie. Pozostawiłem go tam w przechowalni, zamierzając albo sprzedać, albo kazać później odesłać... Bardzo proszę, niech się pan nie unosi gniewem! Oto dokument, potwierdzający prawo własności, a także pokwitowanie z urzędu podatkowego, podające jego rzeczywistą wartość. Może pan zabrać te dokumenty ze sobą albo wykorzystać na miejscu, żeby sprzedać go i dostać znacznie więcej niż ten tysiąc.

Lando wstał. W jego oczach zapłonęły na krótko - na bardzo krótko - iskry wściekłości. Pierwszą logiczną myślą, jaka przyszła mu do głowy, było to, że dał się oszukać jak naiwny amator. Jako druga pojawiła się myśl o niewielkim, ale bardzo skutecznym, ukrytym pod ozdobną szarfą pistolecie. Myśl, że mógłby zostać zabity albo trafić do więzienia na tej garści rozżarzonego żwiru, zaświtała dopiero jako trzecia.

Nie starczyło czasu, aby narodziła się czwarta.

- Spokojnie, synu! - powiedział komisarz, chwytając go za rękę. - Nie warto wszczynać awantury. Wszyscy tu jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. - Gestem wskazał dokumenty, które wciąż jeszcze trzymał Whett w wyciągniętej dłoni. - Ottdefa może wystawić ci weksel na sumę, stanowiącą równowartość... a co to takiego?

Lando poczuł, że coś małego, okrągłego i zimnego wsuwa się w głąb rękawa jego haftowanego munduru. Popatrzył w dół w tej samej chwili, kiedy Phuna udawał, że usiłuje wyjąć dziwny przedmiot. Jęknął. Zobaczył płaski, oszlifowany na krawędziach krążek o grubości mniej więcej centymetra i średnicy prawie czterech centymetrów. Dobrze wiedział, czym jest owo urządzenie, chociaż jeszcze nigdy w życiu takiego nie miał ani nie używał.

- Oszust! - wrzasnął oburzony komisarz Phuna. - Cały czas oszukiwał za pomocą tego krążka! Mógł zmieniać walory kart w taki sposób, by wygrywać, kiedy pragnął! Nic dziwnego...

Osuna Whett dziko warknął i postanowił wykorzystać minimalną siłę ciężenia, panującą we wnętrzu asteroidy. Nie zważając na stojący między nimi stół, rzucił się na Calrissiana. Wysoki, chudy pocisk zdążył jednak przelecieć tylko połowę drogi do celu, kiedy wokół jego głowy owinął się wybrudzony drelich, a po chwili wyładowała na nim koścista prawa pięść, należąca do Aruna Feba. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia, a z ust zdumionego antropologa wyrwał się stłumiony okrzyk.

- Wynoś się stąd, chłopcze! - krzyknął Feb. - Widziałem na własne oczy, jak Phuna wkładał ci to do rękawa!

Unosząc pięść nad głowę, stróż prawa rzucił się na asyenta pani nadzorczyńni. Wyglądało

jednak na to, że Vett Fori ma duże zaufanie do podwładnego - i wie, w jaki sposób poruszać się w pomieszczeniu, niemal pozbawionym siły ciężenia. Chwyciła najbliższy ciężki przedmiot - którym przypadkiem okazała się głowa uczonego antropologa - i pchnęła w bok tak silnie, że siwowłosa czaszka zderzyła się z głową zdumionego funkcjonariusza. Mężczyzna przewrócił oczami, po czym zwiotczał i powoli osunął się na podłogę. Wciąż trzymając Whetta za potylicę, Fori wyrwała plik oficjalnie wyglądających dokumentów z zaciśniętych palców nieprzytomnego naukowca.

- Weź je i zabieraj swój statek z systemu Oseona, Lando. Kiedy Phuna oprzytomnieje, spróbuję przemówić mu do rozumu. Może i jest łajdakiem, ale z pewnością nie szaleńcem. A poza tym, pracuje dla mnie.

To nie był pierwszy pospieszny odlot, którego młody kapitan doświadczył w swojej krótkiej, ale burzliwej karierze. Mimo to bardzo rzadko się zdarzało, żeby pomagali mu ci, którym przedtem zabrał pieniądze. W przelotnym odruchu wdzięczności -mimo iż wiedział, że później będzie tego żałował - uczynił ruch, jakby zamierzał rzucić wygraną na blat stołu, obok nieprzytomnego profesora.

- Ani mi się waż! - warknęła Vett Fori. - Czy rzeczywiście chcesz, żebyśmy pomyśleli, iż nie wygrałeś tego w uczciwej grze?

Stojący tuż za nią Arun Feb jeszcze raz uderzył w czaszkę przytomniejącego Phunę. Tym razem posłużył się wykonaną z nierdzewnej stali solidną karafką z wodą. Łup! Kiedy oderwał się do tego sprawiającego radość zajęcia, popatrzył na Calrissiana i kiwnął głową.

Lando wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Zanim, nie odzywając się słowem, przeszedł przez drzwi, pomachał na pożegnanie. Dwadzieścia minut później był już na pokładzie „Sokoła Milenium”, zajęty mocowaniem wypożyczonego w pośpiechu androida-pilota. Po następnych dziesięciu minutach znajdował się nad płaszczyzną ekliptyki, po czym zostawił za rufą system Oseona i skierował się ku Rafie. Pomyślał, że zapewne to ostatnie miejsce, w którym Whett może go poszukiwać.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

ROZDZIAŁ I

Nasunąwszy obszywaną złotym galonem czapkę pilota zawadiacko na jedno oko, beztrudno uśmiechnięty kapitan Lando Calrissian ruszył, aby zbiec po opuszczonej rampie nadświetlnego frachtowca „Sokół Milenium”... i boleśnie uderzył czołem o listwę, uszczelniającą luk statku.

- Au! Na Nieśmiertelnego!

Zatoczył się, ale w następnej chwili dyskretnie zerknął w prawo i lewo. Upewniwszy się, że nikt go nie widział, westchnął z ulgą. Czym, u czorta, było to coś, na co chciała zwrócić jego uwagę Kontrola Lotów?

Słowa, jakich użyli, zwracając się do niego, z pewnością nie należały do uprzejmych...

- „Sokół Em”, co za świństwo przyczepiło ci się do osłon dysz wylotowych silników, odbiór?

No cóż, mogli powiedzieć coś, co by go nie uraziło, a równocześnie stanowiłoby komentarz do amatorskiego sposobu pilotowania i osadzania statku na lądowisku Teguta Lusac. Sam przelot przez warstwy atmosfery również nie zaliczał się do czegoś, czym można było się pochwalić. Możliwe, że był hazardzistą; czasami nawet łajdakiem, ale najbardziej lubił uważać się za artystę--oszusta.

Z pewnością jednak nie zaliczał się do doświadczonych pilotów ani mechaników.

Zmarszczył czoło, przypomniał sobie sumę, jaką musiał zostawić za wypożyczenie tego androida-pilota, kiedy spieszył się, żeby odlecieć z Oseona. Niech spróbują mu go teraz odebrać!

Obszedł - tym razem bardzo ostrożnie - hydrauliczny podnośnik rampy i oddalił się na pewną odległość od niewielkiego zmodyfikowanego frachtowca (którego widok niezmiennie kojarzył mu się z opasłym podkowiastym magnesem), po czym odwrócił się i osłonił oczy przed blaskiem słońca.

Oslony dysz wylotowych silników... Oslony dysz wylotowych silników... Gdzie, u licha, mogą znajdować się te osłony?

- Iiiiik!

Okrzyk wydał Lando, a nie żadna z ohydnych, podobnych do skórzanych worów narośli, które przyczepiły się do kadłuba jego statku. Drżały teraz groteskowo i kłapały, kierując na niego złowieszcze żółte oczy. Z trudem trzymały się pazurami kadłuba, zapewne nienawykłe do panującej na Rafie Cztery siły ciężenia.

Dwie ohydne narośle, podobne do skórzanych worów.

Cztery!

Lando wbiegł po rampie tak szybko, jak potrafił, i jednym ruchem dłoni szarpnął dźwignię awaryjnego zamykania, a później popędził do sterowni. Fotel pilota, zazwyczaj ustawiony po lewej stronie, został chwilowo przeniesiony gdzie indziej. Jego miejsce zajmował przyśrubowany do pokładu android-pilot klasy piątej, idiotycznie mrugając kontrolnymi światłkami.

- Dobry wieczór, panie i panowie! - przywitał go android. Uśmiechnął się z afekcją, mimo iż przez iluminatory sterowni wpadało z zewnątrz jaskrawe dzienne światło. - Witajcie na pokładzie luksusowego jachtu „Arleen”, lecącego właśnie z Antypozy Dziewięć na...

Młody hazardzista warknął, nie na żarty zirytowany, po czym uderzył dłonią w przełącznik androida-pilota i rzucił się na stojący po prawej stronie fotel pilota. W tej samej chwili zauważył przez iluminator, że jedno z odrażających dziwacznych stworzeń zaczęło wędrować po zewnętrznej stronie. Przysysało się do powierzchni i plamiło ją śladami ściekającej z kłów jadowitej śliny.

- Kontrola Lotów? Posłuchajcie, Kontrola Lotów! Co to, do diabła, za stworzenia?

Nastąpiła długa, pełna oczekiwania cisza. Nagle Lando przypomniał sobie i powiedział:

- Ach, tak... Odbiór!

- To mynocki, ty wymuskany szczurze lądowy! Powinieneś być pozbyć się ich jeszcze na orbicie! Pogwałciłeś przepisy planetarnej kwarantanny i teraz musisz sam się nimi zająć. Nikt za ciebie nie oczyści...

Burknawszy coś pod nosem, Lando wyłączył komunikator. Jeżeli nie zamierzali mu pomóc, musi poradzić sobie sam. Mynocki... ach, tak, drapieżne, wszystkożerne stworzenia, umiające przeżyć w najniższych temperaturach i absolutnej próżni. Nazywano je czasami szczurami przestworzy. Zwierzęta przysysały się do kadłubów gwiazdnych statków, najczęściej wówczas, kiedy niczego nie świadomi kapitanowie przelatywali przez jakis pas asteroid.

A przecież system Oseona nie składał się z niczego innego oprócz asteroid!

Podróżując na gapę od systemu do systemu i od planety do planety, mynocki zazwyczaj...

Wielkie nieba! Podskoczył i ponownie uderzył głową, tym razem o umieszczony nad pulpitem sterowniczym panel z przepustnicami - co za idiotyczny pomysł miał projektant statku, żeby umieszczać go właśnie w takim miejscu! - po czym szybko, mimo iż lekko się zataczał, skierował się do przedziału silnikowego. Nagle przypomniał sobie jeszcze coś, co czytał albo słyszał na temat mynocków. Poddane działaniu siły ciężenia jakiegś

planety, stworzenia kurczyły się i szybko zdychały...

Przedtem jednak się rozmnażały.

Lando podszedł do jakiejś szafki i wyciągnął szczelny próżniowy skafander, a później rozejrzał się za złączkami i długim węzem, którym mógłby puścić parę. Kiedy wbił się w poplamiony smarami ubiór, natychmiast zorientował się, że wybrudzi jedwabny półoficjalny mundur! Mimo to przyłączył końcówkę węza do wylotu reaktora, otworzył jedną z górnych śluz i ciągnąc wąż za sobą, wygramolił się na kadłub.

Natychmiast zauważył wygłodniałego mynocka, zaniepokojonego zgrzytami i hukiem, których nie udało się uniknąć podczas otwierania klapy. Rozdęte worki rozrodcze stworzenia połyskiwały jak balony. Zwierzę miało około metra średnicy, skrzydła jak nietoperz, ogon (jeżeli naprawdę tak nazywała się ta część ciała) przypominający ogon trytona, a ociekające jadem kły niczym...

- Iiiiik!

Tym razem to był mynock. Zaczął pełznąć ku niemu, pomagając sobie okrągłą ssawką brzuszna. Lando pomyślał, że jedynymi stworzeniami, wyglądającymi brzydziej niż mynocki, są chyba tylko larwy, które dorastały na powierzchniach planet. W pewnej chwili mynock skoczył i spróbował dosięgnąć Calrissiana brzegiem skrzydła, zakończonym długim, ostrym pazurem. Nie wiedział jednak, że nieporadność, jaką okazywał Lando, poruszając się po wnętrzu statku, wynikała z niezajomości szczegółów konstrukcyjnych, a nie z zaniedbywania fizycznych ćwiczeń. Młody hazardzista obrócił wylot węza i skierował na potwora strumień płynącej z wymiennika ciepła „Sokoła” superprzegrzanej pary.

Stworzenie zaskrzeczało i zaczęło się wić. Kiedy jego ciało stopniało, ukazały się pełniące funkcję kośćca chrząstki. One także szybko się roztopiły i po chwili spłynęły po krzywiznie kadłuba statku. Pozostawiły podobną do galarety maź, której krople ściekały na asfalt lądowiska.

Nagle Lando usłyszał jakiś szmer, dobiegający zza pleców.

Mając na głowie hełm, nie mógł spojrzeć przez ramię, ale obrócił się błyskawicznie i wepchnął wylot węza w głąb rozwartej paszczy drugiego mynocka. Stworzenie zaczęło puchnąć i po prostu pękło. Nie kryjąc obrzydzenia, Lando skierował wylot węza na siebie, by usunąć z powierzchni skafandra resztki organicznej materii, a później z ponurą miną począł dalej, żeby zniszczyć następne pięć odrażających potworów.

- Dobra robota, asie! - usłyszał w głośniku hełmu rzuconą kpiącym tonem uwagę jednego z kontrolerów, kiedy przeciskał się przez otwór górnej śluzy. - Czy przypadkiem nie dostałeś instrukcji obsługi, kiedy kupowałeś tę kupę złomu, którą tutaj przyleciałeś?

Kupę złomu?

Jedyną kupą złomu w okolicy - pomyślał Lando, pocąc się we wnętrzu nieporęcznego skafandra, a później przykręcając klapę śluzy i chowając wąż i złączki - jest ten pozbowiony mózgu, wypożyczony android-pilot w sterowni. Hmmm. To nasunęło mu pewien pomysł.

- Halo, Kontrola Lotów - odezwał się uprzejmie, kiedy wrócił do sterowni, zaledwie kilka sekund po tym, jak wydostał się z plastikowego próżniowego ubioru. - Chciałbym, żebyście wiedzieli, że ten dzielny mały statek bardzo często pokonywał w rekordowo krótkim czasie odległość, dzielącą go od tej przereklamowanej grudy błota, na której wy siedzicie.

Może kiedyś. Tak przynajmniej utrzymywał jego poprzedni kapitan, zapewne starając się wywrzeć wrażenie, że pokiereszowany frachtowiec jest wart więcej niż w rzeczywistości. Miało to miejsce podczas gry w sabaka, w której były właściciel stawiał bardzo duże stawki i haniebnie przegrywał. Niestety, wypożyczony przez Landa android nie potrafił

wydusić z silników ani cząstki tak zachwalanej prędkości.

Możliwe, że była potrzebna znajomość jeszcze jakiejś innej tajemnej sztuczki.

- A przy okazji — ciągnął młody hazardzista - wygląda na to, że odkryłem u siebie prawdziwy talent do pilotowania tego statku. Czy ktoś z was nie chciałby kupić ode mnie prawie nie używanego androida-pilota? Odbiór!

- Słyszeliśmy już taką śpiewkę, „Es Milenium” - napłynęła odpowiedź kontrolera. - Ta wypożyczalnia na Oseonie ma zakaz otwierania u nas biura, ale to nie znaczy, że nie przysługują jej żadne prawa. Musisz odesłać im tego androida, i to pocztą ekspresową. Będzie cię to słono kosztowało. Koniec. Bez odbioru.

Nie było aż tak źle, jak się obawiał.

Odesłał pilota na Oseon normalną pocztą, ponieważ doszedł do wniosku, że i tak dotrze na miejsce przed upływem czasu, na jaki go wypożyczył. Zanim ukończył tę czynność - a także zajął się wypełnianiem wszystkich formularzy, niezbędnych przy pozostawianiu gwiazdowego statku w jakimkolwiek kosmoporcie planety, dla której słowo „cywilizowana” stanowiło oczywisty komplement- zapadły ciemności.

Lando pomyślał, że tego wieczora zazna odpoczynku.

Potrzebował go, podróżując w towarzystwie pomyłonego androida. Musiał rozpoznać teren - pod pojęciem tej czynności rozumiał odnalezienie potencjalnych miejsc, w których gromadzili się ludzie, oddający się czemuś, co inni w swojej głupocie uważali za gry losowe.

Jutro zajmie się interesami.

System Rafy słynął z trzech rzeczy: życiokryształów, specyficznych sadów, w których je zbierano, oraz czegoś, co można byłoby nazwać „ruinami”, gdyby nie fakt, iż pozostawione przez Sharów budowle znajdowały się nadal w idealnym stanie.

Same kryształy nie były niczym szczególnym - o ile nie uważało się czterokrotnego wydłużania spodziewanego czasu życia istot ludzkich za „coś szczególnego”. Osiągając rozmiary od główki szpilki do pięści dorosłego człowieka, życiokryształy wykazywały tę właściwość, że samo trzymanie ich blisko ciała podobno powiększało inteligencję (albo zapobiegało senilizmowi), a na niektórych wywierało dziwny wpływ, oddziałując na sny. Kryształy mogły być hodowane tylko na jedenastu planetach, krążących wokół nich księżycach i innych skalnych bryłach systemu Rafy, na których istniała atmosfera o odpowiedniej temperaturze i składzie.

Sława otaczająca życiokryształowe sady była podobna do tej, jaką cieszyły się kiedyś gilotyny, komory dezintegracyjne, narzędzia tortur czy krzesła elektryczne. Sady charakteryzowały się tym, że nie poddawały się automatyzacji. Zbieranie kryształów było możliwe jedynie w warunkach, które dawało się określić mianem najbardziej męczących i upadających. Mimo to całe przedsięwzięcie przynosiło spore zyski, ponieważ właściciele sadów dysponowali tanią siłą roboczą. A ściślej dwiema, jeżeli komuś zależałoby na tym, żeby być dokładnym: zamieszkującymi system Rafy i stanowiącymi rasę podludzi tubylcami oraz przestępcami i politycznymi wyrzutkami, których przysyłano tu z milionów innych gwiazdnych systemów.

Rafa była zatem, jeżeli nie wspominać o wielu innych charakterystycznych cechach, kolonią karną, w której kara dożywocia równała się nieuchronnej śmierci.

Tyle wiedział każdy dzieciak, uczący się w szkole na każdej cywilizowanej planecie. A przynajmniej ci stanowiący mniejszość uczniowie, którzy przedwcześnie zaczęli zwracać uwagę na niezdrowe szczegóły. Lando rozmyślał o tym wszystkim, przygotowując „Sokoła” do spędzenia nocy na płycie lądowiska. Kiedy skończył, przeszedł po wciąż jeszcze rozgrzanym asfalcie do płotu, ogradzającego cały kosmoport. Zamierzał skorzystać z jakiegokolwiek środka transportu, który pozwoliłby mu dotrzeć do Tegusa Lusta - stolicy

kolonii, zajmującej cały gwiazdny system.

Na samym skraju lądowiska ujrzał starożytnego, starożytnego i odzianego jedynie w coś, co na pierwszy rzut oka przypominało wystrzępioną przepaskę biodrową mężczyzny, który pochylał się nad równie wystrzępioną miotłą. Kiedy Lando przechodził obok niego, starzec na chwilę odwrócił głowę i obdarzył go niewidzącym spojrzeniem, a potem spuścił wzrok i powrócił do zmiatania, które polegało na kierowaniu zeschniętych liści i drobiny żwiru nie wiadomo dokąd.

Ukośnie padające promienie słońca uwypuklały łączące się pod dziwnymi kątami ściany wielobarwnych budowli, wzniesionych przez rasę obcych istot. Konstrukcje te widziało się dosłownie wszędzie, bez względu na to, w jakim kierunku ktoś zechciałby patrzeć. Można było zauważyć pośród nich piramidy, sześciany, cylindry, kule i ogromne eplipsoidy, przy czym każda powierzchnia miała inny odcień albo barwę. Najmniejsze spośród tych monumentalnych budowli były o wiele większe od najwyższych gmachów, wznoszonych przez inne istoty gdziekolwiek w znanej części galaktyki. To, co dawało się określić mianem miasta, leżało nieporadnie wciśnięte w wolne przestrzenie między gigantycznymi budowlami.

Spojrząwszy w górę, na usiane gwiazdami niebo, Lando beztrudno wskoczył na stopień odkrytego repulsorowego wehikułu. Miał na sobie prawie najlepsze atlasowe, niebieskie, podobne do wojskowych spodnie, wypuszczone na wysokie do kolan buty, sporządzone ze skóry bantha. Całości dopełniała uszyta z miękkiego materiału biała tunika o szerokich rękawach i czarna aksamitna kamizelka. Pod stylową szeroką szarfę Lando wcisnął wystarczającą ilość uniwersalnych kredytów, aby móc wziąć udział w jakiejś niezdrowej grze losowej, a także miniaturowy pięciopalcowy paralizator, który był jedyną bronią, na jaką pozwalał sobie, kiedy siadał do stolika. Z krótkiego, ale niezwykle bogatego doświadczenia wiedział, że ci, którzy przystępowali do gry, kryjąc w zanadrzach większe pistolety, z reguły bardziej polegali na nich niż na własnym rozumie.

Korzystając z tego, że w wehikule nie było innych pasażerów, rozparł się na fotelu, ustawionym bokiem do kierunku jazdy. Ruch na ulicy był niewielki i tylko od czasu do czasu widywał pojazdy kołowe, poduszkowce czy przemieszczające się za pomocą repulsorów śmigacze. Za to na osobliwych fałszywych chodnikach, jakie ciągnęły się przed wzniesionymi przez kolonistów domami, widział całkiem sporo przechodniów. Wielu przypominało do złudzenia owego starożytnego mężczyznę, którego zauważył w kosmoporcie. Możliwe, że byli to więźniowie, którzy odbyli karę i zostali zwolnieni. W końcu wehikuł dotarł do śródmieścia Teguta Lusat. Lando zapłacił pełniącemu obowiązki konduktora androidowi, po czym wysiadł, pragnąc rozprostować nogi.

Kolonie założono na przypominającym wielkie mrowisko wzgórz, w wolnych miejscach pomiędzy prastarymi, sztucznie usypanymi górami. Wszystkie starania, jakie poczyniono, aby upiększyć osadę (a nie było ich bardzo wiele) wyglądały ponuro w porównaniu z wielobarwnymi wieżami. Ulice były bardzo wąskie i skręcały pod dziwnymi kątami. Zbudowane przez istoty ludzkie domy, biurowce i sklepy wyglądały jak okruchy rzucone pod stopy gigantów, wzniesionych przez obcą rasę.

Lando skierował się w stronę baru, który sprawiał wrażenie najmniej obscurnego. Zastał w nim, jak niemal wszędzie, taki sam tłum spragnionych gości.

- Rozgląda się pan za jakimś ładunkiem, kapitanie? Mechaniczny barman, zatrudniony w „Odpoczynku Astronauty”, wycierał właśnie jakąś szklanę. W przyćmionym blasku źródeł światła połyskiwały łagodnie butelki i pojemniki, zawierające trunki z setki światów. Garstka gości - niewielka, jako że zbliżała się pora kolacji, a przeważająca większość obywateli Czwórki wolała spędzać ten czas w rodzinnym gronie - napełniała bezpretensjonalne wnętrza równie bezpretensjonalnym gwarem niezrozumiałych

rozmów.

Lando pokręcił głową.

- Wielka szkoda, kapitanie. Co w takim razie mógłbym panu podać?

- Coś palącego - odrzekł Lando, ciesząc się w duchu jak dziecko, że ktoś rozpoznał w nim gwiazdnego podróżnika. Zaintrygował go jednak pesymizm, przebijający z głosu automatu. To była przecież świetnie prosperująca kolonia, mogąca się poszczycić znakomitymi i stale poprawiającymi się wskaźnikami eksportu.

- Retse, jeżeli masz - dodał po chwili.

W kącie pomieszczenia zauważył kogoś, kto mógł być takim samym, bardziej niż skąpo odzianym starcem, pochylającym się nad taką samą starą miotłą.

- Już się robi, kapitanie.

Nastąpiło zręczne manipulowanie szklankami. Lando odwrócił się, oparł łokcie na kontuarze i spojrzawszy przez ramię na barmana, zapytał cicho:

- Gdzie mógłby jakiś gość znaleźć miejsce, w którym dzieje się coś ciekawego?

Nadał głosowi akcent, charakteryzujący miejscowych kolonistów. Wiedział, że jeżeli przyjeżdża do zapadłej wioski, musi mówić z akcentem bardziej wiejskim niż ten, którym mówią wieśniacy. Gdyby zdradził się, iż pochodzi z cywilizowanego świata, mógłby odstraszyć potencjalnych graczy, dysponujących naprawdę dużymi sumami.

- Przed chwilą przyleciałem z Oseona i mam wolny wieczór.

- Jak bardzo wolny? - Mechaniczne oko spojrzało na Calrissiana, jakby chciało ocenić, co reprezentuje sobą nowy przybysz. - Mamy tu Spelunkę Rosie; nieco dalej na tej samej ulicy. U Rosie jest zupełnie przyzwrotna rewia. Wyjdiesz stąd i skręcisz, kiedy zobaczysz taki wielki czerwony neon...

Lando pokręcił głową.

- Może później. Teraz interesuje mnie jakaś gra... Może sabak? Chłopcy u mnie w domu mówili, że jestem w tym całkiem dobry.

Automat, nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy, zaczął udawać, że się zastanawia. Po chwili odezwał się szeptycznym tonem:

- No cóż, szanowny panie, chyba sobie nie przypominę. Lando zapłacił natychmiast dwa razy tyle niż to, co zazwyczaj należało się za szklankę retsy.

- Chyba coś wiem na temat jakiejś gry - ciągnął android. - Wie pan, moje obwody pamięciowe nie są ostatnio tak sprawne, jak kiedyś...

Młody hazardzista położył następny banknot na kontuarze baru.

- Czy to wystarczy, żebyś kazał sobie je odświeżyć? Banknot zniknął tak szybko, jakby wyparował.

- Niech pan się stąd nie rusza, kapitanie. Bardzo proszę się rozgościć. Za chwilę wrócę.

Barman zniknął niemal tak samo szybko, jak przed chwilą pieniądze Calrissiana.

ROZDZIAŁ II

Świeżo opierzony właściciel/pilot gwiazdnego statku zdążył tylko sięgnąć po szklaneczkę z trunkiem, wybrać ciemny, masywny, sporządzony z quasi-drewna stolik i starannie wygładziwszy zmarszczki materiału spodni, usiąść, kiedy tuż obok niego wyrosła jakaś postać. Przybysz okazał się wysoką, trupioblądą i bardzo podobną do człowieka istotą, ubraną w luźny strój w niewielkie, regularnie rozmieszczone grochy.

Absolutnie nie pasowały do jego cętkowanej pomarańczowej cery.

- Drogi gościu, proszę pozwolić, że się przedstawię. Jestem właścicielem tego lokalu.

Istota podkręciła wszystkie cztery wąsy - rozmieszczone w dwóch rzędach i wypełniające niezwykle szeroką przestrzeń między nosem a górną wargą- a później zajęła krzesło, stojące po lewej ręce Lando, i zapaliła długie, zielone cygaro. Młody hazardzista z niejakim rozbawieniem uświadomił sobie, że istota właściwie mu się nie przedstawiła.

- Słyszałem - ciągnął tymczasem właściciel - że okazywał pan zainteresowanie naukowymi teoriami, dotyczącymi pewnych aspektów teorii rachunku prawdopodobieństwa.

Lando zaczął się zastanawiać, w jaki jeszcze inny zawiły sposób można było wyrazić to, o co chodzi.

Usiadł wygodniej i wyszczerzywszy zęby, przywołał na twarz wyraz, znamionujący przesadnie pewnego siebie wieśniaka. Pragnąc wzmoczyć to wrażenie, odchylił się jeszcze bardziej i oparł buty na krześle, stojącym po przeciwnej stronie. Mrugnął porozumiewawczo do właściciela.

- Interesują mnie wyłącznie aspekty naukowe, przyjacielu-oświadczył z dumą. - Z zawodu jestem gwiazdny pilotem i astro-nawigatorem, a więc moje zainteresowanie nie powinno wydać ci się niczym niezwykłym. Najbardziej intrygują mnie permutacje i kombinacje ponumerowanych dwuelementowych próbek, wybranych losowo z siedemdziesięcioośmioelementowego zbioru. Piątkom można przypisać dowolną wartość.

- Ach... a więc sabak. - Właściciel głęboko zaciągnął się cygarem, a potem wypuścił chmurę pomarańczowego dymu. - Wydaje mi się, że mógłbym praktycznie natychmiast zapoznać pana z członkami naszego... ehm... towarzystwa naukowego. - Zawahał się, jakby nagle sobie o czymś przypomniał, po czym, lekko zakłopotany, ciągnął: - Ale najpierw, kapitanie... no cóż, to tylko drobna formalność. Zechce pan podać nazwę swojego statku - oczywiście, wyłącznie w celu identyfikacji. Rozumie pan, nie brakuje tu zacofanych, wrogo nastawionych ludzi — przeciwników postępu i niczym nie skrzępowanego rozwoju badań naukowych...

-Noszących odznaki i blastery? - wybuchając śmiechem, domyślił się Lando. - „Sokół Milenium”, ładowisko siedemnaste. A ja nazywam się Calrissian, Lando Calrissian.

Właściciel skorzystał z usług zapiętego na dziwacznie połączonym przegubie kalkulatora.

- To będzie dla mnie przyjemność, kapitanie Calrissian. I, jak widzę, pańskie zasoby gotówki wystarczą aż nadto na poparcie... ehm... zainteresowania badaniami naukowymi. Proszę za mną.

Tak samo jest wszędzie, jak galaktyka długa i szeroka - pomyślał Lando. Mała salka na zapleczu, stolik, przykryty szmaragdowym dramskórzanym suknem, nisko wisząca lampa, przesycone dymem powietrze... Jeżeli grę prowadzono uczciwie, właściciel lokalu otrzymywał niewielki procent od wygranych sum, z czego opłacał wszystkich policjantów... Te rzekomo rutynowe pytania, które zadawał młodemu hazardziście, miały tylko na celu upewnienie się, czy potencjalny gracz dysponuje wystarczająco dużą sumą. Jediną rzeczą, jaka różniła jeden system gwiazdny od drugiego, była charakterystyczna woń wydmuchiwanego dymu, a i to nie tak bardzo, jak należało się spodziewać. Możliwe, że pilotując gwiazdny statek, zapuszczał się na zbyt głębokie wody. To samo można byłoby powiedzieć o wydobywaniu surowców z wnętrza asteroid czy szydełkowaniu. Ale tu - bez względu na to, gdzie owo „tu” się znajdowało - czuł się jak u siebie w domu.

Zajął miejsce przy stoliku.

Siedziało już przy nim troje innych graczy, a nieco dalej kilkoro obserwatorów, w tej chwili bardziej niż samą grą zainteresowanych sączeniem trunków i zatrutowaniem dymem atmosfery w pomieszczeniu. Lando położył kilka kredytów na zielonej, twardej powierzchni blatu stołu. Kiedy rozdano karty-płytki, zorientował się, że otrzymał asa szabel, czwórkę manierek i Wytrwałość, która liczyła się za minus osiem punktów.

Oznaczało to, że razem ma jedenaście.

- Jeszcze jedną - powiedział obojętnym tonem. Wyciągnął siódmkę klepek, która niemal natychmiast zamigotała i przeobraziła się w Dowódcę monet.

Dwadzieścia trzy.

- Sabak! O rety, czyżby szczęście nowicjusza?

Pozwolił, aby w jego głosie zabrzmiało podniecenie. Zgarnął niewielki stos pieniędzy, po czym przyjął podaną talię i zaczął rozdawać.

Bardzo uważał, żeby przegrać następne trzy rozdania.

Wbrew pozorom, nie było to wcale łatwe. Musiał odrzucić dwie idealne dwudziestki trójki i mógłby uzupełnić liczbę punktów w trzecim rozdaniu, gdyby mając tylko czternaście punktów i modląc się, żeby karty-płytki nie zmieniły walorów na inne niż te, które miały na początku, nie zrezygnował z wzięcia dodatkowej karty.

Miejscowi gracze pomyśleli, że oto nadarza się okazja oszukania naiwniaka.

W pewnym sensie mieli rację... chociaż nie w takim, który mógłby sprawić im przyjemność albo przynieść jakąś korzyść finansową. To był bowiem jeden z wieczorów, kiedy młody hazardzista po prostu czuł, że szczęście mu sprzyja. Miał wrażenie, że niemal rozsadzają go wirujące elektrony i ogrzewa subatomowy ogień. Powoli, stopniowo - tak, by nie spłoszyć pozostałych graczy - podnosił stawki. Kiedy gra toczyła się o niewielkie sumy, demonstracyjnie przegrywał, ale niemal ukradkiem wciąż powiększał stos kredytów, spoczywających przed nim na blacie stołu.

Trunki nic nie kosztowały - dzięki uprzejmości ubranego w kropkowany strój właściciela lokalu. Możliwe, że bar miał obsługiwać gwiazdne wygi, ale przynajmniej dwoje graczy było obywatelami miasta. Zapewne zawarli z szefem umowę, na mocy której dzielili się z nim sumami, jakie wygrywali od gwiazdnych żeglarzy. Ta sama szklaneczka retsy - którą Lando zaczął pić, kiedy stanął przy kontuarze „Odpoczynku Astronauty” - rozwodniona przez nieustanne wrzucanie kostek lodu, stała na krawędzi plastikowego blatu stołu w pobliżu łokcia hazardzisty.

- Sabak - tchnął w pewnej chwili Calrissian, rzucając na blat trzy karty-płytki. To była klasyczna kombinacja, zwana idiotycznym układem i składająca się z wartego zero punktów Idioty, dwójki klepek i trójki szabel. Taka kombinacja dawała automatycznie dwadzieścia trzy punkty.

- Ta przegrana opróżniła moje rury - burknął gracz, siedzący naprzeciwko Calrissiana - niepozorny, niski jegomość o jasno-purpurowej cerze. Podobnie jak Lando, był ubrany w mundur oficera gwiazdnego statku. Mimo chłodu, panującego z okazji nadciągającej nocy, jego czoło pokrywała cienka warstwa potu. - Chyba że jest pan zainteresowany niewielkim ładunkiem życiokryształów.

Lando pokręcił głową, po czym nieznacznym ruchem poprawił szeroką szarfę. Najpierw pokiereszowany frachtowiec, później robot, którego nawet nie miał czasu obejrzeć ani wypróbować... a teraz zanosilo się na kłopoty z funkcjonariuszami miejscowej władzy.

- Przypko mi, chłopie, ale gotówka na stół albo do widzenia. Interes to interes... a sabak to sabak.

Zapewne zmęczeniu należy przypisać fakt, że ta nagła prze-miana nieokrzesanego (aczkolwiek obdarzonego wręcz nieprawdopodobnym szczęściem) młodego amatora w rzeczowego, chłodnego zawodowca zdumiała tylko jednego spośród przeciwników Landa. Była nim obdarzona szypułkami, niesymetrycznie zbudowana i podobna do rośliny obca istota, pochodząca z gwiazdnego systemu, którego nazwy Lando nie potrafił sobie przypomnieć. Położyła wszystkie trzy szerokie, podobne do wielkich liści kończyny na blacie stołu - Lando zwrócił uwagę, że zestawienie różnych odcieni zieleni wygląda okropnie - i posługując się zawieszonym na guzowatej łodydze elektronicznym

syntetyzatorem mowy, zaczęła wymawiać zniekształcone słowa:

- Agh, kapitanie statkowość, baś równościem! - Odwróciła okoloną kwiatkami twarz w stronę niepozornego mężczyzny. - Jeżeli odmówisz, ta osoba nabierze o tobie zły mniemniemanie. Ładunek bardzo wartościowościowy, bezwapienia.

Do rozmowy przyłączyła się trzecia uczestniczka gry, doświadczona przez życie tleniona blondynka. Nosila na szyi łańcuszek, a na nim zawieszony owalny życiokryształ wielkości kciuka. Gwizdnęła na znak, że przyznają rację obcej istocie.

- Jasne, Phyll - odparł Lando, ignorując gwizd blondynki. - Czy właśnie w taki sposób zdobyłaś ten fantastyczny syntetyzator? Przyjęłaś go zamiast kredytów, które ktoś był ci winien w grze w sabaka?

Przypominająca roślinę istota zatrzęsała się ze zdumienia.

- Jak sze teego domyśliwszyleś?

- Z największym trudem.

Zawahał się jednak, a potem zaczął się zastanawiać. W zawodzie hazardzisty - zwłaszcza starającego się, w rozsądnych granicach, postępować uczciwie - odnoszącego niemal stale sukcesy, dobra wola była czasem czymś wręcz nieodzownym.

- Och, dobrze, niech mnie porwie Chaos - powiedział. - Ale tylko ten jeden raz, rozumiesz?

Nijako wyglądający jegomość entuzjastycznie pokiwał głową, ale okazało się, że wytrzymał jeszcze tylko dwa rozdania. Kierując się ku drzwiom, sięgnął do kieszeni kombinezonu i wręczył Calrissianowi manifest okrętowy i kilka innych oficjalnie wyglądających dokumentów.

- Znajdzie pan ładunek w kosmoporcie - powiedział. - Dzięki za grę. Jest pan naprawdę równym gościem, kapitanie Calrissian. Jeżeli zajdzie potrzeba, przysięgnę na entropię, że to prawda.

Lando, który wygrał jakieś siedemnaście tysięcy kredytów i mógł teraz odejść od stolika tak nie budząc niczych podejrzeń, jak potrafił - i tak stanowczo, jak musiał - prawie nie słuchał tego, co trąkotał niepozorny mężczyzna. Dzięki wielkiemu szczęściu wygrał niemal tyle, ile niedawno wypłacił innemu niefortunnnemu graczowi pod zastaw „Sokoła Milenium”. Cała ta suma leżała teraz przed nim na blacie stołu. Niech zaraza porwie międzyplanetarny transport towarów! Niech ktoś inny martwi się manifestami okrętowymi i zezwoleniami na lądowanie. On był przecież hazardzistą!

Z drugiej strony - pomyślał - transportowanie towarów to coś lepszego niż zeszkrobywanie szczątków mynocków z kadłuba statku!

Krótko po północy Lando przechodził obok rzędu domów, przed którymi nie zapomniano ułożyć chodnika. Kierując się w stronę „najlepszego hotelu” w Teguta Lusac - poleconego przez mechanicznego barmana z „Odpoczynku Astronauty” - trzymał jedną dłoń na kredytach, bezpiecznie spoczywających w kieszeni spodni, a drugą na rękojeści małego pistoletu. Miasto wprowadzie nie wyglądało na takie, ale dokądkolwiek się ruszył, widział takich ludzi.

Obok niego, powłócząc nogami, szedł najdziwniejszy przedstawiciel mechanicznych tworów inteligentnych, jakiego kiedykolwiek widział - albo nawet chciałby zobaczyć.

- Jestem Vuffi Raa, mistrzu, wieloczynnościowy robot drugiej klasy, do pańskich usług. Zawierająca dziesiątki skrytek portowa przechowalnia bagażu znajdowała się po drodze do hotelu. Ponieważ już od samego rana następnego dnia Lando chciał zajmować się interesami, postanowił jak najszybciej odebrać androida, którego wygrał na Oseonie. Teraz jednak miał wątpliwości, czy był to dobry pomysł.

Niektóre rzeczy najlepiej oglądać w świetle dziennym.

Automat miał może metr wysokości, gdyż sięgał prawie do pasa Calrissiana. Trudno

byłoby określić jego właściwą wysokość, ponieważ wyciągając pięć kończyn pod różnymi kątami, mógł wydawać się raz wyższy, a raz niższy. W przybliżeniu miał kształt rozgwiazdy, zaopatrzonej w giętkie, czasami wijące jak węże manipulatory - które mogły mu służyć jako ręce i nogi -przymocowane do pięciokątnego torsu rozmiarów sporego talerza, ozdobionego pojedynczym, łagodnie świecącym, wielofasetkowym ciemnoczerwonym okiem. Całość wykonano z połączonego za pomocą nitów, błyszczącego i wypolerowanego na wysoki połysk chromu.

Lando pomyślał, że nie było w tym ani krzty dobrego smaku.

- Większość ludzi - zauważył obserwując, jak automat wygrzebuje się ze schowka w przechowalni bagażu i rozprostowuje kończyny - zapomina, że słowo „android” oznacza automat, zbudowany na podobieństwo człowieka. - Tymczasem dziwna maszyna wyciągnęła długie, prążkowane metalowe kończyny i zupełnie jak uczyniłaby to żywa istota, zajęła się badaniem czubków łagodnie zaokrąglonych macek. - A poza tym, co to za imię dla automatu: „Vuffi Raa”? Czy nie powinienś mieć jakiegoś numeru?

Android popatrzył na niego z ukosa, po czym przecisnął się obok starca, pełniącego obowiązki stróża, i przeszedłszy przez automatycznie otwierane przeszklone drzwi przechowalni, poczłapał za nim.

- To jest mój numer, mistrzu - powiedział, kiedy obaj weszli na chodnik. - W języku, jakim posługują się istoty, żyjące w systemie, w którym mnie stworzono - dokładnie na podobieństwo jego mieszkańców.

Żałuję bardzo, ale nie potrafię przypomnieć sobie, gdzie znajduje się ów system. Widzi pan, kiedy jeszcze przebywałem w pudle, w którym transportowano mnie głęboko w ładowni frachtowca, zostałem przedwcześnie aktywowany, kiedy statek zaatakowała gromada gwiazdnych piratów. Wydaje mi się, że to miało niekorzystny wpływ na niektóre zaprogramowane funkcje pamięciowe.

Wspaniale - pomyślał Lando, otwierając kluczem drzwi do hotelowego apartamentu. - Najpierw statek, którym nie da się latać, a teraz robot, dotknięty atakiem amnezji. Co uczynił, by zasłużyć na takie... nieważne, nawet nie chciał tego się dowiedzieć!

Hotel Sharów nie zaliczał się do najbardziej luksusowych, ale miejscowi obywatele uważali go za najlepszy. Zapewne dlatego właściciele musieli utrzymywać wysoki standard usług, aby dorównać wyobrażeniom, jakie mieli o nich mieszkańcy. Lando zaczął się zastanawiać. W dobie zakrojonej na wielką skalę kolonizacji było całkiem możliwe, że taki automat jak Vuffi Raa wielokrotnie zmieniał właścicieli. Przechodził z rąk do rąk, kupowany, sprzedawany i ponownie kupowany, a może nawet wygrywany i przegrywany. Możliwe, że od czasu, kiedy został wyprodukowany przez rasę absolutnie nieznaną obcych istot, przemierzył połowę galaktyki.

Albo wręcz przeciwnie, co chyba miało miejsce w przypadku tego egzemplarza. Lando nie mógł przypomnieć sobie, żeby kiedykolwiek widział inteligentne istoty, chociaż trochę przypominające wyglądem Vuffi Raa. Mimo to spodziewał się, że ich nigdy nie zobaczy. Tak czy owak, miał teraz w rękach aż dwa dziwolagi, których sprzedaż postanowił zająć się z samego rana.

Ponieważ podjął już decyzję, co robi z „Sokołem Milenium”, Podczas niedawnej gry w sabaka poruszano niewiele tematów, ale jednego Lando zdołał się dowiedzieć. Wiedział to, zanim jeszcze zgodził się przyjąć życiokrystały zamiast gotówki. Życiokrystałowe sady funkcjonowały w oparciu o kombinację taniej niewykwalifikowanej siły roboczej, zapewnianej po większej części przez zamieszkujących Rafę niemal bezrozumnych tubylców - Lando zastanawiał się nawet, czy od czasu, kiedy postawił stopę na płycie lądowiska Teguta Lusac, widział choćby jedną taką istotę- i nadzorujących ich więźniów, przysyłanych z innych systemów. Całe przedsięwzięcie stanowiło monopol kolonialnego

rzędu.

O ile Lando zdołał się dowiedzieć, transporty życiokryształów mogło wysłać jedynie Towarzystwo Transportowe „Szwagier” (czy jak tam nazywał się jego miejscowy odpowiednik), co znaczyło, że żaden inny, pracujący na własną rękę przewoźnicy, nie mogli nawet marzyć o uzyskaniu pozwolenia. Życiokryształy nie należały zatem do towarów, które dzielny kapitan Calrissian mógłby wpisać do manifestu okrętowego.

No cóż, to mu wcale nie przeszkadzało. I tak zamierzał się ich pozbyć z samego rana.

Pole otwierające drzwi uspokajająco zamruczało, a łożo opadło z cybernetyczną precyzją i szybkością. Lando rozebrał się, a później upewnił, jak wewnątrz szafy obejdzie się z jego ubraniem. Vuffi Raa zaproponował, że będzie pełnił obowiązki służącego. Twierdził, że wykonywanie wszystkich niezbędnych czynności tego zawodu nie przekracza możliwości architektury robota klasy drugiej, które pod względem umysłowym i emocjonalnym dorównywały umiejętnościom człowieka.

Mimo to Lando się nie zgodził.

- Nie korzystałem z usług służącego od bardzo dawna, mój drogi opierzony automacie, i nie zamierzam teraz zatrudniać cię w tym charakterze. Obawiam się, że już niedługo, z samego rana, dostaniesz się w inne ręce. Nie mam nic przeciwko tobie, ale przyzwyczaj się do tej myśli.

Nie odzywając się więcej, robot dygnał na znak, że zrozumiał, a potem poczłapał do kąta pokoju i zapadł w stan częściowej świadomości, stanowiący odpowiednik snu u automatów. Płonące jaskrawym szkarłatem oko ściemniało, ale całkiem nie zgasło.

Lando wyciągnął się na łożu, a przez jego głowę nie przestawały przelatywać myśli o prastarym skarbie. Rzecz jasna, życiokryształy nie były jedynym towarem, jaki mógłby zabrać z tej planety. Do wzniesionych przed milionami lat ruin podobno nikt nie mógł się dostać, ale bez względu na to, jaka rasa je zbudowała, z pewnością nie szczędziła trudu i pozostawiła w wielu innych miejscach systemu niewielkie, łatwe do transportu przedmioty. Mógłby zainteresować nimi muzea. I nie tylko nimi, ale także prymitywnymi statuetkami i narzędziami, sporządzonymi przez tubylców. Zaawansowana pod względem technicznym przeszłość i prymitywna teraźniejszość... oto naprawdę fascynujący kontrast.

Z drugiej strony skarb...

Jeżeli podążać za tym tokiem rozumowania, istniały także przedmioty, wykonane przez kolonistów. A jednak, gdyby chciał zapełnić nimi ładownię, musiałby uganiać się po wszystkich planetach systemu Ruffy... a pamiętał, że ładowanie na każdej i startowanie mogło być trudne, kłopotliwe, a nawet niebezpieczne.

Rzecz jasna, istniał ten skarb...

Nie. Już lepiej było trzymać się poprzednio opracowanego planu i rozejrzeć się za kimś, kto zechciałby kupić „Sokoła”. Przez pewien czas pilotowanie sprawiało mu radość, ale, prawdę mówiąc, nigdy nie był kapitanem gwiazdowego statku, a poza tym przekształcenie frachtowca w prywatny jacht, nawet gdyby pragnął takim dysponować, wiązałoby się ze zbyt dużymi kosztami. Musi też znaleźć kogoś, kto da mu uczciwą cenę za Vuffi Raa. Najlepiej, gdyby tym kimś okazał się ten sam fraj... kupiec, który zainteresuje się „Sokołem”. A kiedy spienięży i frachtowiec, i robota, odleci najbliższym pasażerskim statkiem, bogatszy o dziesiątki tysięcy kredytów.

Zagwizdał na światła, żeby zgasły, ale nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

-Vuffi Raa?

Usłyszał najcichszy z możliwych szmer budzących się do życia serwomotorów.

- Słucham, mistrzu?

Wielkie oko zapłonęło w ciemnościach jak ognik gigantycznego cygara.

- Nie nazywaj mnie mistrzem, bo to przyprawia mnie o gęsią skórę. Czy przypadkiem

potrafisz pilotować gwiazdny statek? Powiedzmy, niewielki zmodyfikowany frachtowiec? - Taki jak pański „Sokół Milenium”? - Zapadła krótka cisza, w trakcie której robot badał swoje oprogramowanie. - Ależ tak... ehm... jak właściwie powinienem się do pana zwracać?

Lando obrócił się na drugi bok, mimo iż w ciemnościach i tak nie można było dostrzec wyrazu samozadowolenia, jaki pojawił się na jego twarzy.

- Obudź mnie jutro rano, Vuffi Raa, ale niezbyt hałaśliwie i nie później niż o dziewiątej zero, zero. Dobranoc.

- Dobranoc, mistrzu.

TRRAAACH!

Chroniące drzwi pole uległo przeciążeniu i znikło. Płyta drzwi rozłamała się na dwie części. Zawiasy jęknęły i oddzieliły się od framugi.

Wyrwany z głębokiego snu Lando, zanim w pełni zdolał uświadomić sobie, co robi, postawił jedną stopę na podłodze i położył dłoń na blacie stolika, gdzie zostawił paralizator.

Światła w apartamencie automatycznie się zapaliły i ponad dymiącymi szczątkami drzwi przeszli czterej umundurowani funkcjonariusze. Ich piersi i plecy były okryte giętkimi pancerzami, a opuszczone osłony hełmów uniemożliwiały ustalenie tożsamości. Mimo to szczegóły ubiorów pozwalały rozpoznać w nich kolonialnych stróżów prawa i porządku. Trzymali paskudnie wyglądające, potwornie wielkie wojskowe blastery, zabezpieczone i wymierzone prosto w niczym nie chronioną pierś Calrissiana.

Lando zdjął dłoń z blatu nocnego stolika. Uczynił to szybkim ruchem, ale nie na tyle szybkim, by przybysze mogli go źle zrozumieć.

- Lando Calrissian? - odezwała się jedna z umundurowanych postaci.

Zapytany przelotnie rzucił okiem na szczątki drzwi.

- Czy to nie byłoby kłopotliwe, gdybym nie był... uhm, po namyśle postanowiłem zacząć inaczej. W istocie, szanowne dżentelistory, nazywam się Lando Calrissian, we własnym ciele, w którym mam nadzieję nadal pozostawać. Zawsze skłonny do współpracy, radośnie i z ochotą, z przedstawicielami miejscowej władzy. Co mógłbym dla was zrobić, koledzy?

Nie zmieniając położenia lufy pękatej broni, jeden z zakutych w pancerze funkcjonariuszy ruszył w stronę łóża. Pozostali, stojący za jego plecami, natychmiast zlikwidowali powstałą lukę.

- Właściciel frachtowca „Sokół Milenium”, platforma siedemnasta, międzyplanetarne lądowisko Teguta Lusac?

- Tak, to ja. Ale...

- Milczeć. Jesteś aresztowany.

- Doskonale, panie oficerze. Proszę tylko pozwolić, że włożę spodnie... albo nie, jeżeli miałoby to sprawić wam najmniejszy kłopot. Z przyjemnością odpowiem na wszystkie pytania, jakie zechce mi zadać Jego Ekscelencja. Zawsze hołduję takiemu zwyczajowi. Mówię prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Popierajcie miejscowe... uff!

Barczysty funkcjonariusz wbił lufę blastera w brzuch Calrissiana, a później poprawił w to samo miejsce zaciśniętą w pięść drugą dłoń. Inny policjant podszedł i zajął się nogami nieszczęsnej ofiary. Pozostali dwaj szybko obeszlili łóżo i puściwszy w ruch potężne pięści, zainteresowali się plecami.

- Auu! Powiedziałem przecież, że nie będę stawiał oporu... agh! Ja... ych! Vuffi Raa, na pomoc!

Robot kulił się w kącie, grzechocząc trzęsącymi się manipulatorami. Nagle osunął się na podłogę i zwinął w kulę. Wyglądało to, jakby zemdłał.

Podobnie jak Calrissian.

ROZDZIAŁ III

Gruby.

Gruby i szpetny.

Gruby, szpetny i obdarzony potężną władzą - chociaż jej zasięg ograniczał się zapewne tylko do jednego systemu. Lando jęknął w duchu, uświadomiwszy sobie to wszystko w chwilę po tym, kiedy dwaj zakuci w pancerze funkcjonariusze przeciągnęli go przez próg gabinetu Duttesa Mera, kolonialnego gubernatora Rafy.

Hazardzista nie miał jeszcze czasu - ani też najmniejszej ochoty - zapoznawać się z obrażeniami, jakie zadali mu kolonialni policjanci. Wydawało mu się, że jego ciało jest, od stóp do głów, jednym wielkim, opuchniętym sińcem. Tak to jest, kiedy unika się kłopotów w jednym systemie, a wpada się w nie po same uszy w innym, i to kiedy człowiek się tego najmniej spodziewa.

Odczuwał silny ból niemal w każdej części ciała.

Mimo to uświadomił sobie, że właściwie nie wyrządzono mu żadnej większej krzywdy. Ani jedna kość nie została złamana i gdyby tylko zwrócono mu ubranie, żaden ślad nie zdradzałby, że przeżył taką przygodę. Otrzymał po prostu solidne, profesjonalne lanie. I chociaż, kiedy je dostawał, odnosił wrażenie, że nigdy się nie skończy, wszystko wskazywało na to, iż miało charakter wyłącznie edukacyjny. Kilka otarć skóry i siniaków miało zapewne tylko podkreślić fakt, iż był zdany na ich łaskę i niełaskę.

Kiedy czterej funkcjonariusze, trzymając półprzytomną ofiarę za ręce i nogi, przenosili Calrissiana nad szczątkami drzwi hotelowego apartamentu, rozkwasili mu nos o futrynę. W nadziei, że nie odniesie żadnych innych obrażeń, Lando żałował, iż wciągając go do gabinetu gubernatora, nie pomyśleli o podłożeniu plastikowej płachty pod jego ciało. Wolałby nie zakrwawić wielobarwnego kobierca - sprawiającego wrażenie jedynej luksusowej rzeczy w skądinąd ponurym, chociaż funkcjonalnie urządzonym pomieszczeniu.

W tym fakcie mogła się kryć jakaś pożyteczna wskazówka, ale Lando nie odzyskał przytomności umysłu na tyle, żeby ją odgadnąć.

Gubernator zamrugał ciężkimi powiekami.

- Lando Calrissian?

Wyglądało na to, że wszyscy przynajmniej wiedzą, jak się nazywa. Głos, jaki rozległ się w gabinecie, zabrzmiał jednak zdumiewająco piskliwie i cicho, jeżeli zważyć na fakt, że wydobył się z ust kogoś tak otyłego i nieruchawego. Lando pomyślał także, że wyczuł w tym głosie większą nerwowość, niż uzasadniałyby to okoliczności. Zazwyczaj hazardziści zwracają na takie drobne szczegóły większą uwagę niż psychologowie. Muszą.

Silnie umiśniony i nieprawdopodobnie szeroki w barach, gubernator przypominał - bardziej niż cokolwiek innego - wysmagany przez wichury pień starego drzewa, zwieńczonego koroną delikatnych jak puch włosów. Sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy nie zdradza, jakie karty mu rozdano, ani nigdy niepotrzebnie nie ryzykuje. Dzięki temu ma wszelkie zadatki, aby stać się nieprzejednanym, bezlitosnym graczem.

Mimo to, kiedy los nie okaże się dla niego łaskawy, będzie krzyczał i wściekał się jak dziecko. Lando doskonale znał takich ludzi.

W obecnej sytuacji nie sądził jednak, by ta wiedza mogła mu się na coś przydać. Zerknął na stojących po obu bokach funkcjonariuszy, których twarze nadal nie widział z powodu opuszczonych osłon hełmów, a później przeniósł spojrzenie na gubernatora. Nie miało najmniejszego znaczenia, że otyły drab jest w głębi serca najzwyczajszym tchórzem -

dopóki ów drab dysponował w tej grze wszystkimi atutami.

Gubernator zamrugał, po czym uniósł podobne do kloca ramię i powtórzył słowa, które miały być powitaniem - albo, co bardziej prawdopodobne - oskarżeniem.

- Lando Calrissian?

- Niech pan przeciągnie trochę bardziej pierwsze „a” - odparł hazardzista, stając o własnych siłach i okazując większą odwagę, niż odczuwał w tej chwili. - I położy odrobinę silniejszy akcent na drugą sylabę nazwiska. Proszę kilka razy spróbować, a wtedy wymówi to pan całkiem prawidłowo.

Przesunął językiem po wargach i wzdrygnął się, kiedy poczuł smak krwi. Coś pulsowało w jego głowie. Podobnie jak we wszystkich innych częściach ciała. Spod śmiesznej, przypominającej strzechę czupryny spoglądały na niego lodowato zimne oczy wielkości jajek. Zwalisty mężczyzna siedział jednak za zdumiewająco małym i nieprawdopodobnie krucho wyglądającym biurkiem, sporządzonym z jakiegoś przezroczystego plastiku.

- Lando Calrissian, mamy tu długą listę popełnionych przez ciebie bardzo poważnych wykroczeń, o których niedawno nam doniesiono. Naprawdę poważnych. Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

Kiedy gubernator skończył mówić, ponownie zamrugał. Tym razem wyglądało to, jakby ból sprawiało mu samo spoglądanie na Calrissiana. Młody hazardzista chciał odpowiedzieć następną ciętą uwagą, ale ugryzł się w język i zrezygnował. Nie pamiętał, by popełnił jakiegokolwiek przestępstwa albo wykroczenia. A przynajmniej ostatnio. Nie miał wprawdzie żadnych skrupułów, jeżeli chodziło o łamanie prawa, jako że istniało wiele śmiesznych planet, a na każdej obowiązywało wiele śmiesznych przepisów, zarządzeń i poleceń. Mimo to wolałby - z czysto estetycznego względu - zostać przyłapanym, gdyby rzeczywiście coś przeskrobał.

Postanowił - prawdę mówiąc, eksperymentalnie - uzupełnić słowami prawdy służalcze płaszczenie się, jakie nie wywarło odpowiedniego wrażenia na dostojniku. Kto wie, połączenie tych dwóch rzeczy mogło udobruchać tego tłuściocha, który...

- Proszę pana - zaczął. - Wasza Ekscelencjo... nie wiem nic na temat żadnych wykroczeń. O ile dobrze pamiętam, nie popełniłem niczego takiego, z czego można byłoby robić mi jakikolwiek zarzut. Postanowił, że na razie na tym poprzestanie. Składanie skarg mogłoby zostać uznane za przeciąganie struny. Gubernator znowu zamrugał. Lando otworzył usta, by powiedzieć coś więcej. Przeszkodził mu jednak strzęp podartej bluzy pizamy, który wybrał właśnie tę chwilę i zsunął się z ramienia. Młody hazardzista pociągnął nosem, a potem, przywołując na pomoc całą godność, na jaką pozwalały okoliczności, umieścił go na poprzednim miejscu. Gubernator znowu zamrugał.

Jego gabinetu nie można byłoby określić mianem przestronnego. Miał jednak dwie pary szerokich drzwi - ale przecież gubernator był też szeroki - umieszczonych w ścianie naprzeciwko biurka i za nim. Podobnie jak te pierwsze, przez które Lando dostał się do pomieszczenia, te drugie miały futrynę, wykonaną z gładkiego alumabrazu. Jedyny wzór, jaki zdobił ich niemal płaskie powierzchnie, powtarzał się na boazerii, listwach podłogowych i lamówce, poprowadzonej wzdłuż znajdującego się złowieszczo wysoko sufitu. Ściany pomalowano na zjadliwy żółty kolor, zapewne w tym celu, aby harmonizowały z barwą oczu gubernatora. Okna, zamiast draperiami, ozdobiono zarejestrowanymi widokami, które Lando widział w innych gwiazdnych systemach: pokrytymi zielonkawym piaskiem plażami, ciemnopomarańczowymi nieboskłonami i szkarłatnymi roślinami. Całe światy, ukazujące bezmiar złego smaku.

Tymczasem gubernator zapewne doszedł do przekonania, że hazardzista jest wystarczająco zastraszonej przeciągającą się ciszą. Uniósł nad blat biurka ciężką rękę i popatrzył na funkcjonariuszy, wciąż jeszcze trzymających pod rękę sponiewieranego i

niepewnie stojącego o własnych siłach kapitana gwiazdnego statku.

- W takim razie dobrze ci radzę - zaskrzeczał złowieszczco - żebyś odświeżył swoją pamięć, młody niegodziwcze.

Niegodziwcze?- pomyślał Lando. - Czy ludzie rzeczywiście używają takiego słowa? Zauważył, że gubernator popatrzył na trzymany wydruk, a potem uniósł puchate brwi i powiedział:

- Zebrało się tego co niemiara! Niepewne manewrowanie statkiem podczas lądowania. Nielegalne sprowadzanie niebezpiecznych zwierząt. Mynocki, kapitanie - doprawdy? Posadzenie gwiazdnego statku na lądowisku bez wymaganego zezwolenia...

- Ależ, panie gubernatorze!

Calrissian na chwilę zapomniał o tym, gdzie się znajduje. Wyszarpnął rękę z uścisku palców trzymającego go policjanta, ale w następnej sekundzie widocznie uświadomił sobie, co zrobił, gdyż z powrotem wcisnął pod ramię ukrytą w opancerzonej rękawicy dłoń zdumionego funkcjonariusza, po czym obdarzył go przelotnym przepaszającym uśmiechem.

Z trudem chwytając haust powietrza, uzmysłowił sobie nagle, że przezroczyste biurko, za którym urzędował gubernator, zostało wykonane w całości z gigantycznych, bezcennych życiokrystalów! Było ich tyle, że wystarczyłoby do przedłużenia życia setek ludzi. A zatem klucz do rozwiązania zagadki stanowiła władza. To wyjaśniałoby, dlaczego pozbawiony innych mebli gabinet wydawał się taki ponury. Bogactwo i zbyt liczne meble nie wywierałyby właściwego wrażenia na siedzących albo stojących przed obliczem gubernatora wrogo usposobionych bryłach marnotrawnych węglowodorów. Zapewne dostojnika pobudzała do działania wyłącznie perspektywa decydowania o losie i życiu innych istot.

- Wasza ekscelencjo, dysponowałem wszelkimi niezbędnymi zgodami i zezwoleniami - dodał, zwracając się do Duttesa Mera. - Ja...

- Doprawdy, kapitanie? Gdzie je masz? Pokaż mi je, a wówczas wszystkie ciężące na tobie zarzuty może zostaną zmniejszone w niewielkim, ale wymiernym stopniu.

Lando spuścił głowę i popatrzył na to, co z nim zrobiono, a raczej jak go wrobiono. Przez jego głowę przeleciała myśl, że może zbieżność tych dwóch słów nie była przypadkowa. Stał, ubrany w pozbawioną kieszeni piżamę, porwaną na strzępy wskutek niedawnego zapoznawania się z procedurami wymuszania ładu i porządku, stosowanymi przez funkcjonariuszy policji Teguta Lusac. Po chwili jednak znów spojrzął na gubernatora.

- Nie sądzę, żeby pozwolił mi pan wrócić do hotelu... tak myślałem. No cóż, w takim razie proszę porozumieć się z urzędnikami, zatrudnionymi w Kontroli Lotów. Powinni bez trudu...

- Kapitanie - westchnął gubernator, demonstracyjnie okazując znużenie. - Mogę zapewnić cię, że w dokumentach Kontroli Lotów nie ma ani śladu zezwolenia na lądowanie, którego udzielono czy to kapitanowi Calrissianowi, czy... - na chwilę przeniósł spojrzenie na listę z zarzutami - ... „Sokołowi Milenium”. Prawdę mówiąc, mogę nawet powiedzieć, że upewniłem się o tym osobiście.

- Aha - odparł cicho Lando, który dopiero w tej chwili zaczynał sobie uświadamiać powagę własnej sytuacji.

- Kolejnym zarzutem jest - ciągnął tymczasem gubernator, wyraźnie zadowolony z faktu, że może liczyć teraz na uwagę słuchacza - konspirowanie, mające na celu ominięcie niektórych przepisów naszego prawa handlowego. Jak widzisz, wiemy o twoich staraniach pozyskania ładunku, którego wywóz jest zabroniony. Jest również posiadanie nielegalnej broni. Nie do wiary! Kapitanie, jesteś naprawdę niegrzecznym chłopcem. Ostami zarzut to napaść na pełniącego służbę funkcjonariusza policji i stawianie oporu

podczas aresztowania.

Gubernator nadał swojej twarzy wyraz zamyślenia. Ponownie omiół spojrzeniem całą listę, po czym sięgnął po pisak i coś nabazgrał na samym dole.

- Aha, mamy jeszcze opuszczenie apartamentu hotelowego bez uiszczenia należnego rachunku. I co teraz na to powiesz?

Gubernator zamrugnął, a potem, oczekując na odpowiedź, przesunął językiem po mięsistych wargach.

- Rozumiem - odrzekł Lando, z trudem ukrywając radość, jaka zalewała jego serce. Jego nastrój uległ wyraźnej poprawie, pomimo - a może właśnie z powodu - długiej listy zarzutów, jakie wytoczono przeciwko niemu. Zorientował się, że, mimo wszystko, gubernator jest osobą, z którą zdoła się dogadać.

Stawka: - Położyłem pistolet na blacie nocnego stolika. Nie ukryłem go, gdyż posiadania takiej broni nie uważałem za coś nielegalnego. A jeżeli przez „napaść” na funkcjonariusza rozumie pan wbicie brzucha w jego pięć, to muszę przyznać, że tu mnie pan ma. Gubernatorze. Wasza Ekscelencjo.

Podbicie: Bardzo dobrze, kapitanie. A może powinienem był powiedzieć: „panie Calrissian”, ponieważ istnieje całkiem spora szansa, że nieprędko będziesz kapitanem jakiegokolwiek statku. Co powiesz na prawie stuprocentowe prawdopodobieństwo dożycia swoich dni pośród innych przestępców, malkontentów i wyrzutków społeczeństwa, mozolących się w pocie czoł w życiosadach?

Lando dołożył i szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, jeszcze bardziej podniósł stawkę.

- Prawdę mówiąc, Wasza Ekscelencjo, nie spodobałoby mi się to ani trochę. Słyszałem, że życiosady wysysają z ludzi całe życie.

Gubernator kiwnął głową - co dla osoby, u której trudno byłoby zauważyć szyję, stanowiło wyczyn, co się zowie.

- Należy zacząć od tego, że może nie będziesz musiał, kapitanie. Należy zacząć od tego, że może wcale nie będziesz musiał.

Sprawdzenie: Powiedziałbym także, że za chwilę zaproponuje mi pan coś innego. To znaczy, o ile nie ma pan zwyczaju wytaczania fałszywych zarzutów przeciwko każdemu niezależnemu przewoźnikowi, który ląduje w pańskim kosmoporcie. A przypuszczam, że dowiedziałbym się o tym na długo przedtem, zanim postawiłem stopę na lądowisku.

Gubernator przypominał teraz marszczący brwi pień starego drzewa, porośniętego piórami zamiast liści.

- Nie uprzedzaj biegu wydarzeń, Calrissianie. To odbiera mi całą radość, jaką odczuwam w takich sytuacjach.

Zamrugnął, po czym przycisnął jakiś guzik, umieszczony na blacie przezroczystego biurka.

Lando odstawił filiżankę na spodek i rozparł się na ogromnym, miękkim krześle, które na polecenie gubernatora przyniósł pokorny służący. Później głęboko zaciągnął się dymem z jednego z importowanych cygar gospodarza. Doprawdy, całe życie nie było niczym innym, jak grą w sabaka, a on właśnie - podobnie, jak poprzedniego wieczora — zaczynał wygrywać.

Służący -jeden z zamieszkujących system Rify „tubylców” -zaproponował, że naleje następną filiżankę herbaty. To wprawiło hazardzistę w zdumienie (służący, nie herbata). Stał przed nim i kierował na niego spojrzenie, w którym kryło się służalcze oczekiwanie, mimo iż reszta pomarszczonej, szaroskórej twarzy pozostawała cały czas absolutnie obojętna. Lando pokręcił głową. Czuł, że jeszcze jedna filiżanka i po prostu popłynie.

Wypuścił następny kłęb wonnego dymu.

- To co pan mówił, drogi gubernatorze?

- Mówiłem, drogi chłopcze... a, tak, przy okazji, czy ten szlafrok ci odpowiada? Myślę, że niedługo powinien pojawić się twój bagaż, który kazałem przynieść z hotelu. Ale nie chciałbym, żebyśmy teraz zaprzęтали sobie głowy takimi drobiazgami. Mówiłem, że pośród wszystkich innych inteligentnych istot, zamieszkujących całą galaktykę, właśnie my, ludzie, jesteśmy rasą istot najpłodniejszych i wręcz nieprawdopodobnie umiejących przystosować się do każdej zmiany.

- Wygląda na to, że również obdarzoną wieloma innymi pożytecznymi cechami.

Lando strącił dwa centymetry delikatnego popiołu do stojącej na biurku gubernatora próżniowej popielniczki.

Duttes Mer zignorował jego uwagę, po czym gestem wskazał zgarbionego i pomarszczonego służącego, który właśnie, nie odzywając się ani słowem, przestępował z nogi na nogę koło drzwi gabinetu, znajdujących się za plecami Calrissiana.

- Weźmy, na przykład, Toków - w tych stronach nazywanych „Ujarzmionymi Ludźmi”. Są całkowicie pozbawieni intelektu, emocji i woli. Pod względem inteligencji można zaliczyć ich do podludzi. Każdy z nich wykazuje oznaki, które pośród nas uchodzą za dowody późnej starości: siwe włosy, ziemista cera, zmarszczki, niepewny chód, zgarbione plecy... Musisz jednak wiedzieć, że wszystkie te powierzchowne oznaki to tylko pozory - a może nie? - ponieważ każda z tych istot wykazuje te cechy od samego urodzenia.

Jeżeli chcesz znać prawdę, Tokowie są obłaskawionymi zwierzętami, niczym więcej. Nadają się tylko do tego, by zatrudniać ich w charakterze służących. Są zbyt mało inteligentni, żeby powierzyć im jakąś odpowiedzialną pracę. Aha, mogą pracować także w życiokryształowych sadach. Ale nigdzie indziej.

Lando poruszył się niespokojnie na krześle i starając się ukryć zmieszanie, poprawił poły pożyczonego szlafrocka. Uszyto go z weloidu, na którym, oprócz różnych odcieni purpury, widniały jaskrawe żółto-zielone pasy. Lando pomyślał, że jeżeli wszyscy w tych stronach noszą takie ubrania - ozdobione takimi samymi, świadczącymi o złym guście wzorami - będzie musiał pozmienić swoje stroje. Zastanawiał się, do czego właściwie ma prowadzić ta pusta gadanina. Słyszał tysiące uzasadnień, podawanych w tysiącach systemów dla usprawiedliwienia konieczności zatrudniania niewolników, ale przyglądając się Tokom, dochodził do wniosku, że rzeczywiście istotom brakuje jakiejś iskry czy chociażby sugestii inteligencji, sprawiających, że ludzie są po prostu ludźmi.

- Powiedziałeś: „na przykład” - zwrócił się do gubernatora. - „Weźmy, na przykład, Toków”. Czy nie powinienes być raczej powiedzieć: „w przeciwieństwie”?

Gubernator polecił gestem słuzącemu, żeby nalał mu jeszcze jedną filiżankę herbaty.

- Wcale nie, drogi chłopcze, wcale nie. Nadzorcami są więźniowie, przysyłani do nas z innych światów, a sprawami technicznymi zajmują się androidy, ale cały ciężar prac spoczywa na barkach Toków. Tokowie zadowolają się przeznaczoną dla zwierząt karmą i bardzo chętnie zapracowaliby się na śmierć, gdybyśmy tylko tego od nich zażądali.

Lando pozwolił sobie na ciche, cyniczne parsknięcie. Słyszał, że praca w życiosadach oddziałuje na ludzi w taki sposób, jakby wysysała z nich wszystkie myśli. Z uwagi na to, jak sugerował gubernator, zesłańców zatrudniano przeważnie jako nadzorców. Taki sam los spotykał inne inteligentne istoty, które miały nieszczęście wpaść w konflikt z jakimikolwiek władzami. Powszechnie wiadano, że przestępcy wszystkich ras, których skazywano na ciężkie roboty w życiosadach, po roku czy dwóch stawali się imbecylami. Wyglądało jednak na to, że sady nie oddziałują w taki sposób na umysły Toków.

Tokowie i tak byli przecież imbecylami.

- Wszystko to musi przynosić krociowe zyski właścicielom życiokryształowych sadów - powiedział lekko hazardzista.

Mer spojrział uważnie na Calrissiana.

- Właścicielami sadów są władze, chłopcze - odparł oschle. -Wydawało mi się, że to wiedziałeś. Chciałem ci tylko powiedzieć, że Tokowie są takimi samymi ludźmi, jak my. Lando poczuł, że opada mu szczęka. Przyglądał się, jak służący, niepomny na wysoce obraźliwe uwagi, które wymieniano pod jego adresem, nalewa herbatę gubernatorowi. Nie potrafił pojąć, jakim cudem ta zgadzająca się na wszystko, zasuszona, przygarbiona, szaroskóra, siwowłosa istota, odziana w przypominającą starą szmatę biodrową przepaskę, mogłaby być człowiekiem.

Gubernator zamrugał. Mimo to starał się sprawiać wrażenie zadowolonego z siebie posiadacza. Otworzył usta, zapewne pragnąc coś powiedzieć.

TRRAAACH!

Powietrze w gabinecie rozdarł grzmot potężnej eksplozji, który wstrząsnął ścianami całego budynku. Pomieszczenie przeszył oślepiający błysk, a po prawej stronie gubernatora pojawił się, sięgający od podłogi do sufitu, słup niebieskoczarnego dymu.

Och, bracie - pomyślał Lando. - I co teraz?

ROZDZIAŁ IV

- Dosyć tego!

Słup niebieskoczarnego dymu zaskrzeczał, a później przeistoczył się w snop pomarańczowych iskier, które przez pewien czas płonęły, ale szybko zgasły.

No, nie, czarownik Tundów - jęknął w duchu Calrissian. Jakie to osobliwe. Wszyscy członkowie rzekomo prastarego i równie mało interesującego zakonu, wywodzącego się z odległego systemu Tundu, uwielbiali pojawiać się w tajemniczych okolicznościach. Po chwili pozostałości po kolumnie dymu przemieniły się w podobną do człowieka istotę mniej więcej wzrostu i postury hazardzisty. Zapewne staruszek wrzucił do gabinetu najpierw granat dymny, a później, zanim dym zdążył się rozwiać, jak gdyby nigdy nic wszedł przez drzwi do środka.

Nikt właściwie nie był całkiem pewien, do jakiej rasy zaliczali się czarownicy Tundów, ani czy w ogóle wszyscy należeli do tej samej rasy. Okutany w ciemnoszary strój, jaki nosili wszyscy członkowie zakonu, przybysz miał na sobie ciężki płaszcz, którego skraj ocierał się o dywan, tak że nie było widać ani kawałka ciała. Całości stroju dopełniał podobny do turbana zawój, uszyty z nieprzezroczystej taśmy, a jej zwoje przesłaniały także większą część twarzy.

Widać było jedynie oczy. Nie posiadając się ze zdumienia, Lando uświadomił sobie, że bardzo chciałby, aby także pozostały niewidoczne. Mimo iż melodramatyczne pojawienie się czarownika było czymś wręcz absurdalnym, oczy mówiły chyba co innego, o wiele poważniejszego. Wyglądały jak bliźniacze stawy, pełne... czego? Wzdrygnąwszy się, hazardzista doszedł do przekonania, że czegoś w rodzaju szaleńczego głodu. Obie zachłanne głębiny spoglądały przez chwilę na niego, jakby na robaka, którego należy jak najszybciej zdeptać. Później zwróciły całą przesyconą niechęcią siłę na Duttesa Mera, który mrugał i mrugał, i mrugał.

- Niepotrzebnie przedłużasz procedury wstępne! - Spomiędzy czarnych jak węgiel zwojów wydobył się mrozący w żyłach syk. Lando nie potrafiłby rozstrzygnąć, czy słyszy naturalny głos, czy też dźwięki, wydawane przez syntetyzator głosu. - Powiedz temu stworzeniu, co musi wiedzieć, by nam służyć, a potem każ mu odejść!

Calrissian stwierdził, że pewność siebie, jaką dotąd okazywał gubernator, zniknęła nagle jak zdmuchnięta. Otyły mężczyzna obrócił ciężkie cielsko na fotelu, a potem uniósł ręce nad blat biurka, na tyle wysoko, by wykonać nimi na wpół świadomy i całkowicie zbędny

gest, mający świadczyć o bezradności. Śmiertelnie przerażony, przewrócił żółtawymi oczami. Jego skóra, mająca dotąd karnację orzechową, przybrała teraz barwę popiołu. Nawet podobne do puchu włosy chyba zakolysały się i zadrżały.

- A... ale, Wasza Wielmożność, ja...

- Opowiedz mu całą historię, idioto! - rozkazał czarownik. -I skończ wreszcie z tą zabawą!

Lando wypułł kawałek tynku, który odpadł od sufitu na skutek widowiskowego pojawienia się intruza.

Przerażony gubernator nieporadnie i z trudem zwrócił się bokiem do młodego hazardzisty. Nie przemógł się jednak, by zupełnie oderwać spojrzenie od czarownika.

- K... kapitanie, p... proszę, pozwól, i... że przedstawię ci Rokura Geptę, mojego... mojego...

- Kolegę- podpowiedział czarownik, a potem wydał syk, który przypawił plecy Calrissiana o zimne dreszcze. Wyglądało na to, że gubernator także poczuł się mniej więcej tak samo. Kiwnął głową i otworzył usta, ale po chwili zwiotczał na fotelu, jakby niezdolny wykrztusić choćby słowo.

- Rozumiem - zasyczał czarownik i postąpił krok do przodu -że sam będę musiał zakończyć całą sprawę.

Jeszcze jeden krok do przodu. Lando zwalczył chęć przeniknięcia przez oparcie krzesła.

- Kapitanie Calrissian, nasz przyjaciel gubernator - na swój powolny, bełkotliwy sposób — poinformował cię o wadach Toków. Zapewniam cię, że mają ich wiele i wszystkie wydają się nam bardzo podejrzane. Ten niedołęga nie zdołał jednak ci opowiedzieć o czymś, co uznajemy za sprawę dla nas najważniejszą, a mianowicie o wyjątkowo cennej zalecie, która kompensuje ich wszystkie wady.

Musisz wiedzieć, że mimo okazywanej pokory i uległości, Tokowie hołdują prastaremu systemowi wierzeń i zabobonów. Jeżeli potraktować go dosłownie, system ten tłumaczy godny ubolewania stan, w jakim się znajduję. Co jednak najważniejsze, obiecuje o wiele więcej wszystkim, którzy okażą się odpowiednio przygotowani i wystarczająco odważni. O wiele, wiele więcej.

Nieludzki głos zamarł z cichym sykiem, a istota, która go wydawała, zapewne oczekiwała, że siedzący przed nią hazardzista zechce teraz zadać parę pytań albo wypowiedzieć kilka uwag. Zamiast tego Lando tylko wpatrywał się w czarownika. Mimo iż w głębi ducha kulił się ze strachu, zmuszał się, żeby spokojnie spoglądać w obłąkane oczy.

Tymczasem gubernator zdołał oprzytomnieć na tyle, by przycisnąć guzik, umieszczony na blacie biurka. Natychmiast pojawił się służący, któremu Mer kazał przynieść krzesło dla „kolegi”. Mimo to gubernatorowi nie udało się namówić potulnego starca ani miłymi słowami (których wypowiedział zaledwie kilka), ani groźbami (których miał w zanadru co niemiara) do tego, aby chociaż zbliżył się do groźnej, odzianej w ciemnoszary strój postaci.

W końcu, pragnąc przełamać kłopotliwy impas, Mer musiał sam wstać z ogromnego obrotowego fotela, przynieść z sąsiedniego pokoju jeszcze jedno krzesło i postawić przed odzianym w czarny płaszcz magikiem. Lando z niejakim rozbawieniem zauważył, że otyły dostojnik z niemal takimi samymi oporami zmusił się, żeby podejść do Rokura Gepty.

Młody hazardzista próbował się odprężyć. Usiadł wygodniej na krześle i spojrzał na cygaro, które dawno zgasło, ponieważ przestał poświęcać mu uwagę. Po chwili obok niego znów wyrósł jak spod ziemi służący. Zapalił je i skulił się pod złowieszczym spojrzeniem groźnego czarownika, po czym ponownie zniknął, powłócząc bosymi stopami po kobiercu.

- Co właściwie obiecuje? - zapytał Lando po długiej ciszy, jakimś cudem nadając

głosowi obojętne brzmienie. Mówiąc to czuł, że przez jego głowę przelatuje kilkadziesiąt najdzikszych myśli. Mimo to zmusił się, by zaczekać na odpowiedź Gepty.

- Między innymi - szepnął czarownik - Ostateczny Instrument Muzyczny.

Wspaniale - pomyślał Calrissian czując, że wszystkie marzenia walą się w gruzy. To mogły być przecież diamenty, platyna czy płomienioklejnoty. Mogła być nieśmiertelność albo absolutna władza; mogło być ostatecznie dobre pięciomikrokredytowe cygaro. Tymczasem temu gościowi zależało na cytrach albo puzonach.

- Myślöharka Sharów - zaczął Gepta, sadowiąc się na krześle - była pośród Toków obiektem prymitywnych wierzeń w ciągu tylu stuleci, że ich liczby nie można sobie nawet wyobrazić.

Jak bez wątpienia doskonale wiesz, obecnie zamieszkujący Rafę ludzie - nie wspominając o wielu innych przedstawicielach ras inteligentnych istot - przybyli tu, jeszcze zanim zaczęła sprawować władzę nie istniejąca i nie opłakiwana przez nikogo Republika. Historycy na ogół nie doceniają faktu, iż w tamtych chaotycznych czasach, po których nie zachowało się wiele raportów czy sprawozdań, również prowadzono badania naukowe i usiłowano te światy kolonizować. Wiadomo jednak, że kiedy do systemu Rafy przybyli pierwsi koloniści, zastali przedstawiciele podobnych do ludzi tubylców.

Toków.

Muszę także dodać, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat zatrudniałem specjalistów - antropologów, etnologów i innych naukowców, spośród których wielu zostało zesłanych do tej karnej kolonii i starało się za wszelką cenę poprawić własny byt i złagodzić warunki odbywania kary - by obserwowali, badali, rejestrowali i analizowali wszystko, co wiązało się z rytuałami Toków. Wierzyłem, że na dłuższą metę może mi to przynieść korzyść albo pozwoli uzyskać jakieś cenne informacje. Może nie wiesz, ale od przypadku do przypadku, w nieregularnych i niemożliwych do przewidzenia odstępach czasu, tubylcy zbierają się w niewielkich grupach i śpiewają rytualne pieśni. Wiele wskazuje na to, że kiedy je śpiewają, przekazują z pokolenia na pokolenie informacje, stanowiące dziedzictwo ich rasy.

Z ich legend wynika, że oni także pochodzą z jakiegoś odległego miejsca galaktyki. Ich przodkami byli podróżnicy i badacze, dysponujący technikami, które później zostały odrzucone albo zapomniane. Oni także po przybyciu na Rafę przekonali się, że jest zamieszкана. Ich legendy wspominają, że przez Sharów - nadludzkie istoty, wyprzedzające nas pod względem rozwoju techniki o miliony lat, a może nawet miliardy. Zbyt straszne, żeby można było na nie patrzeć czy chociażby szczegółowo opisywać.

Rzecz jasna, to właśnie Sharowie wzniesli te wszystkie monumentalne budowle, z których tak słynie cały system. Styl architektury istot pozwala na wyciągnięcie wniosku, że ich sposób myślenia i postrzegania świata był spaczony, a w każdym razie różnił się od naszego. Nie wiemy, czy „Ujarmionych Ludzi” okiełznało samo spotkanie z Sharami, czy też może późniejszy pospieszny odlot tych dziwacznych istot.

Ponieważ wiadomo, że odlecieli.

Z legend wynika, że uciekli, przerażeni perspektywą spotkania z czymś, co wydawało się im jeszcze straszniejsze niż oni. Coś, czego się bardzo obawiali. Niestety, nie mamy pojęcia, czy chodziło o istoty innej rasy, czy zarazę, czy też coś, czego nawet nie umiemy sobie wyobrazić. Pozostawili gigantyczne budowle. Porzucili nawet życiokrystalowe sady, których pierwotny cel założenia pozostaje dla nas taką samą tajemnicą jak wszystko inne, co dotyczy Sharów. Zostawili także Toków, zdruzgotanych i osłabionych wskutek jakiegoś aspektu kontaktów, jakie utrzymywali z Sharami.

Zastanawiając się nad tym, co usłyszał od Gepty, Lando pozwolił podać sobie następne cygaro.

Wydawało mu się, że uzyskanie odpowiedzi na pytanie, co okiełznało „Ujarmionych Ludzi”, ma o wiele mniejsze pragmatyczne znaczenie niż to, co tak bardzo przerażyło ich nadludzkich panów. Nie potrafił znieść myśli, że w galaktyce może nadal czaić się coś podobnego. Żywot kapitana gwiazdowego statku (mimo iż wiedział o tym bardziej z cudzego doświadczenia niż z własnego) polegał przecież na samotnym przemierzaniu w absolutnych ciemnościach wielu długich parseków. Niejeden statek znikał w przestworzach, nie pozostawiając po sobie śladu choćby w postaci smugi neutrin.

Uczynny służący, ominąwszy szerokim łukiem czarownika Geptę, zapalił cygaro Calrissiana.

Hazardzista odezwał się po chwili:

- A co to wszystko ma wspólnego ze mną?

Gepta wyciągnął spod między luźnych fałd ciemnoszarego płaszcza przedmiot wielkości ludzkiej dłoni, wykonany z jakiegoś lekkiego, błyszczącego złocistego metalu. Tym razem Lando zamrugał.

Oglądane pod pewnym kątem, urządzenie przypominało spory, trójzębny widelec... ale tylko do czasu, kiedy młody hazardzista spojrzał na nie po raz drugi. Ile właściwie miało zębów: dwa czy cztery? A może jednak znów trzy? Kiedy się nań spoglądało, dziwny przedmiot wyglądał, jakby ciągle zmieniał kształty. A jeżeli patrzyło się ze zbyt małej odległości albo przez czas dłuższy niż kilka sekund, przyprawiał o ból głowy.

Gepta położył ostrożnie urządzenie na blacie kryształowego biurka Duttesa Mera; choć nieruchome, nie przestało sprawiać wrażenia, że wiję się i zmienia położenie. Gubernator wpatrywał się w nie z trudnym do określenia wyrazem twarzy, będącym czymś pośrednim między chciwością a przerażeniem. - Mamy podstawy, aby sądzić, że ten przedmiot jest Kluczem - możliwe nawet, że miniaturową Myśloharfą, aczkolwiek to ostatnie traktujemy tylko jako przypuszczenie. Został... hm... powiedzmy... zdobyty w niepozornym, obskurnym muzeum, znajdującym się w zupełnie innym gwiazdowym systemie. Jesteśmy jednak absolutnie pewni, że pochodzi z systemu Rafy i stanowi autentyczny artefakt, wykonany rękami Sharów. Co do tego nie mamy najmniejszych wątpliwości.

Mimo iż nic mu o tym nie powiedziano, Lando czuł, że za skąpym wyjaśnieniem, którego zechciał mu udzielić czarownik Gepta, kryje się bezmiar oszustw, zdrad i nieprawości. Nie miał cienia złudzeń, że uczyni lepiej, jeżeli nie będzie wypytywał o szczegóły tej historii.

- Klucz - powtórzył. - Co, u licha, otwiera, jeżeli można zapytać?

- Można zapytać - odparł czarownik szeptem, w którym zabrzmiała groźba. - Pod warunkiem, że w przyszłości okażesz więcej szacunku i poważania, niż miałeś zwyczaj okazywać do tej pory!

- Po tysiąc kroć przepraszam! - Lando postarał się, żeby w je-go głosie nie zabrzmiał choćby cień sarkazmu. Miał nadzieję, że częściowo mu się to udało. - Błagam, zechciej mi wyjawić, o szlachetny magiku, co takiego on otwiera?

Gepta milczał przez chwilę, jakby chciał się upewnić, czy hazardzista rzeczywiście myśli to, co mówi, ale później wzruszył ramionami i pomyślał, że przecież to i tak nie ma praktycznego znaczenia.

- Istniejące dowody pozwalają się domyślać, że umożliwia dostęp do Myśloharfy Sharów. A Myśloharfa jest przedmiotem, opiewanym w trakcie tysiąca rytuałów Toków. Ci głupcy wierzą, że instrument wytwarza muzykę tak rozkoszną i słodką - już sam ten fakt świadczy o tym, że musi być bardzo cenny! - iż potrafi wzruszyć nawet najbardziej nieczułe serca i to na odległości dzielące całe gwiazdne systemy.

Rafa zaliczała się do systemów, liczących wiele planet, ale Lando wziął pod uwagę ogromne przestrzenie dzielące je idealnej próżni i postanowił nie wypowiadać się na ten

temat. Słyszał o wielu legendach, z których później nic nie wynikało.

Gepta wspomniał, że w niektórych wersjach legend wymieniana się Myślóharfę jako najważniejsze urządzenie, umożliwiające porozumiewanie się między potężnymi Sharami i ich ludzkimi „ulubieńcami”. Nie potrafił jednak odpowiedzieć na pytanie, jak wygląda Myślóharfa i gdzie można ją odnaleźć.

Na te pytania miał odpowiedzieć właśnie Lando.

W przeciwnym razie...

Młody hazardzista zastanawiał się w duchu, jaką wartość może mieć taki instrument muzyczny dla gubernatora systemu albo czarownika Tundów. Przede wszystkim jednak rozmyślał o strasliwym nieznanym czymś, co sprawiło, że rzekomo potężni Sharowie opuścili rodzinny system i umknęli jak ogarnięte paniką myszy.

- No, dobrze - odezwał się w końcu. - Co dostanę, jeżeli znajdę wam tę Myślóharfę?

Czarownik obrócił się na krześle i spiorunował Calrissiana pełną mocą szalonych, przerażających oczu.

- Co powiedziałbyś na to, że nadal będziesz cieszył się wolnością?

Po raz pierwszy od czasu, kiedy przyniósł czarownikowi krzesło, Duttes Mer znalazł w sobie dość siły i odwagi, by przemówić.

- Możesz także pomyśleć o swoim statku.

- I swoim życiu! - zagrmiał Gepta tonem, który sprawił, że kość ogonowa młodego hazardzisty niespokojnie zadrżała.

Mimo to Lando zignorował jego uwagę, starając się okazywać nonszalancję, na jaką z trudem się zdobywał.

- No cóż - powiedział. - Dwie rzeczy z tych trzech są całkiem niezłe. Prawdę mówiąc, zamierzałem sprzedać statek. Nie mam z niego żadnego...

- Nie zrobisz tego, głupi śmiertelniku! - Gepta nagle chyba urósł, a w każdym razie wydał się potężniejszy i groźniejszy. - Ruiny Sharów znajdują się na wszystkich planetach tego systemu. Na razie nie mamy pojęcia, gdzie czeka na nas ta Myślóharfa. Statek może ci być potrzebny po to...

- Dobrze, dobrze. Rozumiem, o co ci chodzi. - Lando pogratulował sobie w duchu, że zdobył się na odwagę i przerwał czarownikowi. Nie znosił, kiedy był zastraszany przez kogokolwiek, i wyrobił w sobie nawyk jak najszybszego reagowania, aby nie dopuszczać do takich sytuacji. - Dostanę statek, którego nie chcę, a oprócz niego wolność i życie — którymi i tak się cieszyłem, zanim postawiłem stopę w waszej zaściankowej metropolii. Nie chciałbym sprawiać wrażenia, drodzy koledzy, że nie doceniam ogromu waszej hojności, ale może porozmawiamy o jakiejś małej premii. Co powiedzielibyście na temat pokrycia kosztów bieżących wydatków?

Mer pochylił się nad blatem biurka, co stanowiło wyczyn nie lada, zważywszy na podobny do pnia drzewa tors oraz szyję, której poskapiła mu matka-natura. Jego twarz pociemniała chyba z gniewu albo oburzenia. Gubernator otworzył usta, zamierzając coś powiedzieć, ale zamarł, usłyszawszy krótki syk, jaki wydobył się z ust Gepty.

- Bodźce, drogi gubernatorze, bodźce. Nie zatyka się otworów wlotowych automatów rafinujących paliwo. Rzeczywiście powinniśmy zaproponować dzielnemu kapitanowi coś, co stanowiłoby drobną rekompensatę. Kapitanie Calrissian, czy zechciałbyś wyrazić zgodę, żeby były nią pełne ładownie wyhodowanych w naszych sadach życiokryształów?

Ton, jakim odezwał się czarownik, sugerował, że jest to propozycja nie do odrzucenia. Zdumiony Mer uniósł głowę i popatrzył na „kolegę”. Możliwe, że obawiał się odzianej na czarno postaci, ale dyskutowano przecież o czymś, co zapewniało mu byt i utrzymanie. Ponownie otworzył usta, ale kiedy przekonał się, że Gepta nie żartuje, natychmiast zamknął je i cicho jęknął.

Lando wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Wyobrażam sobie, jakie mnóstwo papierkowej roboty będzie musiał ktoś odwalić, żeby zatuszować braki w magazynach.

- Przecież właśnie w tym celu, drogi kapitanie, zatrudniamy urzędników - odparł czarownik. Odwrócił się w stronę Mera i spiorunował go pogardliwym spojrzeniem, pod którego wpływem gubernator zwiotczał i spuścił głowę.

- Na razie idzie ci całkiem dobrze, Gepta. Powiedz tylko, co powstrzyma was, kiedy już dostarczę wam tę Myśloharfę, przed pochwyceniem mojego statku i ponownym oddaniem mnie pod opiekę waszych miłych i uprzejmych policajów? Najhojniejsza i najbardziej ekstrawagancka propozycja w całej galaktyce jest doprawdy niewielką ceną, jaką musielibyście zapłacić, gdybyście nie zamierzali...

- Spokój! - przerwał Gepta, a później popadł w zadumę. Po długiej chwili ciszy ciągnął:

- Dostarczymy ci te kryształy, jeszcze zanim wyruszysz na poszukiwania Myśloharfy... Ciska, gubernatorze! Wydamy jednak zatrudnionym w kosmoporcie Teguta Lusac sługom polecenie uniemożliwienia „Sokołowi Milenium” opuszczenia tego systemu - na wszelki wypadek, gdybyś nie zamierzał dotrzymać swojej części umowy. Mimo to będziesz mógł latać nim bez przeszkód między planetami, należącymi do systemu. Kiedy dostarczysz to, na czym nam zależy, naprawimy twój statek i będziesz mógł odlecieć, dokądkolwiek zechcesz. Zgadzasz się na to?

Lando zaczął się zastanawiać. Właściwie nadal nie dysponował żadnymi gwarancjami. Prawdę mówiąc, cała sprawa wyglądała równie parszywie jak na początku, tyle że teraz przynętę stanowił statek - a raczej możliwość latania z prędkościami nadświatłymi - a nie życiokryształy. Mimo to był przekonany, że nie usłyszy żadnej innej propozycji.

- Niech będzie - odparł, a z jego piersi wyrwało się głębokie westchnienie, sprawiające wrażenie przynajmniej w połowie prawdziwego. - To lepsze niż gnienie w więzieniu.

Albo pozwalanie, żeby życiokryształowe sady wysysały cały rozum - pomyślał ponuro.

ROZDZIAŁ V

- Nie mam najmniejszego pojęcia! A poza tym, właściwie co cię to obchodzi?

Człapiąc ponuro waziutkim chodnikiem, Lando kierował się w stronę najbliższego przystanku środka komunikacji. Zwrócono mu mundur i wszystkie inne skonfiskowane przedmioty, nie wyłączając miniaturowego paralizatora. Zwrot tego ostatniego - pomyślał z goryczą - zapewne miał być jeszcze jedną lekcją, jakiej chcieli udzielić mu Duttes Mer i Rokur Gepta, pragnący w ten nieco ironiczny sposób podkreślić, że jest zdany na ich łaskę i niełaskę. No cóż, jeszcze im pokaże.

Obok niego dreptał Vuffi Raa, niosący resztę bagażu, który także trochę ucierpiał podczas nocnej wizyty funkcjonariuszy w apartamencie hotelowym.

- Ale, mistrzu, to znaczy, panie Calrissian...

- Możesz mówić mi Lando!

- Aha. Lando, jak mam panu pomóc, jeżeli nie chce pan mi powiedzieć, czego właściwie się po nas oczekuje? W ogóle nie wiem, o co chodzi. Spędziłem całą noc, zamknięty w policyjnym magazynie skonfiskowanych przedmiotów, gdzie upchnięto mnie między belami nielegalnie sprowadzanych tytoniopodobnych roślin a drucianymi koszami, wypełnionymi wibroostrzami, siekierami i innymi narzędziami mordu.

Wspominając je, mały android nie potrafił powstrzymać drżenia, które zaczęło się w miejscach połączenia torsu z kończynami, przeniknęło wszystkie pięć giętkich macek i skończyło na spiczastych, chociaż lekko zaokrąglonych czubkach palców.

Dopóki atak trwał, bagaże Calrissiana także drżały i podskakiwały.

- Czy pan wiedział - zapytał cicho robot pojednawczym tonem - że większości zabójstw współmałżonków, jakie są popełniane w tym systemie, dokonuje się za pomocą odlewanych z tytanu rondli?

Lando nagle przystanął i nie kryjąc gniewu, popatrzył z góry na małego androida.

- Zadając nim niespodziewany, ale silny cios w tył czaszki czy może gotując w nim na wolnym ogniu? Posłuchaj, mechaniczny albatrosie, nie gniewam się na ciebie ani nie czuję urazy. Po prostu chodzi o to, że nie mam pojęcia, gdzie ani w jaki sposób mam zacząć te idiotyczne poszukiwania, do jakich zmuszono mnie groźbą i szantażem. A poza tym, domyślam się, że miałbym o wiele większą szansę, gdybym nie musiał marnować czasu, potykając się o bezużytecznego...

- Mistrzu, nie zamierzam w tej sprawie sprzeciwić się pańskiej woli. Prawdę mówiąc, coś takiego klóciłoby się z najbardziej podstawowymi regułami mojego oprogramowania - i to tak bardzo, że nawet mogłoby mnie unieruchomić. Mimo to...

- Nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie! - wybuchnął Calrissian.

- Mimo to, zanim zechce pan mnie sprzedać, postanowiłem udowodnić, że wcale nie jestem bezużyteczny. Wręcz przeciwnie. Może nawet do pewnego stopnia niezastąpiony.

Lando ponownie przystanął i wcale nie przejmując się tym, że uczynił to na samym środku chodnika, popatrzył pogardliwie na małego, objuczonego walizkami robota. Ciężko westchnął.

- Bardzo chciałbym to zobaczyć, ty podszyta tchórzem szacowna zbieranino oporników i zębatych kółek. Co właściwie masz na myśli?

Vuffi Raa jednak nie odpowiedział. Zapadła długa cisza, w trakcie której dały się słyszeć tylko odgłosy mknących wąską, krętą ulicą repulsorowych śmigaczy i poduszkowców.

Nagle robot przemówił.

- A więc na tym polega cała trudność. Wydaje mi się, że rozumiem, o co chodzi. Apartament hotelowy. Policjanci. Pańskie wołanie o ratunek. O ile dobrze zrozumiałem, wołałby pan, żebym okazał panu... ehm... fizyczne poparcie. Czy miałbym to uczynić nawet wówczas, gdyby pogorszyło to pańską sytuację i wydłużyło listę zarzutów, jakie panu postawiono?

Lando odwrócił się na obcasie buta i bez słowa ruszył dalej wąskim chodnikiem. Minął go wehikuł, wiozący kilkoro gamoniowatych turystów, którym android-kierowca, chwilowo pełniący również obowiązki przewodnika, opowiadał to wszystko, co wiedział o cywilizacji Sharów. Nie było tego bardzo wiele.

- Mistrzu! - krzyknął android w ślad za oddalającym się hazardzistą, po czym puścił się w pogoń. - Nie mogłem nic zrobić! Moje specjalistyczne oprogramowanie, z którego jestem taki dumny, zabrania mi...

- Dość tych głupstw! - prychnął Lando, znajdując jakąś dziwną radość w wyładowywaniu złości na bezbronnym towarzyszu. Tym razem jednak nie odwrócił się w stronę Vuffi Raa ani nawet nie zwolnił kroku. Mały automat musiał jeszcze bardziej przyspieszyć, co wyglądało dziwacznie, jako że był objuczony walizkami. Minął Calrissiana i przystanął w taki sposób, że zagroził rozgniewanemu hazardziście dalszą drogę.

- Proszę pana, nie zaprogramowano mnie, żebym brał udział w burdach czy bijatykach. Nie wolno mi skrzywdzić żadnej inteligentnej istoty, czy to organicznej, czy też mechanicznej - podobnie jak pan nie może zacząć machać rękami i odlecieć z tej planety.

- Sam potwierdziłeś to, co poprzednio powiedziałem - oznajmił Calrissian, zdumiony uporem i natarczywością dziwnego automatu. Obszedł go i ruszył w dalszą drogę. - Do niczego cię nie potrzebuję.

- A zatem uważa pan - powiedział cicho robot, zwracając się w stronę coraz szybciej

oddalających się pleców kapitana - że przemoc stanowi jedyne rozwiązanie wszystkich problemów, a szerzenie jej jedynie słuszną czy pożądaną cechą, jaką ceni pan u przyjaciela albo towarzysza doli i niedoli?

Lando zamarł tak nagle, że nawet nie zdążył postawić drugiej stopy na chodniku. Kiedy usłyszał bijące z głosu Vuffi Raa rozgoryczenie i obrzydzenie, znieruchomiał w pół kroku. Ostrożnie postawił stopę, po czym powoli się odwrócił i popatrzył na robota. Uświadomił sobie, że nie tylko toczył dyskusję z przedmiotem -ale przegrywał w pojedynku z nim na argumenty!

Oczywiście, że mały android miał rację. Z jakiegoż innego powodu on sam, Lando Calrissian, nigdy nie nosił żadnej innej broni oprócz wetkniętego za szeroką szarfę mikroskopijnego paralizatora? Zawsze uważał, że inteligentne istoty wszystkich ras powinny kierować się w tym, co robią, rozumem, sprytem i siłą woli. Tylko bezmyślni brutalnie polegali na sile własnych pięści... własnych albo przyjaciela.

Uświadomiwszy sobie to, Lando zamarł po raz drugi. Właściwie odkąd zaczął uważać Vuffi Raa za przyjaciela?

- No cóż, mistrzu - odezwał się zamyślony android. - O ile dobrze zrozumiałem pańską sytuację, musi pan odnaleźć zamek, do którego pasuje ten Klucz. Mimo to nie ma pan najmniejszego pojęcia, czy ów zamek - który może być równie dobrze przedmiotem materialnym, jak metaforą - w ogóle znajduje się na tej planecie. Czy mam rację?

Zrezygnowany Lando kiwnął głową. Pozwolił, żeby śmignęły obok niego trzy kierujące się w stronę kosmoportu wehikuły, a w tym czasie opowiedział androidowi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

- Masz rację. Zrozumiałeś wszystko prawidłowo. A zatem, stary smarożłopie, udowodniłeś, że jesteś dobrym tragarzem walizek i magnetofonem. Czy potrafisz jeszcze coś, o czym mi nie powiedziałeś?

Przesunął się na ustawionej obok przystanku ławce w taki sposób, że siedział teraz odwrócony plecami do małego androida. Irytowało go nie to, że Vuffi Raa nie był mu do niczego potrzebny, ale fakt, iż automat zmusił go, aby zdał sobie sprawę z kilku własnych błędów.

- Błagam o wybaczenie, mistrzu, ale wszystkie wymagające smarowania łożyska i przekładnie, w które mnie wyposażono, zostały hermetycznie zamknięte i nie wymagają żadnego...

Lando odwrócił się ku niemu tak szybko, jakby nagle coś go użądliło.

- Już dobrze, daj sobie spokój z tą techniczną dosłownością. Obaj doskonale wiemy, że jesteś zbyt inteligentną maszyną, żeby przywiązywać do tego jakąś wagę. Chodzi mi o to, czy masz może jakiś pomysł? Jeżeli chodzi o mnie, właśnie mi się skończyły. Przez krótką chwilę w pojedynczym czerwonym oku Vuffi Raa migotało coś, co można byłoby uznać za figlarne błyski.

- Tak, mistrzu, mam. Gdybym musiał odnaleźć coś starożytnego i wartościowego, doskonale wiedziałbym, w jakim miejscu zacząć poszukiwania. Udałbym się do...

Lando zmarszczył brwi, ale w tej samej chwili rozpromienił się i zeskoczył z ławki.

- Na Wiekuistego, oczywiście! Dlaczego od razu mi tego nie powiedziałeś? Dlaczego ja sam na to nie wpadłem? Z pewnością warto tego spróbować. Może jednak, mimo wszystko, na coś mi się przydasz!

Stawiając długie kroki, Lando pospieszył do najbliższego baru, znajdującego się w sąsiednim budynku, kilkanaście metrów od przystanku. Wszedł do środka, ale po sekundzie wychylił głowę.

- Zaczekaj tam na mnie! - krzyknął i pokazał na napis, wystawiony w oknie lokalu, w którym podawano trunki.

ŻADNYCH BUTÓW, KOSZUL I HEŁMÓW Z WYMYŚLNYMI FILTRAMI

NIE MA AUTOMATYCZNEJ OBSŁUGI

ANDROIDOM WSTĘP WZBRONIONY

- Ależ, mistrzu! - zaprotestował mały robot, kierując te słowa w stronę poruszających się wahadłowych drzwi lokalu. - Miałem na myśli publiczną biblioteką!

Pozbywszy się w taki sposób niepożądanego pomocnika, Lando z ulgą wkroczył do chłodnego, chociaż niezbyt zacisznego wnętrza „Polipiramidy”, jednego z wielu lokali, jakich nie brakowało w Teguta Lusac. Nie widział w nim niczego szczególnego, co zachęciłoby go - albo wręcz przeciwnie - do odwiedzenia właśnie tego miejsca. Po prostu wykorzystał fakt, że było pierwszą z brzegu pijalnią alkoholu etylowego, jaką zauważył, spiesząc wąskim chodnikiem.

Usiadł przy stoliku.

Prawdą mówiąc, wiedział, czego szuka - i to od pierwszej chwili, kiedy opuścił mury gabinetu gubernatora. Powinien dowiedzieć się, gdzie i kiedy zostanie zorganizowane najbliższe zebranie Toków. Niestety, życie rzadko podsuwa to, czego się potrzebuje. Jeżeli miał wierzyć w to, co powiedział Gepta, jedyne osoby, które mogły coś wiedzieć na temat Sharów, były zbyt prymitywne, aby organizować jakiegokolwiek zebrania albo spotkania - czy cokolwiek innego. Nie mieszkaly w wioskach, nie należały do klanów ani nawet, o ile wiadomo, nie zakładały prawdziwych rodzin.

Tyle że od przypadku do przypadku, w nie dających się przewidzieć odstępach czasu, łączyły się w niewielkie grupy, żeby wyć do księżyca jak dzikie zwierzęta. Co prawda, Rapy Cztery nie okrążał żaden księżyc, ale Lando pomyślał, że takie porównanie było jak najbardziej uzasadnione.

Młody hazardzista uświadomił sobie, że jedynymi miejscami, w których zawsze spotykał tubylców - jeszcze zanim dowiedział się, kim albo czym są - były bary. Zazwyczaj istoty zamiatwały sale, czyściły spluwaczki i wykonywały setki innych podobnych czynności, których wykonywaniem zajmowały się w innych systemach najmniej inteligentne androidy. W systemie Rapy zaś barmani i klienci ich lokali mogli żywić do woli uprzedzenia, jakie mieli względem automatów. Traktowani na poły jako niewolnicy, Tokowie wykonywali te same czynności lepiej i o wiele taniej.

Lando rozejrzał się po sali. Wybrał stół, ustawiony mniej więcej pośrodku sali, w równej odległości od przeciwległej ściany i od kontuaru, ciągnącego się wzdłuż lewej, oraz rzędu nisz, wykutych w prawej. Na ogół siadał w takim miejscu, aby móc widzieć wszystko, co dzieje się w środku, a przy tym nie potrzebować oglądać się przez ramię. Zazwyczaj był to jeden ze stolików, ustawionych blisko kąta sali.

Teraz jednak zależało mu na tym, żeby być widzianym.

„Polipiramida” była lokalem chętnie odwiedzanym przez ciężko pracujących robotników. Na ścianach wisiały wyblakłe obrazy, pomiędzy którymi zawieszono zdjęcia, wykonane podczas zawodów sportowych, jakie rozgrywano na co najmniej kilku innych planetach. Możliwe, że na innym, mniej kosmopolitańsko nastawionym świecie, przeważałyby pikantne podobizny skapo odzianych istot płci żeńskiej, ale tam, gdzie nagość jednej osoby stawała się koszmarem innej, zmysłowość ustępowała miejsca innym przedmiotom. Należały do nich nieporadnie wypchane okazy galaktycznej fauny, zawieszane na ścianach albo na przymocowanych do sufitu drutach. W tym przypadku przedstawicielami owej fauny był porośnięty sierścią pstrąg z Paulkinga Czternaście i szakalopa z Douglasa Trzy.

Podobnie jak wnętrza innych barów, to także było jaskrawo oświetlone i rozbrzmiewało gwarem głośnych rozmów. To ostatnie wydało się hazardziście trochę dziwne, zważywszy na niewielu klientów, przebywających w lokalu z powodu stosunkowo wczesnej pory. Po

obu stronach wyposażonych w żaluzje tradycyjnych drzwi zauważył parę wewnętrznych, podpartych dwoma gigantycznymi laserowymi wiertarkami. Urządzenia zapewne pozostawili na pamiątkę zatrudnieni w kopalniach Rify Trzy górnicy, którzy często spędzali wakacje na Czwórcie i mieli zwyczaj przesiadywania właśnie w tym lokalu. W kącie sali Lando dostrzegł nie rzucającego się w oczy tubylca, zajętego wysypywaniem zawartości popielniczek do kubła z odpadkami.

Wycierając sękatę dłoń o ciemnozielony fartuch, do stolika hazardzisty podszedł barman - kościsty mężczyzna w trudnym do określenia wieku. Krótko przystryżone włosy, które jeszcze mu nie wypadły, porastały boki i tył lśniącej łysej głowy. Przyjaciele mogliby określić jego nos mianem dużego; inni nazwaliby go po prostu okazałym. Pod nosem widniał tatuaż, a na ustach malował się szyderczy uśmiech.

- Knajpę dla astronautów znajdziesz se trzy domy dalej, Mac, w stronę przedmieść - odezwał się mężczyzna, dziwacznie przeciągając sylaby. - W tem lokalu gościom przeważnie górników.

Lando uniósł jedną brew.

- Nie gadam, że nie możesz se tu pociągnąć - ciągnął barman. Tyle że chyba ci się nie spodoba, kiedy wpadnom tu na jednego chopaki z porannej szychty.

Wyglądało na to, że żylasty mężczyzna nie nawykł do wypowiadania tylu słów w tak krótkim czasie. Kołysząc się na palcach stóp i piętach, stał przy stoliku i spoglądał na Calrissiana spod pół-przymkniętych, jakby sennych powiek. Sprawiał wrażenie gotowego na wszystko, ale zarazem odprężonego. Z jego ust zwiślał niedopałek potwornie cuchnącego cygara, a po jednej stronie fartucha można było zauważyć spore i groźnie wyglądające wyrzuszenie.

Lando lekko kiwnął głową.

- Dziękuję za radę, ale mam się tu z kimś spotkać. Czy ma pan pod ręką filiżankę kofeiny?

Dopóki nie usiadł przy stoliku, nie pamiętał o nieprzespanej nocy, którą spędził w gabinecie gubernatora. Teraz zaczynało mu to dawać się we znaki.

- Podaje jom mojem najlepszym gościom, a i to tylko niektórym - odparł barman. - Migiem przyniesie.

Uczył ruch, jakby zamierzał odejść, ale widocznie o czymś sobie przypomniął, gdyż ponownie odwrócił się do Calrissiana.

- Ale pamiętaj, Mac, o tym, co ci gadałem. Za łubki i bandażę płacisz z własnej kasy.

Lando ponownie kiwnął głową, po czym wyciągnął z kieszeni na piersi jedno z cygar, jakie dostał od gubernatora, i wygodnie rozsiadł się na krześle. Po chwili, jakby od niechcenia, wyjął z wewnętrznej kieszeni Klucz i demonstracyjnie zaczął go oglądać, przedmiot zostałby uznany za koszmar przez każdego okulistę. Nawet trzymany nieruchomo, wyglądał, jakby żył własnym życiem. Odnosiło się wrażenie, że nieustannie zmienia barwy i kształty. Trudno byłoby powiedzieć, czy ma dwa, trzy, czy też może cztery zęby, ponieważ zależało to od kąta, pod jakim nań się spoglądało. Jeżeli, mimo wszystko, patrzyło się pod jednym i tym samym kątem, Klucz uczynnie sam zachowywał się w taki sposób, jakby go się obracało. Lando odwrócił głowę i popatrzył w kąt sali.

Siedział tak przez czterdzieści pięć minut, ale wyglądało na to, że nikt nie zwrócił na niego uwagi. Dawno wypił kofeinę i znużył się paleniem cygara. W końcu wstał, schował Klucz i zapłacił, nie zapominając o pozostawieniu niewielkiego napiwku. Zanim wyszedł na ulicę, przyjaźnie kiwnął głową kościstemu barmanowi.

- Mistrzu?

- Nie nazywaj mnie mistrzem! Chodźmy, poszukajmy innego baru.

ROZDZIAŁ VI

Obok drzwi wejściowych następnego lokalu, który zdecydował się odwiedzić, widniała niewielka brązowa tabliczka, głosząca:

URZĄDZENIA NIE SĄ PRZYSTOSOWANE DO OBSŁUGIWANIA MECHANOLUDZI.

Znaczyło to tyle samo, co: „Androidom wstęp wzbroniony”.

Nawet jeżeli wziąć pod uwagę oryginalne brzmienie, stwierdzenie miało się z prawdą. Vuffi Raa znalazł dla siebie coś w rodzaju spokojnej, specjalnie urządzonej poczekalni, wyposażonej w odpowiednie meble i urządzenia do ładowania źródeł energii. Okazało się, że w lokalu hołdowano bigoterii jedynie najdelikatniejszego, najmniej uciążliwego rodzaju. Lando pozostawił robota obok innych, zajętych oglądaniem miejscowego serialu video-fonicznego.

W środku ujrzał aż trzech Toków, zajętych rozprowadzaniem po podłodze mniej więcej takiej samej warstwy brudnej wody. To, że oni sami, a prawdopodobnie i ich pracodawcy uważali, że ją myją, dowodziło, iż ambicje i higiena niekoniecznie muszą iść w parze.

Nie zapadły jeszcze ciemności, a zatem w lokalu nie przebywało wielu stałych klientów, regularnie zaglądających każdego dnia, by się napić. Calrissianowi wcale to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, nie interesowali go bywalcy.

Tym razem spędził przy stoliku ponad godzinę, popijając jakiś gorący, pobudzający napój i dyskretnie bawiąc się Kluczem. Przekonał się, że przedmiot oddziałuje w dziwny sposób nie tylko na wzrok, ale także na dotyk. Odkrył to, kiedy zamknął oczy i starał się badać przedmiot, obracając go w palcach. Klucz zachowywał się w sposób nawet jeszcze bardziej przyprawiający o mdłości, który można było określić mianem „perwersyjnego”. Kiedy hazardzista otworzył oczy, odczuł coś, co przypominało głęboką ulgę.

Kilka razy mógłby przysiąc, że ten czy ów tubylec intensywnie wpatruje się w niego, kiedy sądzi, że Lando nie spogląda w jego stronę.

Dokładnie takiej reakcji się spodziewał. W jego serce powoli zaczęła wstępować nadzieja.

Po następnej godzinie, w trakcie której odwiedził dwa inne bary, zawitał ponownie do „Odpoczynku Astronauty” - tego samego lokalu, dokąd wpadł poprzedniego wieczora, aby zagrać w sabaka. Wydawało mu się, że od tamtego czasu upłynęło przynajmniej tysiąclecie. Mimo wszystko, było jeszcze tak wcześnie, że nigdzie nie zauważył wysokiego właściciela, którego twarz zdołały aż dwie pary wąsów, ale stojący za kontuarem android najprawdopodobniej zatroszczył się o to, by odświeżyć obwody pamięciowe. Rozpoznał Landa bez trudu, gdyż powitał go serdecznym kiwnięciem metalowej głowy.

Hazardzista stwierdził, że po odwiedzeniu tylu barów w jego żyłach płynie nie krew, ale kofeina. Oparł się o kontuar i zamówił szklaneczkę prawdziwego trunku. Zaniósł ją do stolika i usiadł, po czym dyskretnie wyjął i zaczął obracać w palcach dziwne urządzenie. Jak poprzednio, czynił to w taki sposób, żeby wszyscy widzieli.

„Odpoczynek Astronauty” różnił się od poprzednio odwiedzanych lokali co najmniej pod kilkoma względami. Do najważniejszych zaliczało się to, że bar odwiedzali klienci różnych ras i płci, a android-barman usilnie namawiał Calrissiana, żeby nie pozostawiał Vuffi Raa na ulicy. Utrzymywał, że, mimo wszystko, mały robot jest przedmiotem, mającym sporą wartość (może kiedyś, dla kogoś innego - pomyślał Lando), a poza tym zapewne nie chciałby zostać ukradziony. To niewielkie mechaniczne cacko właśnie w tej chwili opierało się brzuchem o kant kontuaru (rzecz jasna, mówiąc w przenośni) i ucinało elektroniczną pogawędkę z barmanem, zajętym wycieraniem szklanek. Lando zawsze był ciekaw, o

czym mogą mówić między sobą automaty, ale nigdy nie na tyle, by je podsłuchiwać. Mimo iż w „Odpoczynku Astronauty” panowała atmosfera prawdziwej tolerancji, i w tym lokalu nie brakowało przedstawiciela nieszczęsnych Toków. Służący, którym był, jak zwykle, starzejący się biedaczysko, posypywał podłogą czerpanymi z wiadra plastikowymi trocinami. Calrissian poczuł, że w jego serce wstąpiła nowa nadzieja, kiedy przekonał się, iż warstwa trocin, jaką Tok rozsypał dookoła jego stolika, ma dwukrotnie albo nawet trzykrotnie większą grubość niż ta, którą posypał pozostałą część podłogi lokalu.

Staruszek, zarazem zafascynowany i przerażony, nie przestawał zataczać kręgów wokół stołu. Przypominał owada, bezwolnie Ignącego do źródła jaskrawego światła. Wpatrywał się jak urzeczony w Klucz i tylko od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia w stronę kontuaru, ale po chwili znów wracał do wpatrywania się w błyszczący przedmiot. Jeżeli niepokoił się o to, jak zareaguje barman na jego zachowanie, mógł się tym nie przejmować. Zajęty swoją pracą i pogrążony w rozmowie z Vuffi Raa android sprawiał wrażenie, że niczego nie zauważył. A może zwracanie uwagi na to, jak sumiennie pracują tubylcy, po prostu nie wchodziło w zakres jego obowiązków.

Nagle hazardzista, działając pod wpływem dziwaczного impulsu, który nakazał mu przekonać się, co się zdarzy, niespodziewanie schował Klucz z powrotem do kieszeni.

W tej samej chwili, kiedy to uczynił, Tok wypuścił wiadro, które z grzechotem potoczyło się po podłodze. Wybiegł przez tylne drzwi lokalu tak szybko, że niemal zdarł zasłaniającą je kotarę. Kilku klientów wytrzeszczyło oczy ze zdumienia. Zazwyczaj nic, absolutnie nic nie było w stanie skłonić ogarniętych letargiem i przedwcześnie postarzałych tubylców, by cokolwiek zrobili w pośpiechu.

Lando wstrzymał oddech. Czyżby szczęście miało mu dopisać tak szybko?

Gestem dał znak barmanowi, że prosi o następną szklaneczkę trunku. Usłużny Vuffi Raa przyniósł ją do stolika.

- Nadal uważam, mistrzu, że lepiej powiodłoby się nam w bibliotece.

Postawił szklankę na ciemnym, wypolerowanym blacie drewnianego stołu. Lando pił tego wieczora talmog, mieszaninę doprawionego korzeniami alkoholu etylowego i takiej samej ilości soku, wyciśniętego z owoców dzikiej róży - bardzo popularną w pozbawionych słońca i ośrodka masy gwiazdnych systemach, odległych o setki lat świetlnych od Rify Trzeba przyznać, że paliła i w gardle, i w przełyku, i w żołądku. Lando nienawidził takich trunków, które mógł popijać przez całą noc, w razie potrzeby wrzucając jedynie coraz to nowe kostki lodu.

- Posłuchaj, drogi przyjacielu. Pozwól, że to ja będę prowadził śledztwo. A jeżeli chcesz koniecznie wiedzieć, właśnie przed chwilą coś połknęło mojego robaka.

- Robaka, mistrzu? - Robot wyciągnął jedną mackę, którą w tej chwili się nie posługiwał. Pochylił się i podniósł szczyptą plastikowych trocin, po czym zbliżył do wielkiego czerwonego oka. - Wydaje mi się, że powinni utrzymywać tę salę w większej czystości. Może trzeba zgłosić ten fakt do Wydziału Sanitarnego...?

- Vuffi Raa, co powiedziałbyś na to, gdybym kazał przerobić cię na pudełko do sardynek?

Po raz drugi tego popołudnia w oku robota zapaliły się figlarne błyski.

- Mistrzu...

- Nie nazywaj mnie... - zaczął Lando, ale nie dokończył zdania.

Rozsiewacz trocin, który przedtem z taką uwagą przyglądał się młodemu hazardziście, przyprowadził chyba najstarszego pra-pradziadka spośród wszystkich prapradziadków, jakiego mógł znaleźć między i tak staro wyglądającymi pobratymcami - posiwiąłego, zasuszonego, zgrzybiałego i pomarszczonego tubylca, prawie zgiętego we dwoje pod ciężarem lat długiego życia.

Barman przestał wycierać szklaneczki i w milczeniu przyglądał się, jak starzec utykając, idzie w kierunku stolika hazardzisty. Proste, niemal białe, zmierzwiłone włosy zwisały mu aż do ramion.

- Lordzie - tchnął niemal niesłyszalnym szeptem stary tubylec, kłaniając się tak nisko, że dotknął czołem blatu stołu. - Wyście są Posiadaczem i Emisariuszem. To, co ukrywasz, o lordzie, jest zaiste legendarnym Kluczem, zaginionym przed niezliczonymi stuleciami.

Drugiego Toka nigdzie nie było widać. Czar prysnął. Barman wzruszył ramionami, aż zgrzytnęły mechaniczne stawy, po czym wrócił do poprzedniego zajęcia.

- Ja.. ehm... - zaczął Lando.

Teraz, kiedy nawiązał pierwszy kontakt, uświadomił sobie, że nie wie, co ma dalej robić. Starzec popatrzył na Vuffi Raa. Hazardzista spiorunował małego androida spojrzeniem, ale to nie pomogło mu pozbyć się dociekliwego automatu w sytuacji, która z całą pewnością wymagała ogromnego taktu i delikatności. Vuffi Raa pozostał przy stoliku, ale zwracał całą uwagę na starego Toka.

- Lordzie - powtórzył zgrzybiały starzec. - Jam ci jest Mohs, Naczelny Śpiewak Toków. Wiesli ty, co skrywasz w swojej kieszeni?

Staruszek wyprostował się na tyle, na ile pozwalały mu kości, i wówczas Lando zauważył na jego czole tatuaż, nieporadnie przedstawiający wizerunek Klucza.

- Nieprawdopodobnie stary artefakt - odparł, nieświadomie poklepując mające nieregularny kształt wybrzuszenie na piersi, w miejscu, gdzie znajdowała się wewnętrzna kieszeń. - Coś w rodzaju trójwymiarowego żartu. Ale proszę... siadaj. Nie zamówić ci czegoś do picia?

Starzec rozejrzał się ukradkiem po sali, jakby niepokoił się, czy ktoś go nie obserwuje. Na pooranej siecią głębokich zmarszczek twarzy pojawił się jakiś dziwny wyraz. Nawet tatuaż na czole zmarszczył się i ściągnął.

- Toż to nie jest dozwolone, lordzie. Ja...

- Mistrzu - próbował się znów wtrącić mały android.

- Zamknij się, Vuffi Raa! - warknął Lando. - No cóż, staruszkule - dodał, zwracając się do Mohsa. - Zechciałbyś... Czy nie zechciałbyś w takim razie powiedzieć mi czegoś więcej na temat tego Klucza?

Wyjął go z kieszeni i zaczął obracać w palcach. Zanim Mohs zdołał wymówić choćby słowo, przez kilka chwil sapał i dyszał.

- Azaliż chcesz w ten sposób wypróbować swojego sługę? A zatem, niech ci się ziści, jako chcesz, lordzie. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Następnie starzec wygłosił dość długi monolog, pełen jęków i osobliwych odgłosów, jakie wydaje się chyba tylko podczas płukania gardła. Wypowiedział go w dziwnym języku, który wydał się hazardziście znajomy. Zapewne był to mało używany dialekt, z jakim Lando zapoznał się podczas odwiedzin jakiegoś odległego gwiazdnego systemu.

Kilkunastu przebywających w sali gości zareagowało na to w sposób, którego nie można byłoby polecić jako wzór godny naśladowania. Obserwowali starca i słuchali, ale Lando nie mógł przemóc się i uwierzyć, że wyrazy ich twarzy były przyjazne albo chociażby obojętne. W pewnej chwili uświadomił sobie, że żałuje, iż nie usiadł przy stoliku ustawionym trochę bliżej wyjścia.

Tymczasem wygłaszany przez Toka monolog ciągnął się i włókł chyba bez końca. Od czasu do czasu Mohs wyciągał kościstą rękę i pokazywał Klucz. W tych chwilach, kiedy tego nie czynił, unosił głowę i kierował spojrzenie ku sufitowi. W końcu jęki i zawodzenia ustały.

- Azaliż wyrecytowałem wszystko prawidłowo, lordzie? Lando podrapał się po gładko ogolonej brodzie.

- Jasne. Idealnie. A teraz- to tylko jeszcze jedna próba, rozumiesz - czy nie zechciałbyś wygłosić skróconej wersji w rodzimej mowie? - Szerokim gestem pokazał pozostałą część sali. - Może udałoby ci się nawrócić choćby kilku tych niewiernych. Czy sądzisz, że dasz sobie z tym radę?

- Lordzie?

Starzec wyciągnął trzęsącą się dłoń w stronę Klucza, ale w ostatniej chwili chyba zmienił zdanie. Cofnął rękę, chociaż u-czynił to z widocznymi oporami, i zaczął:

- To jest klucz, należący do Nadludzi, lordzie Posiadaczu, Otwieracz Tajemnicy. To Rozjaśniacz Ciemności, to Drogowskaz. To Środek do Celu, to...

- Chwileczkę, drogi Mohsie. Po prostu powiedz, do czego służy.

- Ależ, lordzie, jak sam doskonale wiesz...

Starzec umilkł. Czyżby w oczach Naczelnego Śpiewaka Toków pojawiły się błyski wątpliwości? Po chwili starzec ciągnął, ale w tonie jego głosu zaszła bardzo trudno uchwytna zmiana.

- Uwalnia Myśloharfę Sharów, która z kolei...

- Nareszcie, to jest to! Posłuchaj, Mohsie. Jako oficjalny Posiadacz wybieram cię, żebyś poprowadził - rzecz jasna, w czysto ceremonialnym znaczeniu tego słowa - pielgrzymkę, na którą się udajemy. Zamierzamy posłużyć się tym Kluczem. Co ty na to?

Do umysłu Calrissiana zaczęła powoli przesączać się myśl, że wszystko tego wieczora idzie zbyt szybko i zbyt łatwo, ale młody hazardzista usunął ją z głowy. Musiał wywiązać się z obietnicy i postanowił przyjąć każdą zaproponowaną pomoc, która pozwoliłaby mu uporać się z tym jak najszybciej.

- Ależ, jakowóż inaczej moglibyśmy postąpić, lordzie? Musi stać się tak, jak zostało powiedziane, gdyż w przeciwnym razie w ogóle nic nie zostałoby powiedziane.

- Jestem pewien, że w twoim rozumowaniu kryje się jakaś luka, ale w tej chwili jestem zbyt zmęczony, żeby jej szukać - odparł Lando. - A więc, kiedy mógłbyś wyruszyć?

Staruszek uniósł krzaczaste, śnieżnobiałe brwi, a wówczas nieporadnie wytatuowany wizerunek Klucza na jego czole skurczył się jak miech akordeonu.

- W tejsze sekundzie, jeżeli takowa jest twoja wola, o lordzie. Nic nie może pokrzyżować Ich świętego planu.

Ponownie uniósł głowę i skierował pobożne spojrzenie ku wspornikom, podtrzymującym płyty sufitu.

- To świetnie - odparł hazardzista, kiedy spojrzenie Mohsa przestało darzyć uniesieniem białe krokwie. - Myślę jednak, że powinniśmy...

- Mistrzu!

Tym razem ton głosu Vuffi Raa wskazywał, że jest to sprawa niecierpiąca zwłoki.

- O co chodzi, Vuffi Raa?

- Mistrzu, słyszę odgłosy, z których wynika, że możemy wpaść w tarapaty!

- Tego tylko nam brakowało -jęknął Lando.

Nagle przez drzwi wpadł jakiś mężczyzna. Trzymał pokaźny blaster.

- No, dobra, kosmiczny chłoptasiu - warknął, kierując lufę wielkiej broni w Calrissiana.

- Przygotuj się na śmierć, bo za chwilę zginiesz!

ROZDZIAŁ VII

- Panie Jandler! - krzyknął barman. W jego elektronicznie syntetyzowanym głosie zabrzmiały chyba wszystkie wyższe harmoniczne, co u androida stanowiło oznakę paniki.

- Najmocniej pana przepraszam, ale mój właściciel zabronił panu na zawsze wstępować

do tego...

- Zamknij się, maszyno! To gdzie, na wszystkie mgławice, skończyłem? Ach, tak. Hej, ty, tam! Tak, do ciebie mówię! Jest dokładnie tak, jak powiedział Bernie z „Polipiramidy”. I to nie tylko z chlipiącym, zasmarkanym i odbierającym pracę uczciwym ludzikiem androidem przy jednym stole, ale także z obrzydliwym Tokiem! Kim ty właściwie jesteś, żeglarzu, zdegenerowanym zboczeńcem?

Kilku siedzących w lokalu gości natychmiast postarało się, żeby między przybyszem a Calrissianem utworzyło się szerokie przejście.

- Nie wiem - odparł obojętnie Lando. - To nie była moja kolej, żeby obserwować. A kim ty jesteś, na wszystkie światy galaktyki?

Mężczyzna sprawiał wrażenie osiłka. Ważył jakieś osiemdziesiąt pięć kilogramów i miał blisko dwa metry wysokości. Pod szaroniebieskim kombinezonem, który opinał jego bary, nosił granatową tunikę i chustę. Lando pomyślał, że przybysz jest schludnie ubrany, ogolony i zbyt trzeźwy, by uważać go za bandytę. A poza tym, jego strój świadczył o dobrym smaku.

Mężczyzna podszedł do stolika, zajmowanego przez Calrissiana. Lufa broni nie zmieniła położenia.

Android-barman pośpiesznie wyszedł zza kontuaru i stanął w ten sposób, że zagroził drogę intruzowi.

- Jest poprzednim właścicielem „Odpoczynku Astronauty”, kapitanie Calrissian. Odszedł, jeszcze zanim zacząłem tu pracować. Kiedy ten lokal przeszedł w ręce nowego właściciela, usiłował dopisać do umowy aneks, w myśl którego nigdy nie byłoby wolno...

- Co to ma znaczyć: „usiłował”, ty bezczelna kupo szmelcu? Umowa to umowa! Ludzie mają prawo zawierać umowy, jakie im się podoba!

Widocznie Jandler nie mógł się zdecydować, czy zastrzelić młodego hazardzistę, czy barmana, ponieważ wymachiwał blasterem, kierując lufę to w jednego, to znów w drugiego. Lando miał wrażenie, że jego żołądek zawiązuje się na supeł. Gdyby nadeszła chwila podejmowania decyzji, liczył na to, że były właściciel wybierze jednak barmana jako cel łatwiejszy i szybszy do późniejszego uprzątnięcia. Wyglądało na to, że roslemu fanatykowi nie brakuje wrażliwości ani dobrego smaku. Tymczasem android nie ustępował.

- Ale nie tam, gdzie istnieje obowiązujące w całym systemie prawo, zabraniające dyskryminowania kogokolwiek, proszę pana. I nie wówczas, kiedy stracił pan lokal w trakcie gry losowej - na rzecz innej istoty, która potępia dyskryminację.

Człowiek odwrócił się w stronę automatu - Lando pomyślał, że w takiej sytuacji może spróbować obezwładnić napastnika, ale ta myśl pozostała tylko myślą - i uniósłszy rękę, zamachnął się i opuścił lufę broni prosto na pleksistalową kopułkę, wieńczącą metalową głowę barmana.

- A masz za swoje prawa i rozporządzenia! - wrzasnął. - A to za...JAUC!

- Nie powinien pan nigdy kopać androida - skomentował uprzejmie Vuffi Raa.

Przyglądał się ze współczuciem, jak mężczyzna kląć, nie przestaje podskakiwać na jednej nodze. Mimo to Jandler znalazł w sobie dość siły, żeby spiorunować spojrzeniem podobnego do rozgwiazdy robota.

- Strasznie śmieszne - odezwał się hazardzista, pragnąc jeszcze bardziej odwrócić od siebie uwagę intruza. - Bierz go, Vuffi Raa!

Jandler odwrócił się w stronę potencjalnego nowego napastnika. Zdezorientowany pięciomackowy robot spojrzał na swojego właściciela, ale zamiast Calrissiana się powiódł. Spodziewając się ataku ze strony absolutnie nieszkodliwego automatu, nieznajomy postąpił krok w jego stronę, a tymczasem android-barman, pomimo poważnego wgniecenia w

górną powierzchnię czaszki, dzielił intruza po głowie krzesłem, które Lando ukradkiem popchnął nogą w jego stronę.

Mężczyzna runął na podłogę jak wór, wypełniony łajnem mynocków.

Kilkunastu przebywających w lokalu gości zaczęło radośnie krzyżeć i wiwatować. Większość zgromadziła się wokół stolika Calrissiana - niesłusznie ignorując lekko uszkodzonego bohaterskiego barmana - aby uściśnięć dłoń młodego hazardzisty albo poklepać go po plecach.

- Bardzo dziekuję — powiedział zadowolony z siebie Lando, chociaż z powodu gwaru rozmów musiał to raczej krzyknąć. Podczas całego zajścia nawet nie zdążył wstać z krzesła, i teraz musiał cierpieć katusze, bez końca poklepywany przez rozentuzjasmowanych wielbicieli. - Cieszę się, że nie wszystkie roboty zaprojektowano w rygorystyczny sposób, który uniemożliwiałby im uciekanie się do przemocy. - A zwracając się do tłumu, dodał: -Dziekuję wam, to nie było nic wielkiego. Dziekuję, naprawdę bardzo dziekuję.

- On został zaprojektowany w taki sposób, że tylko nie może wywoływać awantury, proszę pana - pospieszył z wyjaśnieniem barman, wskazując małego androida. - Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, zaraz wywlokę tego gościa na ulicę. A jako próbę zadośćuczynienia za kłopoty, jakich doznał pan w tym lokalu, co powiedziałby pan na szklaneczkę dobrego trunku - oczywiście, na rachunek naszej firmy?

- Bardzo chętnie, ale pod warunkiem, że nie będzie jej na moim rachunku - odparł Lando. - Aha, i przynieś drugą dla mojego przyjaciela Mohsa. Mohsie?

Hazardzista podskoczył ze zdumienia. Mohs zniknął. Klucz także.

Lando odwrócił się jak użądłony w samą porę, żeby dostrzec wystrzępiony koniec szarego, przypominającego łachman stroju, który właśnie zniknął za kotarą, zasłaniającą tylne drzwi lokalu. Przedarł się przez tłum wciąż jeszcze wiwatujących gości i przebiegł przez salę tak szybko, że wprawił tym w osłupienie nawet automaty.

Pochwylił...

I poczuł, że w zęby wbija mu się kolekcja sękatych kostek.

Plując krwią, zacisnął palce wokół przyczepionego do kostek nadgarstka, po czym wbił zęby w stosunkowo miękką nasadę dłoni. Mohs zaskrzeczał z bólu, ale w następnej sekundzie zaczął okładać niedawnego lorda po głowie Kluczem, którego nie wypuścił z drugiej dłoni. Oszołomiony, zdumiony i zirytowany Lando uwolnił dłoń agresywnego starca, po czym wyciągnął obie ręce, starając się chwycić go za gardło. Wtedy poczuł uderzenia w pachwinę.

Jęknął i walcząc ze sobą, by nie zwymiotować, runął na kolana.

Mimo to uświadomił sobie, że pozycja, w jakiej właśnie się znalazł, może przynieść mu pewną korzyść. Kiedy sędziwy tubylec - Lando wciąż jeszcze nie potrafił się zmusić, by nie myśleć o dzikusie w taki sposób - zamachnął się, usiłując zadać następny cios Kluczem Sharów, Lando chwycił pierwszą obnażoną, umorusaną kostkę nogi, która znalazła się w pobliżu jego dłoni. Mohs runął na plecy, a Lando skoczył na niego i przytrzymał, mimo iż starzec natychmiast spróbował go ugryźć albo chociaż podrapać.

Tymczasem Vuffi Raa, który zdążył znaleźć się u boku swojego właściciela, podskakiwał i wykrzykiwał dobre rady. Zapewne Lando w ogóle ich nie słyszał, a gdyby nawet, najprawdopodobniej by ich nie usłuchał. Uważał, że toczy nierówną walkę. Mimo iż z całą pewnością bardzo chciałby, nie mógł po prostu jednym ciosem „rozłożyć” starca na podłodze. Starł się zatem tylko utrzymywać wierzgającego Mohsa i uzbroiwszy się w cierpliwość, zaczekać, aż przeciwnik straci siły.

Toczyli się po podłodze spiżarni, raz po raz potracając okratowane skrzynie i przewracając kartonowe pojemniki. W pewnej sekundzie zaczęli nawet o kończyny androida-barmana, który przyłączył się do Vuffi Raa i także udzielając dobrych rad, zachęcał hazardzistę do

walki. Przez krótką chwilę Lando miał czas, by unieść głowę.

- Bardzo dziękuję za pomoc - wychrypiął, zwracając się do barmana.

Mechaniczny mieszacz trunków pozostał jednak niewzruszony.

- Bicie staruszków nie wchodzi w zakres moich obowiązków, kapitanie. A poza tym, wygląda na to, że przyda się panu trochę praktyki.

W następnej chwili Lando został ponownie wciągnięty w wir walki. Mohs dzielił go kilka razy po głowie, ale tym razem jego ciosy nie miały już takiej siły. Lando pochwycił Klucz, a później nawet zdołał przyjąć pozycję pionową. Siedząc okrakiem na ciele Naczelnego Śpiewaka Toków, pochwycił kłęb siwych włosów, stanowiący część zmierzwionej czupryny, i uderzył - niezbyt mocno, ale stanowczo - głową starca o podłogę.

Przeciwnik jeszcze przez chwilę walczył, ale potem zrezygnował i znieruchomiał.

- Brzydki, brzydki Mohs - odezwał się Lando, z trudem chwytając powietrze i piorunując spojrzeniem starowinę. - Nieładnie wyruszać na świętą pielgrzymkę, nie zabierając na nią prawnie ustanowionego Posiadacza i Emisariusza.

Mohs ukrył twarz w długich, chudych, sękatych i pomarszczonych dłoniach.

- Zabić możesz mnie teraz, o lordzie. Zgrzeszyłem wielce. Podpierając się i potykając, Lando wstał, a potem wyciągnął rękę, żeby pomóc podnieść się tubylcowi.

- Na Nicość, to pierwszy przejaw animuszu, jaki widziałem u kogokolwiek z istot twojej rasy.

Ciężko oddychając, Lando usiadł na niskim stosie ustawionych w mrocznym kącie spiżarni plastikowych pudełek.

- Ale odtąd lepiej zapamiętaj, kto z nas dwóch jest świętym Posiadaczem, dobrze? - Uniósł Klucz i pogroził Śpiewakowi. - Na razie to ja opiekuję się tym przyprawiającym o oczopląs cackiem. Jeżeli o tym nie zapomnisz, jeszcze wszystko między nami dobrze się łoży. Vuffi Raa?

Robot przydreptał do niego, nie ukrywając, że wszystkie jego macki drżą z radosnego oczekiwania.

- Tak, mistrzu? Przepraszam, że nie mogłem przyjść z pomocą, ale...

- Wiem, wiem - przerwał mu Lando. - Jak oceniasz, ile czasu może zająć mechanikom Gepty dokonanie sabotażu na pokładzie „Sokoła Milenium”... to znaczy, przerobienie go w taki sposób, jak planowali?

Android się zamyślił.

- Nie więcej niż godzinę, mistrzu. To jedynie kwestia wymontowania i wyniesienia na płytę lądowiska toroidalnych pierś...

- Oszczędź mi technicznych szczegółów. - Lando odwrócił się w stronę starca, który chyba odyskiwał siły szybciej niż młody hazardzista. - Mohsie, jedziemy teraz do kosmoportu, żeby wyruszyć na małą wycieczkę. Czy jesteś gotów jechać z nami i obiecujesz nie przysparzać nam więcej kłopotów? Staruszek pokornie kiwnął głową i powiedział:

- Tak, lordzie. Zaiste, jestem gotów.

- No, to ruszamy w drogę. Aha, i przestań nazywać mnie lordem.

Mohs zerknął spode łba na Vuffi Raa, ale ponownie kiwnął głową.

- Tak, mistrzu.

- Mohsie! - Lando uważnie przyjrzał się pomarszczonej twarzy. - Czy usiłujesz stroić sobie żarty?

- Co to znaczy: „stroić żarty”, lordzie?

Lando westchnął. Powoli zaczynał przyzwyczajać się do myśli, że odtąd będzie ciągle rozdrażniony.

- Coś, co ma jakiś związek z tym całym zamieszaniem. Najpierw zgrabnie unikam

śmierci z łap tamtego typu, który chciał zastrzelić mnie w barze, a teraz ty przychodzisz i starasz się zastąpić mnie na stanowisku Posiadacza i Emisariusza. Przede wszystkim zaś nie rozumiem, do czego Gepta i jego marionetkowy gubernator potrzebują mnie, abym odwalił za nich całą brudną robotę. Mieli Klucz, więc dlaczego po prostu nie... Daj spokój, Vuffi Raa, już stąd wychodzimy. Muszę mieć chwilę, żeby spokojnie pomyśleć. Postanowiłem, że tę noc spędzimy na pokładzie „Sokoła”, a wystartujemy dopiero rano. Przerwał na kilka sekund, a potem dodał:

- Aha, i chciałbym, żebyś pomógł mi zainstalować na pokładzie kilka pułapek - na wypadek, gdyby ktoś jeszcze chciał pokusić się o odebranie mi Klucza.

- Mistrzu, nie jestem pewien, czy pozwoli mi na to oprogramowanie!

Barman stał, nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy. Później odwrócił się i ruszył w stronę drzwi spiżarni.

- Powodzenia i wiele szczęścia, kapitanie Calrissian - powiedział, zanim wyszedł. - Coś mi mówi, że będzie go pan potrzebował.

Nie odrywając podejrzliwego spojrzenia od Mohsa, Lando zwrócił się do małego androida.

- Trudno, Vuffi Raa. Bez względu na to, czy zdołamy przełamać twoje cybernetyczne opory, czy nie, spędzimy tę noc na pokładzie „Sokoła”. Idź pierwszy i znajdź jakiś środek transportu... wehikuł grawitacyjny, podnośnik czy cokolwiek innego. - Z niechęcią wzruszył ramionami, jakby starał się rozluźnić jakiś mięsień w plecach, boleśnie naciągnięty albo skręcony podczas walki. - Czy sądzisz, że mieszkańcy tej odrażającej błotnej kuli dysponują jakimiś taksówkami?

Inteligentny robot potrafił odróżnić pytanie retoryczne od prawdziwego.

Lando przyglądał się, jak Vuffi Raa odchodzi, a później zaczął masować posiniaczone ramię. Wstał ze stosu pudełek, aby rozprostować kości.

- Zechciej chwilę zaczekać, Lando - odezwał się cicho stary Śpiewak. - Nie uchodzi, żeby twój pokorny sługa korzystał z tego samego środka transportu, co ty.

Lando prychnął.

- Co proponujesz jako inny środek?

- Nie martw się, lordzie, ani nie turbuj swojej głowy niegodnymi wzmianki niewygodami twojego sługi, ale podążaj swoją drogą i zechciej pozwolić, żeby twój sługa udał się swoją.

- Zgrabnie to ująłeś. Czy to oznacza, że spotkasz się z nami w kosmoporcie?

Starzec sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Azaliż właśnie przed chwilą tego nie powiedziałem?

- Przypuszczam, że mniej więcej coś w tym rodzaju, o ile nie zagubiłem się w zawiłościach twojej mowy. No cóż, zgoda, wierny wyznawco. Niech się stanie, jak chciałeś. Do licha!

- W materiale szytych na miarę spodni widniała dziura. Zapewne android-krawiec nie przewidział, że mundur weźmie udział w bijatyce. - Zostawimy dla ciebie zapalone światło w sterburtowym iluminatorze.

Wyszedł frontowymi drzwiami, by dołączyć do Vuffi Raa. Miał nadzieję, że Mohs wymknął się tylnymi. Niemal natychmiast na przystanku zatrzymał się poduszkowiec. Lando i robot przebyli dzielącą ich od lądowiska dziesięciokilometrową odległość mniej więcej w ciągu tyłuż minut.

Okazało się jednak, że ich pojawienie nie stanowiło niespodzianki.

- Co, na miłość Jądra galaktyki, tu się dzieje? - zapytał Lando, zwracając się do równie zdumionego robota.

Przed siatkową bramą, umieszczoną w szczelinie między dwoma słupkami siłowego pola, zgromadził się spory tłum - najbardziej niezwykły, jaki Lando miał okazję kiedykolwiek

widzieć. Kiedy nie uświadamiając sobie, co robi, zapłacił androidowi-kierowcy i odwrócił się, zobaczył setki przygarbionych szaroskórych postaci. Wszystkie miały na sobie jedynie przepaski biodrowe i stojąc w ciemnościach bezksiężycowej nocy, unosiły głowy. Kierując je ku świecącym zimnym blaskiem gwiazdom, coś wyśpiewywały.

Hazardzista i jego towarzysz ruszyli ku nim, a wówczas tłum zafalował i cofnął się kilka kroków, by utworzyć szerokie przejście. Po jednej stronie było widać portowego strażnika, który siedząc w przezroczystej budce, odwrócił się w stronę oka kamery komunikatora i wykonywał jakieś nerwowe gesty.

Lando i Vuffi Raa - ten pierwszy coraz bardziej zdenerwowany perspektywą wejścia w środek tłumu istot, których zachowania nie potrafił przewidzieć, zwłaszcza po niedawnych zapasach, w jakie wdał się z jednym z tubylców - powoli, z godnością kroczyli korytarzem. Tokowie zwierali szeregi tuż za ich plecami, ani na chwilę nie przerywając rytmicznego, ale monotonnego śpiewu.

Na samym końcu żywego przejścia ujrzeli oczekującego ich Mohsa.

ROZDZIAŁ VIII

Lando spędził kilka bardzo długich, bezsennych dni i nocy. Nie chciał nawet myśleć o tym, jakim cudem zgrzybiały dzikus, poruszający się piechotą, mimo iż miał do pokonania dziesięć kilometrów nierównego, usianego ruinami terenu, prześcignął nowoczesny poduszkwowiec i zdążył pierwszy przybyć do kosmoportu.

No cóż - pomyślał, z trudem powstrzymując się od zaśnięcia. - Niech odgadnie to automat. Przecież właśnie od tego są roboty drugiej klasy, nieprawdaż?

Rzecz jasna, to właśnie Mohs, Naczelny Śpiewak Toków, kierował piskliwym, nieharmonijnym śpiewem swoich ziomków. Kiedy podeszli do niego, starzec dał gestem znak pozostałym, żeby odtąd zapewniali trochę cichszy podkład muzyczny, a później zwrócił się w stronę hazardzisty.

- Bądź pozdrowiony, Posiadaczu Świętego Klucza - popatrzył na Vuffi Raa - i ty, jego Emisariuszu. Zaiste, wszystko jest tak, jak mówiono. Od dawna czekaliśmy na wasze objawienie. Zechciej łaskawie zdradzić teraz swoim wiernym sługom to, co ma się ziścić w najbliższym czasie.

- Wejdziemy na pokład tamtego statku, który widzisz na lądowisku, „Sokoła Milenium”.

- Lando pokazał podobny do niezgrabnego kraba kształt, spoczywający jakieś sto metrów dalej na asfalcie. Dyskretnie ziewnął. - Później przywitamy się z naszymi małymi łódeczkami, zakopiami się w pościeli i... O, nie!

Przystanął. Na płycie lądowiska ujrzął pięć czy sześć jaskrawo oświetlonych repulsorowych wojskowych ciężarówek, otaczających kadłub gwiazdowego frachtowca. Obok nich kręciły się co najmniej dwa oddziały uzbrojonych po zęby kolonialnych policjantów.

- Wielkie nieba! - odezwał się hazardzista do swojego towarzysza. - Wygląda na to, że twoje etyczne przemytły pozostaną nie naruszone, przynajmniej tej nocy. Chyba wszyscy prześcignęli nas po drodze do kosmoportu... Jak myślisz, co przeszkrobaliśmy tym razem?

- „My”, mistrzu?

- Bardzo zabawne, mój lojalny i oddany androidzie. Poparcie, jakiego mi udzielasz, wprost zwala mnie z nóg.

Podchodzących do opuszczonej rampy Calrissiana, robota i Śpiewaka Toków - który zdołał odłączyć się od pożegnalnego zboru - powitali policjanci, odziani w opancerzone mundury, czarne hełmy z opuszczonymi osłonami i trzymający odbezpieczone blastery.

- Niech będzie, oficerze, zapłacę te dwa kredyty - odezwał się Lando do dowódcy, nie usiłując ukryć zmęczenia ani rozdrażnienia. Nie chciał nawet wiedzieć, jakim sposobem udało się im pokonać mechanizm szyfrujący zamek, który nastawił poprzedniego wieczora. Mimo to starał się sprawiać wrażenie człowieka dobrodusznego. Opłacało się, ilekroć musiał rozmawiać z funkcjonariuszami.

- Dobry wieczór, kapitanie - padła równie dobroduszna odpowiedź, wypowiedziana spod osłony hełmu, na którym widniały aż dwie ozdobne, lśniąco belki. - Przybyliśmy tu dopilnować, żeby nic nie przeszkodziło w załadunku pańskiego statku.

- Naprawdę? - ucieszył się hazardzista.

Zawsze podejrzliwie traktował policjantów, świadczących mu uprzejmości. Tymczasem funkcjonariusz wyciągnął ukryty w opancerzonej rękawicy palec w stronę ciężarówek - z ich wnętrza transportowano taśmociągami bezpośrednio do otwartych luków ładowni „Sokoła” różne pakunki.

- Oczywiście - odpowiedział dowódca strażników, a później dodał nieco ciszej tonem, który Lando uznał za pojednawczy - Mam nadzieję, że pańskie rany i obrażenia nie są poważne i bardzo szybko się zagoją. Staraliśmy się uważać. Nic osobistego, rozumie pan, prawda? Ale tacy goście, jak my, muszą przecież wykonywać rozkazy.

I znajdować uzasadnienie dla swoich czynów w wielu innych, moralnie wątpliwych, wyświechtanych frazesach - pomyślał Lando, usiłując cokolwiek dostrzec za anonimową czarną osłoną hełmu. W końcu zrezygnował.

- Nie przejmuj się, stary - powiedział. - Doskonale cię rozumiem. Postaram się i jeżeli tylko będę mógł, któregoś dnia zrobię dla ciebie to samo.

Policjant zachichotał, po czym strzelił obcasami podkutych butów i stanął na baczność. Sprezentował ciężką ręczną broń, a Lando, zaskoczony tym pokazem, stłumił zupełnie nie wojskowy grymas i wspiął się po rampie „Sokoła”, pokazując drogę Vuffi Raa i Mohsowi.

Wnętrze zmodyfikowanego frachtowca -pomyślał Lando chyba po raz setny - przypominało bardziej wnętrzności jakiejś wielkiej, groźnej bestii niż konstrukcję zaprojektowaną przez człowieka. Gwiezdne liniowce i inne statki, jakie znał, miały proste i krzyżujące się pod kątami prostymi korytarze, podobnie jak hotel w Teguta Lusac, w którym spędził pełną wrażeń połowę nocy. We wnętrzu „Sokoła” nie było jednak żadnych oddzielnych kabin ani nawet wyraźnego rozgraniczenia pomiędzy częścią pasażerską a towarową. Istniało tam za to mnóstwo wnęk i pustych przestrzeni, w tej chwili szybko i starannie zastawianych pudłami i okratowanymi pojemnikami, wypełnionymi po brzegi drogocennymi życiokryształami.

Lando przyglądał się pracy miejscowych portowców. Wyglądało na to, że czarownik Gepta postanowił aż nazbyt hojnie wywiązać się ze swojej części umowy. Młody hazardzista postanowił, że w pierwszej wolnej chwili musi zająć się oceną wartości tego skarbu. Nic, co wiązało się z czarownikiem albo jego obdarzonym władzą pacholkiem, nie wzbudzało jego zaufania. Nie wzbudzałoby nawet wówczas, gdyby Lando zaliczał się do ludzi ufnych i łatwowiernych.

Zostawiwszy Mohsa na rozkładanym fotelu, przytwierdzonym do pierwszej lepszej grodzi, Lando i Vuffi Raa udali się do przedziału, gdzie mieściły się jednostki napędu nadświatlnego. Natychmiast przekonali się, że dokonano w nim istotnej zmiany. I to nie na lepsze - pomyślał Calrissian.

- Och, mistrzu! -jęknął przerażony robot klasy drugiej. - Niech pan tylko popatrzy, co zrobili!

Pospieszył do paneli kontrolnych silników napędu nadświatlnego i znieruchomiał, po czym załamał metalowe kończyny i zaczął wydawać piskliwe jęki, przyprowadzające ludzi o

dzwonienie w uszach.

Wszystkie rozmieszczone wzdłuż jednej ściany panele zostały bezceremonialnie wyszarpięte albo roztrzaskane. Z ich wnętrz zwisały wiązki wyrwanych i spalonych przewodów. Na płytach pokładu wały się zniszczone urządzenia i elektroniczne podzespoły, strzaskane elementy i odkręcone śruby, a nawet strzępy pościąganej izolacji. Mimo wysiłków systemu wentylacyjnego, w powietrzu unosił się drażniący nozdrza swąd stopionego plastiku i lutu.

- To prawda, narobili strasznego bałaganu, stary sprzęcie gospodarstwa domowego. Ale nie masz się co tak denerwować. Mimo wszystko, statek jest tylko maszyną, a poza tym, przecież obiecali, że doprowadzą go do poprzedniego stanu, skoro tylko...

- Tylko maszyna? - W głosie robota zabrzmiało niedowierzanie, zmieszane z bezgranicznym oburzeniem. - Mistrzu, przecież ja też jestem „tylko maszyną”. To okropne, potworne, okrutne, złe, niewybaczalne. To...

- Och, daj spokój, Vuffi Raa, bo zabraknie ci przymiotników. Ty wprawdzie również jesteś maszyną, ale inteligentną. „Sokół” jest wielki, ale pod względem inteligencji nie może nawet marzyć o tym, aby ci dorównać. W przeciwnym razie nie musiałbym wypożyczać tego pomyłonego, głupiego...

- Mistrzu - przerwał mu android, tym razem ciszej i spokojniej. - Jak by się pan czuł, gdyby widział pan czyjeś ulubione zwierzątko, przejechane i porzucone na poboczu drogi? Czy też machnąłby pan ręką i powiedział, że to tylko zwierzę, ponieważ nie zostało obdarzone umysłem takim, jak twój? Czy może poczułby się pan... no cóż, tak jak ja w tej chwili? Lando pokręcił głową, zbyt zmęczony, by kontynuować dyskusję z małym androidem. W każdym razie - rzecz jasna, do pewnego stopnia - uznawał słuszność jego argumentów. I nie podobala mu się myśl, że automat wykazuje więcej niż on ludzkich cech, uczuć i odruchów.

- Idę na dziób - odezwał się nagle. - Któż może wiedzieć, w jakie tarapaty wpędzi nas Mohs, kiedy zacznie się bawić tymi wszystkimi pokrętłami, dźwigniami i guzikami.

- Doskonale, mistrzu. Jeżeli pan pozwoli, zostanę tu przez chwilę, żeby pocieszyć statek, jak tylko potrafię, a przede wszystkim uprzątnąć te strasliwe... jatki.

- Jak sobie życzysz. - Lando przystanął, zanim dotarł do zakrętu korytarza. Odwrócił się i ujrzał androida, zbierającego z płyt pokładu rozrzucone podkładki, uszczelki i pościanane nity. - Ehm... uhm... przepraszam cię, stary cyberze, że z początku nie zorientowałem się, co czujesz. Po prostu chodziło o to, że ja...

Umilkł i nie dokończył zdania.

Zapadła długa cisza, którą w końcu przerwał mały robot.

- Nic nie szkodzi, Lando. Dobrze chociaż, że zrozumiałeś to po tym, kiedy ci wytłumaczyłem. Przypuszczam, że to i tak więcej, niż można byłoby się spodziewać po większości organicznych istot.

Hazardzista chrząknął, chociaż uczynił to na wpół świadomie.

- No cóż... tak... uhm... W takim razie, do zobaczenia niedługo na dziobie. Aha, i nie mów do mnie Lando.

Kiedy hazardzista znalazł się na dziobie, w przypominającej wielką rurę sterowni, obrzucił szybkim, doświadczoneym spojrzeniem wszystkie rozmieszczone na panelach i pulpitych przyciski, guziki i dźwignie. Później sięgnął po zniszczoną, zagiętą na rogach instrukcję obsługi „Sokoła”, aby przekonać się, co oznaczają.

Większość zapalonych czerwonych lampek, jakie widział, ostrzegała o otwartych lukach ładowni, do których właśnie transportowano skrzynie z życiokrystalami. Potwierdzeniem tych wskazań były dobiegające stamtąd brzęki, stuki i grzechoty. Cała sekcja, informująca o stanie jednostek napędu nadświatlnego, płonęła również złowieszczą purpurową i

bursztynową barwą.

Za plecami Calrissiana, na rozkładanym fotelu z oparciem sięgającym ponad głowę - a więc dokładnie tam, gdzie hazardzista go zostawił - siedział Mohs. Wszystko świadczyło o tym, że ponownie ogarnęło go coś w rodzaju starczej bierności. Lando nie mógł go za to winić i niemal żałował, że sam nie może doprowadzić się do takiego samego stanu. Biedny stary dzikus przeżył wyjątkowo ciężki dzień. Śpiewak Toków siedział całkiem nieruchomo. Szeroko otworzył oczy i lekko spuścił głowę, jakby wpatrywał się w płyty pokładu. Obie sękatę ręce złożył na owiniętym przepaską biodrową podołku.

- Mohsie? - zagadnął go cicho Calrissian.

Starzec podskoczył, jakby wyrwany z głębokiego snu, w jaki zapadł pomimo szeroko otwartych oczu. Zamrugał, po czym powoli uniośł trzęsącą się rękę i potarł szczecinę, porastającą jego brodę.

- Słucham, lordzie?

- Mohsie, co to była za pieśń, którą ty i twoi ludzie śpiewaliście tam, przed bramą kosmoportu?

Staruszek głęboko westchnął, a potem usiadł wygodniej na miękkim, wyścielanym fotelu. Zapewne nigdy przedtem nie umieszczał kościstych pośladków na siedzeniu tak luksusowego mebla. Poklepał lekko oparcie, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- To była Pieśń Emisariusza, o lordzie, a śpiewaliśmy ją na cześć pojawienia się ciebie i twojego...

- Rozumiem.

Zapadła długa cisza, w czasie której obaj oddawali się rozmyślaniom. Słysząc było jedynie szmer oddechu starca, który w tej ciszy wydawał się niemal rżeniem. Prawdę mówiąc, Lando nigdy wcześniej nie zastanawiał się, o co chodzi w tej całej historii z Emisariuszem. Nie miał na to czasu. Dopiero teraz zaczynało mu świtać w głowie, że może w tym śpiewaniu i Posiadaniu Klucza chodziło o coś więcej, niż czarownik Gepta uznał za słuszne mu powiedzieć.

- No cóż, staruszkule - odezwał się w końcu, starając się, aby zabrzmiało to jak najłagodniej. - Jeżeli nie czujesz się tym wszystkim wyczerpany, dlaczego nie miałbyś mi powiedzieć... Rozległ się szczeł i grzechot, charakterystyczny chyba dla wszystkich niezgrabnych robotów, jakie tylko istnieją w całej galaktyce, i do sterowni wkroczył Vuffi Raa. Widocznie chwilę wcześniej zakończył porządkowanie rufowej sekcji napędu nad-światłowego. Wdrapał się na ustawiony po prawej stronie fotel, który Lando ponownie przymocował do pokładu, zaraz po tym, jak odesłał androida-pilota na Oseon. Mały robot sprawiał wrażenie niezwykle przynębionego.

- Wszystko w porządku, tak, jak lubisz? - zapytał Lando tonem grzecznościowej rozmowy. - To doskonale. Czy przypadkiem nie usłyszałeś, co powiedział ten dowódca strażników? Nie owijając w bawełnę, oświadczył, że to właśnie on poprzedniej nocy okazał się takim sukiniem...

- Tak, mistrzu - odparł android tonem świadczącym, że właściwie jest mu wszystko jedno. - Muszę przyznać, że wprawiło mnie to w zdumienie.

Lando się zamyślił.

- Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Nie przypuszczam, aby mogło to być dziełem przypadku. Przede wszystkim, nie mogą mieć w Teguta Lusac nieograniczonej liczby umundurowanych zbirów, których mogliby wzywać, żeby odwalili ich brudną robotę, po drugie, wyznaczenie właśnie tego, żeby wyszedł na nasze powitanie, mogło być pomyślane przez Duttesa Mera jako coś w rodzaju kiepskiego żartu. Prawdę mówiąc, uważam, że ten gość zachował się wobec mnie całkiem przyzwoicie. Przepraszał mnie, pocieszał, pytał o zdrowie i tak dalej.

Naśladować po raz kolejny ludzki ruch, Vuffi Raa obrócił tułów w taki sposób, żeby znaleźć się „przodem” do Calrissiana.

- Zwłaszcza po tym, jak odpłacił mu pan pięknym za nadobne, mistrzu.

Zdumiony Lando zamrugał.

- Pięknym za nadobne? Co, na miłość galaktyki, chcesz przez to powiedzieć?

- Ależ, mistrzu, sądziłem, że mówimy o tym samym tak zwanym zbiegu okoliczności. Czy naprawdę nie zdaje sobie pan sprawy z tego, kim...

- Oczywiście - nie dał mu dokończyć hazardzista. - Ubrany w policyjny mundur osiłkiem, który napadł na mnie w hotelu zeszłej nocy.

- A nieco później, mistrzu, cywilem, nazywającym się Jandler, który uczynił to samo w „Odpoczynku Astronauty”. Myślałem, że podobnie jak ja, rozpoznał go pan po głosie - i pewnych kłopotach, jakie miał, kiedy poruszał głową.

- Coś takiego!

Może jednak we wszechświecie istnieje jakaś sprawiedliwość-pomyślał z zadowoleniem Lando. Po chwili jednak zrobił kwaśną minę. Jeszcze jedna tajemnica! Czemu miało służyć owo wywoływanie awantury w barze? Dotychczas uważał je za wybryk zacofanego fanatyka, których z pewnością nie brakowało na wielu zacofanych światach. I jaką rolę odgrywał w tym wszystkim android-barman (a także jego właściciel), którzy...

Nagle do głowy Calrissiana przyszedł ten sam pomysł, który wpadł do niej już przed kilkoma chwilami.

- Posłuchaj, Mohsie. Powiedz mi coś więcej na temat tego Emisariusza... nie, tylko nie śpiewaj! Postaraj się, żeby to było krótkie, zrozumiałe i rzeczowe.

Staruszek poruszył się niespokojnie na fotelu.

- Legenda głosi, że przyleci ciemnoskóry poszukiwacz przygód, nieustraszony gwiazdny podróżnik, obdarzony nadprzyrodzonym szczęściem w grach losowych. Pojawi się w towarzystwie dziwacznie wyglądającego i nie będącego człowiekiem kompana, odzianego w srebrzystą metalową zbroję. Będą posiadali Klucz, wyzwalający Myślóharfę, która z kolei uwalnia...

Lando uderzył otwartą dłonią w podłokietnik fotela.

- Niech mnie naszpikują przyprawami, poćwiartują i usmażą! Vuffi Raa, zostaliśmy wystrychnięci na dudków! Ten Gepta musiał kazać swoim szpiegom obserwować kosmoport przez wiele, wiele miesięcy - a może nawet lat - czekając na pojawienie się frajera, który wykazywałby wszystkie niezbędne cechy! Niezbyt rozzagniety hazardzista, kapitan gwiazdnego statku, podróżujący w towarzystwie nie polakierowanego androida. To dlatego ani wzbudzący postrach stary czarownik Tundów, ani jego szpetny, pozbawiony szyi gubernator nie mogli sami wystąpić w roli Emisariusza. Nie pasowali do postaci z legendy Toków!

- A my pasujemy, mistrzu?

- Zapytaj Mohsa. To on jest miejscowym Krzewicielem Płomienia Wiary.

- Słucham, mistrzu?

- Nieważne, to tylko taka metafora. Wracajmy na rufę i postarajmy się chociaż trochę przespać. Rano czeka na nas następna porcja bohaterskich czynów... i nie zapomnij wypolerować swojej zbroi, stary kluczu do otwierania konserw!

ROZDZIAŁ IX

Kiedy nastał poranek, Lando stwierdził, że czuje się gorzej niż kiedykolwiek - mimo iż przespał całą noc, nawet nie zdejmując stylowej, aczkolwiek trochę pogniecionej,

półoficjalnej satynowej szarfy. Nie mógł znieść myśli, że dał się tak haniebnie podejść, a co więcej, nabierał podejrzeń, że dopiero zaczyna poznawać zasięg knowań, w które uwikłał go czarownik Gepta.

Start „Sokoła Milenium”, jaki zarządził wkrótce po wschodzie słońca, przebiegł bez najmniejszych przygód i tak wzorowo, jak w instrukcji startu. Jego kapitan został nawet pochwalony przez Kontrolę Lotów. Mimo to nie uśmiechnął się ani nawet nie rozchmurzył. Przekazał gratulacje Vuffi Raa, który siedział przed pulpitem sterowniczym.

Wojskowi i portowcy opuścili pokład poprzedniego dnia późnym wieczorem, jakby chcieli skorzystać z ciemności bezksiężycowej nocy. Zanim zniknęli w mroku, zamknęli i uszczelnili wszystkie śluzy i luki, tak że teraz na pulpitych kontrolnych płonął jednolity kobierzec zielonych lampek. Mohs, skulony na rozkładanej pryczy, chrapał i rzeził jak nieprawdopodobnie archaiczny silnik spalinowy. Vuffi Raa wszystko posprzątał i korzystając z tego, że inni jeszcze spali, zapoznał się z wnętrzem statku.

Rozumne roboty potrzebowały odpoczynku - tym dłuższego, im były inteligentniejsze - ale Lando jakoś nigdy nie potrafił stwierdzić, czym właściwie miały zwyczaj zajmować się w nocy. On sam kręcił się i wiercił, pocąc w luksusowym i niewątpliwie kosztownym synjedwabnym śpiworze, który rozłożył w świetlicy, pod stolikiem do jakichś gier losowych. Kiedy w końcu, zmęczony, zapadł w coś, co można określić mianem stanu częściowej utraty świadomości, został obudzony o świcie przez małego androida. Nic dziwnego, że teraz był zły i rozespany. Wypił kilka ogromnych filiżanek gorącej, czarnej kafeiny, ale to tylko pogorszyło jego i tak nie najlepsze samopoczucie.

- No, dobra - warknął niepotrzebnie, zwracając się do starego szamana Toków. Wszyscy przebywali znów w sterowni. Mohs siedział na wysokim rozkładanym fotelu, a Vuffi Raa zajął ustawiony po prawej stronie fotel drugiego pilota. Mimo iż chciał w taki sposób podkreślić, że kapitanem jest istota ludzka, w rzeczywistości to on zajmował się pilotowaniem statku. Lando pomyślał, że pierwszego dnia, kiedy ta cała heca się zakończy, jak najszybciej sprzeda oba automaty - „Sokoła Milenium” i Vuffi Raa - komuś, kto w pełni będzie umiał docenić ich zalety. - To dokąd mamy lecieć teraz?

Krażyli na niewielkiej wysokości wokół Rafy Cztery. Mogli w ciągu kilku minut albo wylądować w dowolnym punkcie na jej powierzchni, albo śmignąć w przestworza i skierować się ku jakiegokolwiek innej planecie systemu. Mohs zamknął oczy i zaczął mamrotać pod nosem wyuczone na pamięć słowa jakiegoś prastarego rytuału. W końcu wyciągnął wysuszony palec i wymierzył go w dziobowy iluminator.

- Lordzie, Myślóharfa znajduje się w tamtym kierunku.

Wspaniale - pomyślał z przekąsem Lando. - Pilotem jest mechaniczna zabawka dla grzecznych dzieci, a nawigatorem zgrzybiały prymitywny znachor. Nagle jakiś sadystyczny głos, który odezwał się w jego głowie, kazał mu dodać, że kapitanem jest grywający w sabaka artysta-oszust. Zrezygnował z dalszego podążania tym tokiem myśli i wbił spojrzenie w fasetkową przezroczystą płytę.

Jak, u diabła, miał rozmawiać na temat szczegółów międzyplanetarnej nawigacji i astronomii z kompletnym dzikusiem?

- Masz na myśli ten jaskrawo świecący punkcik na niebie, Mohsie?

- Z całą pewnością, lordzie. To piąta planeta systemu Rafa. Ma dwa naturalne satelity, nadającą się do oddychania atmosferę i ciężenie równe mniej więcej dziewięciu dziesiątym standardowego. Jeżeli nie liczyć księżyców, jest podobna do Rafy Cztery, z której właśnie odlecieliśmy. Azaliż nie wydaje ci się urocza, o lor...

- Zapomnij o tym! - Hazardzista obdarzył starca zdumionym i podejrzliwym spojrzeniem.

- Jakim cudem nagle aż tyle wiesz na temat astronomii?

I kto tu jest kompletnym dzikusiem? - zapytał siebie w duchu. Ilekroć spoglądał na

usiane świecącymi punkcikami gwiazd czarne niebo, nigdy nie umiał odróżnić najbliższej planety od słońca, które okrążała, o ile nie uciekał się do pomocy pokładowego astronawigacyjnego komputera.

Prastary Śpiewak ukazał bezzębne dziąsła i wzruszywszy ramionami, obdarzył Calrissiana szerokim uśmiechem.

- To wszystko jest tam, o lordzie - w Pieśni Refleksyjnego Teleskopu, która zawiera wszystkie szczegóły, dotyczące tego systemu. Azaliż nie tak powinno być, lordzie?

Zapadła długa, bardzo długa cisza, w trakcie której Vuffi Raa porozumiewał się z astronawigacyjnym komputerem i uzyskał potwierdzenie, że w istocie, Jaskrawo świecący punkcik na niebie" jest Rafą Pięć.

- Ile znasz tych niesamowitych pieśni, Mohsie? Starzec zaczął się zastanawiać.

- Tak wiele, że trudno zliczyć, lordzie. Więcej niż mają palców u rąk i nóg wszyscy moi prapraprzodkowie i ich potomkowie. Powiedziałbym, że w przybliżeniu siedem koma sześćset dwadzieścia trzy razy dziesięć do potęgi czwartej. Azaliż to cię zadowala, lordzie?

Lando pomyślał, że jak na pokornego wyznawcę, w głosie staruszka zabrzmiało zbyt wiele sarkazmu.

- Domyślam, się, że ta ostatnia informacja pochodzi z Pieśni o Zapisie Matematycznym? Pokręcił głową. Rozumiał doskonale, dlaczego Gepta i Mer nie zdecydowali się sami wyruszyć na te obłądne poszukiwania. Po prostu nie chcieli oszaleć.

Najważniejszym problemem, jaki musiał teraz rozwiązać, było ustalenie, do czego właściwie potrzebowali go Vuffi Raa i Mohs.

- I co teraz, mistrzu? - zapytał go mały android. - Chce pan lecieć na Rafę Pięć?

- NIE NAZYWAJ MNIE MISTRZEM!

W czasie stosunkowo krótkiego, bo mającego zaledwie pięćdziesiąt milionów kilometrów skoku przez przestworza, ani „Sokołowi Milenium”, ani jego „załodze” nie przydarzyło się nic szczególnego.

Rzecz jasna, nie wyprawili się w drogę natychmiast. Vuffi Raa i Lando przez dłuższy czas wypytywali sędziwego Mohsa, bez końca każąc mu powtarzać i tłumaczyć właściwe strofy odpowiednich Pieśni, dopóki i oni nie nabrali pewności - na tyle, na ile w takich okolicznościach było możliwe - że Rafa Pięć jest rzeczywiście planetą, na której ukryto Myślöharkę.

Jeśli, oczywiście, mogli mieć zaufanie do słów tracącego raz po raz pamięć szamana, który nie przestawał mamrotać rymowanych strof legend i pieśni, pochodzących z zamierzchłych, niepamiętnych czasów.

Podczas lotu Vuffi Raa i Mohs toczyli ze sobą coś, co można było określić mianem zdawkowej, grzecznościowej konwersacji, a Lando nadrabiał zaległości w spaniu. Hazardzista przekonał się, że odporny na przeciążenia fotel pilota nadaje się do tego celu o wiele lepiej niż luksusowy śpiwór, i kiedy został obudzony przez Vuffi Raa tego dnia po raz drugi, czuł się znów na poły człowiekiem. Prawdę mówiąc, był w doskonałym humorze. A przynajmniej na tyle dobrym, żeby...

BANG!

Coś silnie uderzyło w kadłub tuż nad ich głowami.

- Co to było, na wszystkie wiecznie płonące błękitne błyskawice? - krzyknął Lando.

Siedzący za jego plecami starzec wykrzywił się i zaczął mamrotać coś pod nosem piskliwym, zdradzającym histerię tonem. Coś na temat gniewu...

BENG!

Tym razem coś walnęło w rufową część kadłuba, w okolicach sekcji silnikowej. Na kontrolnym pulpicie zapaliła się bursztynowa lampka. Vuffi Raa zaczął przyciskać guziki,

tak szybko, że poruszające się nad pulpitem metalowe macki zlały się w rozmazaną smugę.

- Jedną chwilkę, mistrzu, zaraz... BING! BONG!

Na panelu zapaliło się kilka czerwonych światełek. Po chwili dał się słyszeć cichy, ale wyraźny świst - dowodzący, że z wnętrza statku zaczyna uchodzić powietrze. Lando przełknął kluczę, która utkwiła w jego gardle. Odnosił wrażenie, że wskutek wyrównywania ciśnienia coś dzwoni w jego uszach.

Nieznane pociski raz po raz bombardowały z całej siły kadłub "Sokoła Milenium". Z jakiegoś dziwnego powodu w głowie Calrissiana pojawił się wizerunek funkcjonariusza Jandlera (jeżeli rzeczywiście tak brzmiało jego nazwisko). Lecąc na niewielkiej wysokości, statek okrążał teraz Rafę Pięć, a jego kapitan zamierzał wykorzystać którąś z Pieśni starego Toka, żeby znaleźć odpowiednie miejsce do lądowania.

Vuffi Raa obrócił „Sokoła” o sto osiemdziesiąt stopni, aby to, co go trafiało, uderzało w grubszy pancerz, chroniący spód statku. Mimo to Lando wiedział, że i tak odnieśli jakieś uszkodzenia.

BUNG!

- Na miłość Jądra galaktyki, co to było? - wrzasnął, nie na żarty przerażony.

W wolnej przestrzeni między przezroczystym iluminatorem sterowni a niewielką anteną telekomunikacyjną zaklinował się jakiś dziwny przedmiot. Wyglądał jak staroświecki przyrząd do cięcia szkła, z którego pomocy korzystali kiedyś szklarze. Miał rękojeść i pojemnik, umożliwiający zasysanie okruchów, ale został wykonany z jakiegoś krystalicznego materiału, przywodzącego na myśl produkt miejscowych życiosadów.

- Nie mam pojęcia, mistrzu!

Czyżby i w głosie robota zabrzmiały pierwsze nutki hysterii? Tego tylko brakowało - pomyślał Lando.

Statek obrócił się wokół osi, znieruchomiał i leciał dalej, tym razem na boku. Wszystko wskazywało jednak na to, że dziwne bombardowanie się skończyło. Mały android odwrócił się w stronę Calrissiana.

- To jakiś dziwny przyrząd, mistrzu. Archeoastronomowie uważają, że Rafa Pięć była macierzystą planetą Sharów, z której istoty wyruszyły na podbój reszty systemu. Śpiewane przez Mohsa pieśni potwierdzają tę hipotezę. Podejrzewam, mistrzu, że widzimy - i odczuwamy - pozostałości po pierwszych próbach ujarzmiania przestworzy... przedmioty wynoszone na orbitę za pomocą prymitywnych rakiet albo niepotrzebne rzeczy, usuwane z pokładów małych statków, przygotowujących się do ponownego wejścia w warstwy atmosfery.

To miało sens. Okołoplanetarne orbity należały do najciekawszych miejsc, w których można było znaleźć najwięcej przedmiotów, pozostawionych przez prymitywne cywilizacje. Prawdopodobnie wokół Rafy Pięć krążyły aparaty fotograficzne i kamery, stare kombinatory próżniowe, resztki pożywienia... wszystko dokładnie w takim samym stanie, w jakim zostało wyrzuczone w mroki przestworzy - jeżeli nie liczyć uszkodzeń, wyrządzonych przez mikrometeority i promieniowanie.

Nagle Lando uświadomił sobie, że przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Vuffi Raa, dlaczego, kiedy zostaliśmy trafieni po raz pierwszy, po prostu nie włączyłeś ochronnych pól „Sokoła”? - zapytał. - To nie było coś, z czym nie mogłyby poradzić sobie nasze deflektory, zwłaszcza że różnica prędkości nie była wcale duża.

Pomyślał, że nieustanne przeglądanie instrukcji obsługi „Sokoła” w końcu zaczyna dawać jakieś rezultaty. Może, gdyby dostatecznie długo przyglądał się, jak robi to android, w końcu sam opanowałby sztukę pilotażu.

Z drugiej strony, właśnie teraz mógł przebywać w salonie luksusowego pasażerskiego

liniowca. Mógł, zajęty strzyżeniem dwunożnych owiec i baranów, powoli saczyć dużą porcję lodowatego trunku.

- No cóż, nie potrafię odpowiedzieć panu na to pytanie, mistrzu - odezwał się po chwili ciszy android. - Po prostu zareagowałem, jak najszybciej mogłem. Trzymajcie się wszyscy, podchodzę do lądowania!

Mały robot zaczął pociągać za dźwignie i przyciskać guziki, umieszczone na pulpitych różnych konsol.

Rafa Pięć - bez względu na to, czy była, czy też nie, kolebką legendarnych Sharów - nie zaliczała się do światów, na których kolonizatorzy czuliby się jak u siebie w domu. Miała atmosferę, zajmującą niemal całą powierzchnię gigantyczne wielobarwne budowle, a także - co najważniejsze - wszechobecne życiokryształowe sady. Mimo to powietrze było tu odrobinę zbyt chłodne i zbyt suche, podczas gdy na Rafie Cztery - planecie, z której właśnie przylecieli - panował cieplejszy i bardziej wilgotny klimat, i to w szerszym zakresie długości geograficznych.

Tu i ówdzie - jak ujawniły badania, przeprowadzone, kiedy przebywali na orbicie, a także jak podawały mapy, których treść wpisali jeszcze w Teguta Lusac do pamięci pokładowego komputera - widać było niewielkie osady i zabudowania, przeważnie otaczające życiosady. Kręcili się po nich urodzeni na tej planecie Tokowie (ich ziomkowie urodzili się na wszystkich innych światach systemu, dysponujących odpowiednimi warunkami), skazańcy, zesłańcy i miejscowi ogrodnicy. Wszyscy zajmowali się zbieraniem życiokryształów, aczkolwiek nie na taką skalę, na jaką zajmowano się tym na Rafie Cztery.

Lando doszedł do wniosku, że niewątpliwie w przyszłości, mniej więcej za sto lat, i tu powstaną miasta obok tych, które zbudowali i porzucili Sharowie. Na razie jednak całą planetę zamieszkiwało zaledwie kilkuset rozproszonych po całej powierzchni osadników.

Kolosalna piramida, którą wskazał im Naczelny Śpiewak Toków, znajdowała się w odległości przynajmniej tysiąca kilometrów od jakiegokolwiek osady, założonej przez kolonistów.

Vuffi Raa posadził „Sokoła Milenium” delikatnie jak piórko między kilkoma innymi prastarymi budowlami - u stóp gigantycznej piramidy, w porównaniu z którą nawet inne dzieła architektury Sharów wydawały się karzełkami. Trudno byłoby opisać ogrom konstrukcji, piętrzącej się teraz nad ich głowami. Ponad powierzchnią gruntu wystawało co najmniej siedem kilometrów. Różne czujniki „Sokoła” ujawniły, że budowla zajmuje sporo miejsca także pod powierzchnią, ale dokładne określenie, gdzie się kończy, przekraczało ich możliwości. Piramida przypominała wzniesioną z nie-przenikliwego plastiku gigantyczną górę, która chyba niczemu nie służyła i nie pełniła żadnej określonej funkcji.

Miała pięć ścian (jeżeli nie liczyć dna - bez względu na to, jak głęboko się znajdowało) stykających się pod różnymi kątami, co nadawało monumentalnej konstrukcji dziwaczny, koślawy i groźny wygląd. Każdą ścianę wykonano z materiału innej, jaskrawej barwy: karmazynowej, morelowej, żółto-brązowej, akwamarynowej i turkusowej.

Cóż za ohydny gust - doszedł do przekonania Lando. - Nic dziwnego, że rasa budowniczych wymarła albo wyginęła.

Piramidy nie wieńczyła żadna konstrukcja, która mogłaby służyć jako ozdoba. Ściany po prostu się schodziły, tworząc szpikulę, na który mógłby się nadziać każdy nieostrożny śmiałek.

Nie po raz pierwszy Lando zaczął się zastanawiać, kto albo co mogło wystraszyć istoty, zdolne do wznoszenia tak gigantycznych gmachów. Poszukując odpowiedniego ubrania, w którym mógłby zejść na ląd, przejrzał szafki swojego statku i własne bagaże

i w końcu zdecydował się na lekką, elektrycznie ogrzewaną kurtkę z kapturem, ciepłe spodnie, mikrotermicznie izolowane rękawice i terenowe buty z twardymi, wytrzymałymi podeszwami. Ponieważ jednak czuł się wyjątkowo niepewnie, postanowił zerwać z wieloletnią tradycją i przerzucił przez ramię krótki, ciężki oburęczny blaster. Kieszenie kurtki wypełnił zapasowymi zasobnikami energetycznymi.

Broń sięgała do biodra, a lufa zataczała łuki podczas każdego kroku.

Mohs zdecydowanie odrzucił propozycję włożenia czegoś cieplejszego, po czym stanął obok hazardzisty i Vuffi Raa na progu służby. Lando zastanawiał się, czy staruszek nie chce do wielu innych ułomności dodać także odmrożeń. Tak czy owak - pomyślał — będziemy tworzyli niezwykłą grupę.

- Posłuchaj, czy jesteś absolutnie pewien, że to właściwe miejsce?

Mohs pokiwał energicznie głową, a tymczasem rampa opadała na powierzchnię planety. W miarę jak się obniżała, do wnętrza statku zaczęło wdzierać się lodowate zimno. Ciepłe powietrze, wydobywające się z ust podczas każdego oddechu, tworzyło niewielkie chmurki. Lando stwierdził, że grunt pod stopami jest zamrożony i suchy.

- Mistrzu - napomniał Calrissiana Vuffi Raa. - Mam nadzieję, że zabrał pan wystarczająco dużo wody. Wilgotność w tych okolicach nie osiąga nawet dwóch procent.

Lando poklepał bulgoczącą plastikową manierkę, którą wepchnął do jednej z wewnętrznych kieszeni lekkiej kurtki.

- Tak. Nie zapomniałem także o talii kart-płytek do sabaka. - Powiodł spojrzeniem po nie ozdobionej roślinnością powierzchni planety. O podnóże opustoszałej budowli rozbijały się tumany drobnego czerwonego piasku, podobne do fal zamarzającego morza. - Wygląda na to, że wcześniej niż z głodu czy pragnienia, możemy umrzeć z nudy.

Mohs odwrócił się i z dziwnym wyrazem twarzy obserwował, jak Lando otworzył niewielką klapkę, umieszczoną na wysokości oczu w jednej z łap ładowniczych „Sokoła”. Hazardzista wcisnął ściśle określoną sekwencję guzików, dzięki czemu rampa, jęcząc i zgrzytając, zaczęła się unosić, aż złączyła się z kadłubem statku.

- Azaliż masz także i Klucz, lordzie? Tenże Klucz, który...

- A jak myślisz? - odpowiedział pytaniem nieco zirytowany Calrissian. - Czy wy dwaj aby nie zmówiliście się, żeby wysłać mnie na letni obóz czy coś w tym rodzaju?

Wyprowadził ich spod kadłuba statku, po czym nabrał głęboki haust lodowatego powietrza, by odświeżyć płuca - i natychmiast poczuł, że zamarły wszystkie włoski w nozdrzach.

- No cóż, nie widzę tu nikogo, kto rościłby sobie jakieś prawa do tego zapomnianego przez wszystkich kawałka...

- Mistrzu! - Szurając kończynami po piasku, Vuffi Raa podszedł do niego i chwycił za skraj kurtki. - Coś mi się tu nie podoba. Czuję...

- Wiem, stara bryła złomu. Ja także to czuję.

Niebo, czyste i bez obłoków, miało kolor zielonkawy. Mimo to sprawiało dziwnie przegnębające wrażenie, jak gdyby było ołowianoszare i pokryte burzowymi chmurami. Panowało dotkliwie zimno. Skowyt serwowatorów Vuffi Raa brzmiał jakby głośniejszy niż kiedykolwiek, co skłaniało do wniosku, że chyba smarujące je substancje zgęstniały pod wpływem chłodu. Lando u-krył z powrotem w rękawicy dłoń, którą posłużył się, żeby unieść rampę, po czym włożył do ciepłej kieszeni z tej strony, gdzie dyndał ciężki blaster.

- Mistrzu!

Rozległ się ni to jęk, ni to świst, i krótka, gruba, paskudnie wyglądająca strzała utkwiła w szczelinie między korpusem a dolną kończyną małego androida.

W następnej sekundzie chyba setki takich samych prymitywnych drewnianych pocisków

zagwizdało koło uszu hazardzisty, odbiło się o kadłub „Sokoła” i ugrzęzło w piasku. Vuffi Raa, który wyglądał jak pięcionoga poduszczenka do szpilek, upadł. Nie poskarżył się więcej ani słowem.

Dziwne, ale ani jedna strzała nie trafiła ani Landa, ani Mohsa. Ten pierwszy chwycił za broń, uniósł lufę do poziomu i nie zdejmując z ramienia, omiótł linię niskich wydm, oddalonych zaledwie o kilkanaście metrów. Nagle poczuł, że broń w jego dłoniach skoczyła jak żywa. Obrócił ją i nie wierząc własnym oczom, popatrzył na wylot lufy.

Z otworu sterczał grot jeszcze jednej strzały, co - gdyby Lando nacisnął spust - mogło zamienić broń w niebezpieczną bombę. Hazardzista odrzucił blaster na bok i zamierzając wyciągnąć paralizator, zaczął pospiesznie rozpinąć kurtkę. Wiedział, że to niewiele, ale niczym innym nie...

- Nie ruszaj się, lordzie! - wykrzyknął Mohs. - Jeżeli stawisz opór, zginiesz, zanim zdążysz chociażby raz odetchnąć!

Starzec uniósł rękę. Zza piaszczystych wydm wyłoniło się kilkudziesięciu Toków, odzianych, podobnie jak ich Śpiewak, jedynie w przepaski biodrowe.

Każdy trzymał potężną kuszę z nałożoną strzałą, wymierzoną prosto w serce Calrissiana.

ROZDZIAŁ X

A więc tak wygląda prawdziwy życiokryształowy sad - pomyślał ponuro Lando.

Drzewa sprawiały, co prawda, dziwaczne wrażenie, ale nie na tyle, żeby to raziło. W tym sadzie widział prawie pięćset życiokryształowych drzew, ale chociaż nie tworzyły równych szeregów ani rzędów, wszystkie miały tę samą wysokość i rosły w odległościach kilku metrów od najbliższych sąsiadów. Pień wyglądał również zwyczajnie - dopóki nie przyjrzał mu się dokładniej i nie zauważyło, że to, co w pierwszej chwili wyglądało na korę, było w rzeczywistości rdzeniem z włóknistego, zabarwionego szkliwa, mających może pół metra średnicy i wysokim na kilka metrów, jeżeli liczyć łącznie z gałęziami.

Pierwszą naprawdę niezwykłą cechą, na jaką ktoś mógłby zwrócić uwagę, był dopiero system korzeniowy. Każde drzewo wyglądało, jakby opierało się na podstawie - nieregularnym, ale w przybliżeniu okrągłym, o dwumetrowej średnicy dysku. Przypominało to sztuczne drzewa, podobne do tych, jakie dołączano do modeli kolejek jednoszynowych. Korzenie wyglądały dokładnie tak samo, jak pień ze szkliwa. Dysk tworzył coś w rodzaju bazy, która opadała raptownie w dół, aby zniknąć w pokrytym piaskiem gruncie. Kryjące się pod powierzchnią korzenie przypominały wykonane z takiego samego szkliwa cienkie włoski, które sięgały na głębokość kilometra, ale rozprzestrzeniały się na boki tylko na tyle, na ile pozwalały im najdłuższe gałęzie.

To właśnie gałęzie sprawiały, że drzewo przypominało trochę wielki kaktus. Pierwsze zaczynały wyrastać z pnia mniej więcej na wysokości głowy. Odchodziły pod kątami prostymi na pewne odległości - tym dalej od pnia, im niżej odrastały - ale żadna nie wykraczała poza obręb, wyznaczony przez system korzeniowy. Później wszystkie zginały się pod kątami prostymi i kierowały ku niebu. Zewnętrzne gałęzie - to znaczy najniższe - miały najkrótsze części pionowe. Wewnętrzne miały dłuższe, co nadawało wszystkim drzewom kształty stożków.

Na smukłym, zaostrozonym czubku gałęzi wyrastał pojedynczy, fasetkowy, błyszczący życiokryształ. Te, które rosły na końcach zewnętrznych gałęzi, miały rozmiary pięści; inne przypominały łebki szpilek. Na każdym drzewie rosło chyba z tysiąc kryształów. Jedynie bardzo długa, smukła środkowa gałąź, stanowiąca przedłużenie pnia życiodrzewa

i stercząca pionowo w górę na podobieństwo telekomunikacyjnej anteny, nie rodziła żadnego kryształu.

Lando przekonał się, życiokryształowe drzewa były trochę niższe, ale za to grubsze niż te, które zawsze uważał za normalne. Możliwe, że coś wspólnego z tym miał panujący na Rafie Cztery umiarkowany klimat. Nie potrafił zrozumieć, jak cokolwiek mogło rosnąć w tak niskiej temperaturze.

Mimo iż widział, że te drzewa naprawdę rosły - i to pomimo faktu, że stanowiły dziwną krzyżówkę życia organicznego i półprzewodnika. Każdy sad wyrósł dzięki posianym ziarnom, wykazujących tę właściwość, że wszystkie drzewa rosły w takim samym tempie. Odrzucanie kryształów - czynność, podczas której należało posługiwać się laserem - powodowało, że następny osiągał pożądane rozmiary dopiero po upływie roku. Lando wiedział, że na innych planetach systemu Rafy rosły drzewa, mające tylko kilkanaście centymetrów wysokości, a na jeszcze innych giganty, wznoszące się co najmniej na dziesięć albo dwanaście metrów. Wszystkie rodziły życiokryształy o rozmiarach proporcjonalnych do wysokości. Niektóre owoce, nie większe niż łebki szpilek, nie nadawały się do sprzedaży. Inne miały rozmiary korpusu Vuffi Raa.

Myśl o małym androidzie sprawiła, że Lando przestał przypominać sobie, co wiedział o życiodrzewach, a zaczął się zastanawiać nad tym, jak właściwie popadł w takie tarapaty.

Wówczas, kiedy stał obok statku, odwrócił się i z przerażeniem popatrzył na wiernego towarzysza. Czerwone oko Vuffi Raa zgasło, a prawie z każdej szczeliny i złączenia sterczały drewniane strzały. Z wielu ran wypłynął jasny płyn, który utworzył na czerwonym piasku ciemne plamy.

Mohs ruszył do hazardzisty. Nie siedł teraz pochylony ani zgarbiony. Wyciągnął rękę w ten sposób, że dłoń zwróciła się ku niebu.

- Oddaj mi Klucz, szarlatanie!

Lando zacisnął zęby. Nie miał wiele do stracenia, a był wściekły -bardziej na siebie niż na kogokolwiek czy cokolwiek innego. Zaplótł ręce na torsie, wbił pięty w piasek i chrząknął.

- Klucz! — nalegał Mohs. - Należy do nas, a nie do ciebie!

- Nie bądź śmieszny, staruszkule!

Całkiem niespodziewanie na pomarszczonej twarzy starca odmalowało się przerażenie - trudne do zrozumienia w takiej sytuacji. Mohs opuścił rękę i popatrzył na pobratymców, otaczających obu groźnym, milczącym kręgiem. Wzruszył ramionami, po czym zwrócił się znów do Calrissiana.

- Powtarzam jeszcze raz, ty oszuście, hochsztaplerze, uzurpatorze, ty... ty...

- Jeżeli dokończysz zdanie - przerwał mu Lando, zupełnie nie rozumiejąc, o co chodzi, ale pozwalając sobie na pierwszy słaby promyk nadziei -ja również powiem ci coś obraźliwego. Prawdę mówiąc, chyba i tak ci powiem. Twoja matka nie miała słuchu i fałszowała, kiedy śpiewała.

Kiwnął głową, pragnąc podkreślić wagę tego zdania.

Mohs aż cofnął się o krok, jeszcze bardziej przerażony - Lando nie potrafiłby powiedzieć, czy ogromem zniewagi, czy też faktem, że sprawy zaczynają przybierać niepomysłny obrót.

Ponownie odwrócił się w stronę ziomków, a hazardzista pomyślał leniwie, że oto ma jeszcze jedną zagadkę do rozwiązania. Mohs pochodził z innej planety. Jakim cudem mogli go znać ci tubylcy? I nie tylko znać, ale nawet uważać za przywódcę?

A przede wszystkim, jeżeli już o tym mowa, jakim cudem urządzono tę zasadzkę?

Dzikusy poszwargotały coś między sobą, naradzając się we własnej mowie. Wyglądało

na to, że w końcu zdołają dojść do jakiegoś wniosku.

- Pójdiesz teraz z nami, fałszywy i podstępny Posiadaczu! - rozkazał Naczelny Śpiewak Toków.

Odwrócił się i ruszył wzdłuż najbliższej ściany gigantycznej piramidy. Lando jednak nie postąpił ani kroku. - Prędzej Jądro zamieni się w bryłę lodu. Aau! Ten ostatni okrzyk zrodził się bardziej z zaskoczenia niż bólu. Wystrzelony z kuszy pocisk przeleciał ze świstem koło głowy Calrissiana. Otarł się o małżowinę i tak obolałego, zmarniętego ucha, a później odbił od kadłuba „Sokoła” i trafił w pośladek - na szczęście okryty grubą warstwą materiału spodni. Lando zaczynał powoli się domyślać, o co może w tym wszystkim chodzić. Tubylcy nie mogli, a może nie chcieli go zabić, podobnie jak nie mogli odebrać Klucza wbrew jego woli (mimo iż doskonale pamiętał, że Mohs, kiedy jeszcze przebywali na Czwórcie, usiłował dokonać tej sztuki). Mogli wszakże mu grozić i zmusić do oddania w inny sposób. Wszystko wskazywało na to, że mieli w tym dużą wprawę. Lando pochylił się, zamierzając podnieść odrzucony blaster. Miał nadzieję, że zanim zginie, zdąży wyciągnąć strzałę i narobić zamieszania. Nie zdołał jednak przejść choćby metra, kiedy obok niego przeleciał następny grad pocisków. Strzały dosłownie zakopały całą broń w miętym piasku. Przyszpiliły w wielu miejscach pas, osłonę mechanizmu spustowego i inne fragmenty kolby oraz lufy. Pomysł okazał się więc niewypałem.

Jak na rozkaz, cała grupa kilkudziesięciu tubylców ponownie wymierzyła broń w serce Calrissiana.

- Dobrze, dobrze, już idę - mruknął Lando. - Czy ktoś z was nie pomyślał o wezwaniu poduszkiwca?

Dwie godziny później hazardzista zaczął żałować, że to nie był dowcip. Tokowie kazali mu maszerować wiele kilometrów, wspinać się po zagrażających drogę prostopadłościennych blokach, brnąć przez kopce, usypane z drobnego piasku, i przedzierać się przez gęste karłowatych, kolczastych krzewów. Lando czuł ból w płucach i w nogach. Co więcej, bez względu na to, jak ustawiał pokrętkę termoregulatora ubrania, odnosił wrażenie, że jest mu wciąż zimno.

W końcu stanął.

- No, dobrze. Posłuchajcie wszyscy. Dotychczas byłem miłym gościem, ale dalej nie pójdę. Jeżeli zależy wam na Kluczu, będziecie musieli mi go zabrać, kiedy umrę. Nie ruszę się stąd nawet na krok.

Milczący tubylcy, którzy przez cały czas wędrówki otaczali go szczelnym kręgiem, skierowali spojrzenia na Mohsa. Starzec kiwnął głową. Poddani natychmiast wypuścili roje strzał, które świdrowały dziury w jego ubraniu, sypały w twarz garście piasku i przelatywały ze świstem tuż nad głową. Ci goście muszą być znakomitymi strzelcami - pomyślał z podziwem Lando. - Mam nadzieję, że żaden nie dostanie czkawki. Stał nieruchomo dopóty, dopóki nie zaczęli puszczać strzał między jego nogami.

Pomyślał, że nie warto ryzykować. Zaczekał, aż na chwilę przestaną strzelać, żeby przeładować broń, a później ruszył w dalszą drogę.

Okazało się, że to, co z początku uważał za kusze, nie miało z nimi nic wspólnego. Broń była jakimś rodzajem napinanego za pomocą sprężyny urządzenia, wyposażonego na końcach w poruszające się ramiona - które w pierwszej chwili wziął za końce łuku. Poruszając się, ramiona wyrzucały krótkie i grube drewniane strzały przez otwór, wywiercony w środkowej części broni. Wyglądało na to, że strzelcy nie muszą jej przeładowywać po oddaniu każdego strzału. Lando domyślał się, że gdzieś we wnętrzu urządzenia musi się kryć magazynek, mieszczący sześć, a może siedem takich pocisków. Broń nie wyrzucała strzał na bardzo duże odległości. Mimo to szybkość i dokładność, z jakimi posługiwali się nią tubylcy, uświadomiła mu, że mógłby zginać, trafiony tysiącami takich igieł, równie

niechybnie, jak strzałem z blastera.

Tyle że jego śmierć byłaby wówczas o wiele bardziej bolesna.

Maszerował dalej.

Upłynęło kilka następnych godzin. Lando nie miał pewności, dokładnie, ile. Nie chciał spoglądać na zegarek, ponieważ nie zamierzał przypominać tubylcom, że w zanadru, pod ciepłym, zimowym ubraniem, ukrywał kilka przedmiotów, a wśród nich miniaturowy pięciostrzzałowy paralizator. Musiałby porządnie się nagłowić, by wymyślić, jaką korzyść mógł mu przynieść w takiej sytuacji, ale przynajmniej miał coś, co napawało go otuchą i z czym mógł wiązać pewne nadzieje.

Krok za krokiem. Krok za krokiem. Krajobraz nie ulegał żadnym zmianom. Przypominał coś pośredniego pomiędzy pustynią a tundrą. Większość wolnego miejsca zajmowały gigantyczne budowle Sharów. Oprócz nich widział tylko piasek, piasek i jeszcze więcej piasku. Bezczmurne, a jednak złowieszcze niebo. Lando martwił się też losem, jaki spotkał Vuffi Raa. Miał nadzieję, że mały robot zginął szybką i bezbolesną śmiercią.

Przez cały czas długiej, nie przerywanej ani jednym postojem wędrówki, otaczający go Tokowie śpiewali i mruzcili - czasami wolne, a czasami szybkie pieśni. Ku nieustannemu rozdrażnieniu Calrissiana, nigdy w taki sposób, żeby rytm zgadzał się z tempem marszu. To sprawiało, że nieszczęsny piechur raz po raz zataczał się i potykał. Nie wiedział, jakimi torami biegają myśli Toków, ale był pewien, że mu się nie podobają. Tubylcy śpiewali ciche pieśni; śpiewali także głośne i piskliwe. Śpiewali harmonijnie albo nieharmonijnie, a czasami stosowali zasadę kontrapunktu. Dokonanie nagrania ich pieśni byłoby czymś wspaniałym. Zdawać by się mogło, że dzikusi dysponują wręcz niewyczerpanym repertuarem.

Uciążliwa wędrówka dobiegła końca, kiedy wszyscy dotarli na skraj życiokryształowego sadu.

Lando dostrzegł zbliżającego się Mohsa.

- Posłuchaj mnie, szalbierzu. Nie wolno nam użyć siły, żeby odebrać klucz Posiadaczowi. Nawet wówczas, jeżeli Posiadacz okaże się uzurpatorem. W jakiś sposób zdołałeś się tego domyślić. Nie możemy również zabić Posiadacza Klucza - chociaż, jak sam widziałeś, zabiliśmy nieprawdziwego Emisariusza, co sprawiło nam wielką radość.

A więc o to chodziło! Jakimś cudem Lando doszedł do fałszywego wniosku, że Posiadacz i Emisariusz to jedna i ta sama osoba, to znaczy on. Czyżby zdradził się z tym, uruchamiając całą lawinę wydarzeń? Usiłował przypomnieć sobie, co powiedział na ten temat Mohsowi, ale uświadomił sobie, że to i tak nie ma najmniejszego znaczenia. A poza tym starzec nie przestawał mówić:

- ...niech one to same zrobią. Chodź ze mną.

Hazardzista podszedł razem z nim do pnia najbliższego drzewa. Kilku innych Toków wręczyło broń pobratymcom, po czym także podeszło do Mohsa i Calrissiana. Jeden z nich trzymał przepaskę biodrową.

Zanim Lando zdecydował się stawić opór, było za późno. Tokowie zmusili go, żeby usiadł, po czym rozpięli kurtkę i szarpnąwszy, brutalnie ściągnęli. Następnie, posługując się przepaską jak sznurem, przywiązali go, a później końcem szmaty unieruchomili ręce za pniem drzewa. Zwiniętą w kłęb kurtkę rzucili kilka kroków w bok od siedzącego Calrissiana.

- Hej! Czy wiecie, ile musiałem zapłacić za nią krawcowi? Chwileczkę, tego już za wiele! Mohs pochylił się, żeby ściągnąć z jego nogi jeden but, a po chwili to samo uczynił z drugim. Odrzucił oba na stronę, obok zwiniętej kurtki, po czym ściągnął obie skarpety. Następnie korzystając z pomocy ziomków, zajął się zdzieraniem tuniki i podkoszulka. Kiedy skończył, wyciągnął ostry sztylet.

- Hej, posłuchaj... Zaczekaj chwilę! Nie wolno ci tego robić! Zaczął wierzgać, starając się kopnąć starca, ale poczuł, że dwaj tubylcy natychmiast unieruchamiają jego nogi. Lando nigdy nie pokładał zaufania w brutalnej sile, do jakiej aż nazbyt często uciekali się walczący bohaterowie, a ponieważ nie mógł uczynić niczego innego, wrzasnął. Dał się przez cały czas, kiedy Mohs rozciął nogawki spodni, żeby wystawić obnażone nogi na działanie lodowatego powietrza.

- A teraz - odezwał się prastary Śpiewak, wyraźnie zadowolony z rozpaczliwego położenia, w jakim znalazł się Calrissian -wszyscy ujrzą, że Klucz pozostaje przy Posiadaczu.

To była prawda. Wyjęli go z kieszeni tuniki i wcisnęli pod brudną, szarą, otaczającą jego pierś przepaskę. Hazardzista przeżył wówczas najtrudniejszą chwilę. Siedział absolutnie nieruchomo, tak by wkładany przedmiot nie brzęknął w zetknięciu z metalem ukrytego pod szeroką szarfą miniaturowego pistoletu.

- A teraz zaczekamy - oświadczył zadowolony staruch. - W swoim czasie zabiorą twoje życie, czy to posługując się zimnem, czy też drzewem. Wówczas powrócimy i odzyskamy Klucz -dziedzictwo, stanowiące własność naszej rasy. Idziemy.

I odeszli.

Słońce powoli chyliło się ku nierównej, nienaturalnej linii horyzontu i w stronę nieszczęsnego hazardzisty zaczęły pełznąć nieubłagane cienie. Spoglądając na nie, Lando poczuł, że jego serce pogrąża się w czarnej rozpaczynie w takim samym tempie, jak słońce. Obserwował, jak małe roślinki, wyczuwając chłód nadciągającej nocy, kurczą się i zwijają w jeszcze mniejsze kulki. Z przerażeniem zauważył, że czubki palców stóp pokrywają się warstewką szronu, a zgromadzona w miłym piasku wilgoć zamarza, tworząc niewielkie, krzaczaste słupki lodu.

Przed wszystkim jednak kierował tęskne spojrzenia ku ciepłej kurtce, tunice, butom i skarpetom. Przyglądał się, jak na wszystkich przedmiotach, leżących niespełna trzy metry poza zasięgiem jego związanych rąk, tworzy się warstewka szronu.

Zaczął kląć - z początku czując niepomohowany gniew na samego siebie, Mohsa, Geptę i Mera, a później już tylko po to, by się rozgrzać. Przeklinał w rodzimej mowie i kilkunastu innych dialektach, jakie opanował podczas krótkiego, ale bardzo barwnego życia. Przeklinał w trzech językach komputerowych i śpiewnym ćwierkaniu, jakim posługiwała się rasa wyjątkowo muzycznych inteligentnych ptaków, z którymi zasiadł kiedyś do gry w karty -aż w końcu pomyślał o Tokach.

Przeklinał Toków tak długo, aż skończyły mu się przekleństwa. Później znów ich przeklinał. I jeszcze raz. I jeszcze.

Nagle drgnął, jakby wyrwany z głębokiego transu.

I zaczął przeklinać na nowo, tym razem tylko po to, by nie zasnąć. Gdyby się zdrzemnął, zamarzłby na śmierć.

ROZDZIAŁ XI

Przeraźliwa cisza. Cisza śmierci.

Pod monstrualnie wielkim, wspartym na sztywnych łapach i przypominającym ogromnego pajaka mrocznym kształtem kładły się jeszcze ciemniejsze cienie. Rzucana przez bliźniacze księżycy biała poświata odbijała się od metalowych powierzchni i tworzyła na ciemnym piasku ledwo widoczne jaśniejsze plamy. Padające pod różnymi kątami cienie nakładały się na siebie, dzięki czemu mroki w jednych miejscach były głębsze niż w innych. Największe ciemności panowały jednak pod kadłubem „Sokoła Milenium”, dokąd nie docierał blask, rzucały przez żadnego satelitę. Tysiące krótkich, podwójnych cieni

pochodziło od drewnianych strzał, które pogrzażyły się w delikatnej metalowej konstrukcji i piasku.

Przeraźliwa cisza i przenikliwe zimno. Oznaki niechybnej śmierci.

Widoczne wokół kadłuba statku niewielkie, karłowate rośliny zwinęły się w małe oliwkowe kulki, pragnąc w ten sposób chronić się przed zimnem i ciemnościami. Powietrze sprawiało wrażenie jeszcze suchszego niż przed zapadnięciem nocy. Tu i ówdzie - przeważnie na liściach albo łodygach roślin - błyszczały pojedyncze kryształki lodu. Szron zdobił także grzbiety miniaturowych wydm i krawędzie tysięcy otaczających kadłub „Sokoła” śladów stóp, odcisniętych w mialkim piasku. Iskrzył się również na udręcznym, splątanim stosie chromowanych węży, porzuconym, zapomnianym i leżącym bez ruchu tuż poza zasięgiem cienia, rzucanego przez kadłub frachtowca.

Na piasku wokół żalostnego stosu wciąż jeszcze można było dostrzec wilgotne plamy - w miejscach, w których z setek wgłębień i otworów wyszczyły się krople płynu. W przerażającej ciszy i zwiastującym śmierć chłodzie wydawały się jeszcze ciemniejsze ale i jakby grubsze i gęściejsze. Mimo to pod przysypaną piaskiem warstewką płynu chyba coś się poruszało. Pseudorganizmy - błyszczące, metalowe drobiny, podobne do pyłków i tak małe, że niemal niewidoczne gołym okiem - roily się pośród cząsteczek gęstniejącej cieczy. Milimetr po milimetrze przemieszczały się w kierunku większego pseudoorganizmu, z którego wypływały, zanim zapadły ciemności.

Mikroskopijne nibynóżki nie przestawały pojawiać się i chować, i wyrastać, i znikać - powoli, ociężale, ale bez ustanku. Mimo to miliony maleńkich przedmiotów pokonywało, centymetr po centymetrze, odległości, które musiały się im wydawać kilometrami. Wracały tam, gdzie znajdowało się ich miejsce. Pozostawiona przez nie ciecz stawała się coraz rzadsza, coraz bardziej płynna, ale i ona, cząsteczka po cząsteczce, wycofywała się, zabierając ukryte dotąd w piasku drogocenne minerały i metale.

Te same bliźniacze księżycy oświeślały bładym blaskiem to, co działo się kilka kilometrów dalej. Ocieniona gęstwiną szklistych gałęzi samotna figurka, trzęsąc się z zimna, usiłowała wyrzesać z siebie resztki ciepła. Lando Calrissian umierał. Miał wrażenie, że jak życie Vuffi Raa wyciekło i rozlało się po piasku, tak i jego życie wycieka przez pory obnażonej skóry. Wydawało mu się, że miesza się z lodowatym powietrzem albo syci żarłoczną nienasyconą roślinę, do której go przywiązano.

Gdyby miał dość siły, żeby spojrzeć w prawo i w lewo, zauważyłby te same małe roślinki, zwinęte teraz w kulki, które lepiej utrzymywały ciepło. Może odczułby żal, że sam nie może pójść w ich ślady. Lando jednak już dawno przestał zwracać uwagę na to, co dzieje się wokół niego. Od czasu do czasu tylko trząsł się i dygotał, wstrząsany konwulsyjnymi dreszczami. Wydawało mu się, że po każdym dreszczu coraz mocniej zaciskają się włókna, którymi skrępowano jego nadgarstki i przywiązano do pnia drzewa, wskutek czego krążenie krwi coraz bardziej słabnie i zanika.

Z trudem mógł zmusić się do myślenia. Nie wiedział, czy zawdzięcza to przenikliwemu chładowi, czy też pniowi życiodrzewa. Rozwiązanie tej zagadki wydawało mu się sprawą życia albo śmierci. Co takiego opowiadano mu o życiokryształowych drzewach? Że we wszechświecie nie ma niczego za darmo - i że wszystko, co kryształły oddają ludziom, którzy je noszą albo trzymają, muszą najpierw odebrać komuś innemu. Czyżby właśnie w tej chwili odbierały to jemu?

Przede wszystkim jednak czuł ból. Miał wrażenie, że jego bosc stopy płoną, jakby przypalane żywym ogniem. Pomimo suchego powietrza, na czubkach palców iskrzyły się igiełki szronu. Lando był ciekaw, jaką temperaturę muszą osiągnąć komórki ciała, żeby mogły utworzyć się na nim kryształki lodu. Wystarczająco niską, żeby mogła wdać się gangrena?

No cóż, nie zamierzał tak łatwo się poddawać! Kiwnął głową, jakby pragnął w taki sposób upewnić o tym siebie, i dopiero wówczas zauważył łzy, które popłynęły z oczu i zamarły na policzkach. Jeżeli nadal odczuwał ból w stopach - żałował, że go odczuwa, ponieważ ból rozpraszał jego uwagę co najmniej tak samo, jak przenikliwe zimno - powinien był również odczuwać ból w palcach dłoni. Dłonie miał także zimne, ale przed lodowatym powietrzem chroniło je ciało, resztki ubrania, jakie mu zostawili, i pień drzewa.

Drzewo.

Szklisty pień sprawiał wrażenie stykającego się z jego plecami słupa lodu. Widoczne nad głową dziwnie precyzyjnie rosnące gałęzie wydawały się przezroczyste - a może tylko półprzezroczyste - zwłaszcza w miejscach, w których rysowały się na tle tarcz księżyców.

Potrząsnął głową i natychmiast poczuł, że uleciały z niej wszystkie myśli. Nieporadnie starał się przypomnieć sobie, o czym rozmyślał. Czyżby jego serce przestało bić? Chyba nie. Nadal mógł oddychać, chociaż teraz, kiedy to sobie uświadomił, każdy oddech sprawiał mu wysiłek i to coraz większy, w miarę jak zaczynał się nad tym zastanawiać. Żałował, że nie może przestać myśleć i zacząć oddychać bez uzmysławiania sobie faktu, iż to robi.

A więc o to chodziło! Nie uświadamiając sobie tego, co robi, wykonywał jakieś ruchy dłońmi i palcami. Dlaczego tak bolały go czubki palców? Czy nie zamarły, podobnie jak palce stóp? Nie powinny... ale „nie powinny” było śmiesznym powiedzeniem. On sam też „nie powinien” tu siedzieć, przywiązany do pnia życiodrzewa, które wysysało jego myśli. Powinien... powinien... Co właściwie powinien teraz robić? Przez myśl przemknęły mu widoki długich korytarzy i pięknych kobiet, i... i... kart-płytek! Co powinien uczynić, mając karty-płytki?

Starając się to odgadnąć, nie zwrócił uwagi na to, że jego palce podjęły na nowo strzępienie krępującej nadgarstki tkaniny. Wyciągając jedno włókno po drugim, coraz bardziej osłabiały brudną szmatę.

Zacznijmy od metalowego pięcioboku, mającego co najmniej trzydzieści centymetrów średnicy, siedem albo osiem centymetrów grubości na rogach i mniej więcej dwa razy tyle pośrodku.

Tam, gdzie umieszczono ciemnoczerwone oko, o rozmiarach dłoni mężczyzny. W tej chwili całkiem ciemne. Ciemne, podczas gdy powinno się jarzyć słabą, rubinową poświatą. Czarne ciemnością śmierci.

A na krawędziach spoiny. Z drugiej strony każdej spoiny wyrasta cienka cylindryczna wypustka, zaopatrzona w przegub na każdym centymetrze długości i spiczasto zakończona - w taki sposób, że kolejne przeguby znajdują się coraz bliżej siebie i są delikatniejsze niż te, które usytuowano bliżej pięcioboku. Giętkie, podobne do metalowych węży i tak wypolerowane, że ukazują zniekształcone wizerunki okrutnych gwiazd i obu zakrzepłych księżyców. Spłątane teraz, tworzące nieruchomy stosik.

Niemal z każdego przegubu, niemal z każdej spoiny sterczy krótki, gruby drewniany pręt - szorstki i rozszczepiony. Całe setki, pod wszystkimi możliwymi do pomyślenia kątami.

A z miejsca, gdzie jakaś strzała przebiła cienki, delikatny metal, wytrysnęła niewielka strużka gęstego, półprzezroczystego płynu. Niektóre strumyczki pociekły po lśniącej powierzchni na piasek, odległy zaledwie o kilka centymetrów.

Jeżeli przesunąć się w dół po wdzięcznej, chociaż poranionej falistości, średnica coraz bardziej kurczy się i zmniejsza. Każda macka dzieli się mniej więcej w odległości metra od krawędzi pięcioboku na pięć cienkich, również zwężających się palców. Zazwyczaj wszystkie pozostają złączone, tak że macka wygląda, jakby kończyła się pojedynczym, łagodnie zaokrąglonym szpicem. Skrywa on niewielki rubinowy, umieszczony u nasady

każdej dłoni optyczny czujnik, który stanowi miniaturową wersję „oka”, usytuowanego pośrodku torsu. W tej chwili palce są powykręcane, ale tylko mechaniczna inteligentna istota mogłaby rozstrzygnąć, czy to wskutek przypadku, czy agonii. Na to jednak trudno byłoby liczyć, ponieważ takie istoty bywają z natury dyskretne i mało mówne i zazwyczaj nie lubią się zwierzać, jak się czuje maszyna, kiedy umiera.

Możliwe, że automaty, podobnie jak ich twórcy, nie mając tym pojęcia i nie dowiedzą się, dopóki same tego nie doświadczą. Zapewne z tego względu nie mogą opowiedzieć o tym innym automatom. Możliwe, że stanowi to dla nich taką samą tajemnicę, jak dla wszystkich innych. Możliwe.

Każdy smukły, wrażliwy palec również został zaopatrzony w przeguby - dokładnie takie same, jakie mają macki -delikatne, nieprawdopodobnie delikatne przeguby. Podobne do tych, jakie potrafi wykonać zegarmistrz, posługując się lupą i uważając, aby najmniejsze drżenie nie przeniknęło jego palców. Kilka centymetrów od nasady dłoni palce dzielą się po raz drugi - coś, czego absolutnie nikt nie jest w stanie zauważyć. Przeguby stają się coraz cieńsze, zbliżają się do siebie, kurczą się i zmniejszają, aż w końcu przestają być rozróżnialne gołym okiem, ale ciągną się aż do samego końca macki.

Te subpalce mają na samych końcach grubość włosa, są cienkie jak druciki... i wytrzymałe jak stop metali. W środku mają równie skomplikowaną i złożoną budowę jak każda inna wewnętrzna część konstrukcji, do której je przyłączono. A mimo to, w przeciwieństwie do pięciobocznego torsu, w przeciwieństwie do giętkich, przegubowo połączonych macek, a nawet w przeciwieństwie do smukłych, giętkich palców, są zbyt małe, aby można było je zobaczyć... i zbyt małe, aby można było je trafić toporną strzałą.

Jeden z nich właśnie się poruszył. Przez chwilę niepewnie się kołysał, zupełnie jakby żył własnym życiem. Sprawdzając, na co go stać, wygiął się i rozprostował. Wyciągnął się odrobinę, a po chwili skurczył. Wygiął się w przeciwną stronę i owinał wokół nasady grubego drewnianego pręta, który wniknął w metalowe ciało powyżej miejsca, gdzie się zaczynał.

Pociągnął.

Rozległo się ciche, ledwo słyszalne mlaśnięcie. Poruszając się nieskończenie powoli, w końcu drzewce strzały się poddało. Wyślizgnęło się z rany, ale wypadając, brzęknęło o umęczony metal. Mający grubość włosa subpalec wyciągnął je do końca i odrzucił. W innych miejscach inne, podobne do drucików wypustki zajmowały się w tej chwili takimi samymi czynnościami. A od wewnątrz, gdzie wgięty do środka metal przypominał niewielkie, ostro zakończone stożki kraterów, niemal mikroskopijne, obdarzone wypustkami drobiny zaczęły, uderzając raz po raz, ciągle, nieustannie - zdawałoby się, że cząsteczka po cząsteczce - wypychać metal na poprzednie miejsce.

- Banthy to kudłate stworki, które nie fruują... Miały skrzydła w piękne wzorki, ale ich nie mają... Hi, hi, hi, hi, hi!

Lando zaniósł się niepohamowanym kaszlem, krtusząc się na myśl o tym, jakim wspaniałym jest poeta. Był rozczarowany. Nigdy nikt go nie usłyszy i nie dowie się, jaki jest mądry. Martwił się tym, chociaż właśnie w tej chwili nie potrafił przypomnieć sobie, dlaczego. Bez względu jednak na to, jaki mógł być ów zapomniany powód, zasmucał go, więc Lando w jednej chwili przestał się śmiać i zapłakał.

Jego palce, wyćwiczone i zręczne wskutek manipulowania kartami, żetonami czy patkami, zasłaniającymi kieszenie innych ludzi, chyba stały się inteligentne i zaczęły same myśleć. Raz po raz chwytaly włókna krępującej nadgarstki i grożącej całkowitym wstrzymaniem krążenia szorstkiej tkaniny, aż wreszcie uporały się z zadaniem, które same sobie wyznały.

- Gubernator Rify Cztery widzi siebie w niebie... mimo iż to tłuste zwierzę przypomina...

źrebię? Ciemię? Ziemię? Ciebie? Ciebie! Przypomina ciebie, staruszk, przypomina ciebie!

Ostatnie włókno, wiążące nadgarstki Calrissiana za pniem pseudodrzewa, w końcu poddało się i zerwało. Lando poczuł coś w rodzaju wstrząsu i natychmiast oprzytomniał. Przez chwilę nie posiadał się ze zdumienia, że znów może poruszać rękami. Ogarnął go niemal wstyd na myśl o tym, że ponownie dłonie stają się ciepłe i znów czuje w nich ukłucia igieł i szpilek.

Vuffi Raa miał problemy poważniejsze niż igły i szpilki. Jego palce, pozbawione prymitywnych strzał, które przebiły je i przyszpiliły do ziemi, mogły w końcu się znów poruszać. Mały robot wiedział, że przez pewien czas przeguby będą odrętwiałe i niezdolne do współpracy - spróbujcie kiedyś przestrzelić jakiś zawias, a wówczas dowiecie się, dlaczego - ale mógł teraz przystąpić do wyciągania drewnianych pocisków z pozostałych części macek.

Wypełniający każdą ranę krzepnący płyn znów zgęstniał - tym razem celowo, a nie na skutek zimna - z pewnością w tym celu, aby chronić delikatne wewnętrzne mechanizmy. Odzyskiwanie płynu, który rozlał się po piasku, należało do przeszłości. Vuffi Raa wiedział, że śladowe ilości cennych substancji, które wniknęły w ten sposób do jego mechanicznego organizmu, nie wystarczą mu na długo. Już wkrótce musi uzupełnić zapas płynu - coś, czemu poddawał się tylko raz w czasie długiego życia - a może nawet po raz pierwszy będzie wymagał smarowania.

Najważniejsze, że żył.

Co więcej, był świadom tego, co się z nim dzieje i co robi -zapewne dzięki rezerwom mocy, które mógł teraz wykorzystać do zasilenia obwodów pamięciowych. Dzięki temu potrafił przejąć kontrolę nad funkcjonowaniem obdarzonych szczątkową inteligencją zaprogramowanych mechanizmów autonaprawczych, dzięki czemu usuwanie drewnianych prętów mogło postępować z prędkością czterokrotnie większą niż do tej pory. Vuffi Raa czuł, że zaczyna mu wracać dobre samopoczucie. Uświadamiał sobie, że to, co potrafi zdziałać dla innych, wyglądających jak on istot, może zrobić także dla siebie.

Zamarznięta pustynia była niemyym świadkiem pojawiania się pierwszego słabego czerwonego blasku, jaki promieniował z umieszczonego pośrodku torsu oka obiektywu. Blask miał o wiele mniejszą intensywność i mniej rzucał się w oczy niż poświata bliźniaczych kiejyców - co oznaczało jeszcze jedną świadomą decyzję, podjętą przez małego androida.

Lando Calrissian zastanawiał się nad jednym z głębokich filozoficznych problemów wszystkich czasów. Mógł poruszać prawą ręką, ale nie wiedział, dlaczego to jest takie ważne. Co właściwie powinien zrobić, mogąc poruszać tą ręką?

To musiało mieć coś wspólnego z zimnem.

No cóż, może to śmieszne, ale wcale nie odczuwał chłodu. Wręcz przeciwnie, było mu dobrze i ciepło. Ciepło, a nawet gorąco. Ciepło rodziło się w przypiekanych stopach, wędrowało w górę nóg i przenikało całą resztę ciała aż do ramion i głowy. Najcieplejszymi częściami ciała były uszy. Praktycznie stały w ogniu.

Ogień!

Hazardzista spojrzał w prawo i w lewo. Widział wszystko jak przez mgłę, tak że rzeczywiście coś mogło się palić. Życiosad, w którym spokojnie siedział, ciesząc się ciepłem i wygodami, sprawiał wrażenie zasnutego podobnymi do dymu mgiełkami. Widocznie ktoś, kto napalił w kominku, zapomniał wyciągnąć szyber. No cóż, za kilka minut musi sam wstać, żeby go wyciągnąć. W takich czasach nie można ufać nikomu, nawet wówczas, gdy chodzi o czynność tak prozaiczną jak...

Ogień!

To coś miało jakiś związek z pistoletem! Co, u licha, mógłby zrobić, gdyby miał do dyspozycji jakiś pistolet? Do niczego nie mógłby strzelić, z nikim walczyć i nawet niczego zjeść - nawet wówczas, gdyby potrafił polować na dzikie zwierzęta, ale nie umiał. A poza tym przecież tamci przyszpiliili jego blaster drewnianymi strzałami. Diabelnie dobrzy strzelcy, ci... ci...

No, dobrze, kim właściwie byli ci świetni strzelcy, strzelający...

Strzelający?

A z czym to mogło mieć coś wspólnego? Przecież miał pilnować, żeby nie zgasił ognia, prawda? No cóż, w takich czasach... Lando uczynił wysiłek, aby usiąść. Na wielkie galaktyczne Jądro -pomyślał. - Zostałem sparaliżowany od pasa w dół! Nie... Po prostu nie uważałem, kiedy wkładałem spodnie i zapinałem pas na tych... na tych...

Nagle odzyskał na chwilę jasność myślenia, sięgnął za szeroką szarfę i wyciągnął podobny do małego pistoletu pięciostrzałowy paralizator, po czym kciukiem zwolnił bezpiecznik i wystrzelił. Szorstki łachman opadł z jego torsu. Czując, że niemal ogarnia go panika, Lando odtoczył się na pewną odległość od pnia życiodrzewa, ale później z prawdziwym trudem zmusił się, aby nie zmarnować pozostałych czterech strzałów na roślinę, która wysysała myśli z jego mózgu.

Kosztowało go to bardzo dużo. Każda kość i każdy mięsień ciała, a także każdy centymetr kwadratowy skóry wysyłał sygnały, informujące o tym, że kona. Najmniejszy ruch sprawiał taki ból, że hazardzista myślał, iż za chwilę rozpadnie się albo rozerwie. Naprawdę zależało mu tylko na tym, by się zdrzemnąć. Naprawdę zależało mu także na tym, by odpocząć. I to było właśnie to. Wiedział, że musi zrobić coś innego, ale najpierw chciał zaznać chociaż trochę odpoczynku.

Najpierw się ogrzać. Może nie od razu zasnąć, ale zamknąć oczy i...

Niemal wrzeszcząc buntowniczo - później nigdy nie potrafił powiedzieć, na co albo dlaczego - odtoczył się jeszcze dalej, a potem, okupując każdy centymetr pokonanej odległości spazmami niewypowiedzianego bólu, zaczął pełznąć i czołgać się po zamarzniętej ziemi. W końcu dotarł do rzuconego na stos ubrania, które Mohs i jego siepacze zdarli z jego ciała. Niemal wskoczył w głąb kurtki, po czym natychmiast nastawił pokrętło termoregulatora na ogrzewanie awaryjne.

I dopiero wówczas naprawdę poczuł, co to znaczy agonია.

Nie bardzo wiedział natomiast, co mógłby zrobić ze spodniami. Zostały rozcięte od mankieta do pachwiny - Lando pamiętał ostry sztylet, zapewne sporządzony z życiokryształu. Rozwiązana przepaska wciąż jeszcze zwisała z jego bioder. Nieporadnie poruszając zgrabiętymi palcami, rozprostował łachman i porozdzierał na paski, a później owiazał nimi w strategicznych miejscach nogawki spodni, w taki sposób, aby podczas chodzenia się nie rozchylały.

Opatulony ciepłą kurtką, zajął się wkładaniem rękawic. Ponieważ paralizator miał na tyle małe rozmiary, że dawał się ukryć w głębi rękawicy, umieścił go we wnętrzu prawej, aby móc strzelić w pośpiechu, jeżeli będzie musiał. Na szczęście niewielka broń nie zdążyła jeszcze ostygnąć po pierwszym strzale, który pozwolił mu się uwolnić.

Nadszedł czas, by pomyśleć o wstaniu. A może powinien najpierw zdjąć kurtkę i włożyć pod spód podkoszulek i tunikę? Nie wątpił, że byłoby to oznaką dobrego gustu, ale jakoś wydawało mu się to teraz mało ważne. Ach, tak! Niemal zapomniał o skarpetach i butach.

Kiedy jednak zaczął oglądać stopy, prawie natychmiast tego pożałował. Pomyślał, że będzie tęsknił za palcami... Regeneracja to zabieg bolesny i czasochłonny. No cóż, gdyby sparafrazować stare, bardzo stare powiedzenie, i tak mógł się cieszyć, że wygrał los na loterii i nie musi regenerować całych stóp. Starając się zachowywać jak największą

ostrożność, wciągnął najpierw skarpety - nie zapomniawszy o wysypaniu z nich wszystkich ziarenek piasku - a następnie buty.

Jak, u diabła, miał teraz wstać? Nie odważy się przecież doczołgać do pnia jednego z tych śmiercionośnych drzew na tyle blisko, by się oprzeć. Ułożył się na boku, podciągnął kolana pod brodę i uczyniwszy heroiczny wysiłek, uklęknął.

Poczuł się tak, jakby ktoś pochwycił jego stopy w szczęki imadła i zacisnął, żeby go unieruchomić. Powiedział sobie jednak, iż powinien cieszyć się tym, że żyje i może odczuwać ból. Jakoś nie bardzo go to pocieszyło. Wobec tego powiedział sobie, że nie stracił rozumu. Może myśleć i nie przemieni się w zaślinioną roślinę.

Z ogromnym wysiłkiem wstał i z jeszcze większym wysiłkiem się odwrócił.

A więc tak wyglądał prawdziwy życiodajny sad. Pomyślał, że niewiele brakowało, a dla niego stałby się sadem śmiercionośnym. Ależ Mohs będzie zdumiony, kiedy powróci wczesnym rankiem i przekona się, że jego ofiara zniknęła, a wraz z nią...

Klucz!

Sięgnął pod szeroką szarfę. Mimo iż miał dłoń ukrytą w grubej rękawicy, nie mógł nie poczuć charakterystycznej wypukłości dziwaczного artefaktu. No cóż, to dopiero wprawi starucha w przerażenie. Lando zachichotał.

Nagle przyszła mu do głowy myśl, że może ktoś go obserwuje. No cóż, niech go obserwują! Lufa paralizatora nie miała takiego otworu, w jaki zaopatrzone lufę blastera. Wyglądała jak krótki metalowy pręt, wskutek czego przypominała bardziej grubą antenę niż cokolwiek innego. Lando żył, czuł, myślał, mógł chodzić -i zamierzał powrócić na pokład „Sokoła”, żeby wypić filiżankę gorącej...

Vuffi Raa!

Wydarzenia tego dnia naprawdę można uznać za coś potwornego! Niemal został zabity, z pewnością porwany, a do tego stracił najlepszego przyjaciela. Nie, nie wstydził się przyznać tego przed samym sobą: mały android był dla niego lepszym i wierniejszym przyjacielem niż ktokolwiek inny w przeszłości. Będzie mu brakowało towarzystwa małego automatu.

W jakim kierunku powinien iść, żeby wrócić do statku? To akurat był bardzo proste. Musi podążać po śladach, które dzięki blaskowi, rzucanemu przez oba księżyce, i suchemu, czystemu powietrzu, były widoczne jak na dłoni.

Postąpił pierwszy krok.

- LANDO CALRISSIAN!

Zanim uświadomił sobie, co robi, ściągnął prawą rękawicę i skierował lufę paralizatora w górę. Nad jego głową unosił się jaskrawo oświetlony blaskiem pozycyjnych światel repulsorowy transportowiec, a strzelający z niego snop światła ukazywał nie tylko hazardzistę, ale także wszystkie życiokryształowe drzewa.

Transportowiec powoli osiadł na miłkim piasku.

- Rzuć broń! - odezwał się znajomy głos, wzmocniony wskutek posłужenia się megafonem.

- I unieś ręce nad głowę!

Lando się nie poruszył.

Nie uczynił żadnego ruchu także wówczas, kiedy z wehikułu wyskoczyło czterech kolonialnych policjantów, odzianych w nowiutkie, połyskujące w blasku reflektorów opancerzone mundury. Ani na chwilę nie przestając mierzyć w pierś z ciężkich blasterów, funkcjonariusze podbiegli do Calrissiana i wyjęli z jego zdrętwiałych palców mały pistolet.

Kapitan Jandler - o ile tak brzmiało jego nazwisko - tym razem uznał, że nie musi opuszczać osłony hełmu. On także wyskoczył z repulsorowego transportowca.

- No cóż, kapitanie Calrissian, znów się spotykamy. Kiedy skończymy zajmować się

tobą, opanujemy twój statek i zwrócimy cały ładunek prawowitym właścicielom. Jeżeli kiedykolwiek przedtem uważałeś, że znalazłeś się w tarapatkach... A tak, przy okazji, chyba masz przy sobie coś, na czym nam zależy. Gdzie to masz?

- Gdzie mam co? - zapytał Lando przez zaciśnięte zęby.

- Przedmiot, wykonany rękami Sharów. Klucz, który wręczył ci gubernator. Gdzie on jest?

- Chodź i sam go weź, łajdaku!

- No, dobra, chłopaki, jeżeli tak, pokażemy mu, kto tu rozkazuje. Przeszukajcie go. Wytrąsajcie z tych łachów i dokładnie przeszukajcie!

ROZDZIAŁ XII

Nagle gdzieś w górze rozległ się huk gromu!

„Sokół Milenium”, skąpany w prześlicznym blasku jutrzeńki, który jeszcze nie zdążył zawitać do życiosadu, z rykiem silników nadleciał nad zdumionych i przerażonych policjantów, a potem znieruchomiał kilkanaście metrów nad ich głowami.

Lando chwycił lufę blastera kapitana Jandlera i szarpnął w bok, po czym kopnął nieszczęsnego oficera. Mężczyzna jęknął i opadł na kolana, a później przewrócił widocznymi pod krawędzią hełmu oczami i wydawszy pełen zdumienia charkot, zarył nosem w piasek. Lando oparł się pokusie kopnięcia go po raz drugi - tym razem w inne, bardziej wrażliwe miejsce.

Dwie rzeczy wydarzyły się niemal równocześnie. Jeden z szeregowych policjantów ponownie wymierzył blaster w tors Calrissiana i położył ukryty w rękawicy palec na przycisku spustowym. W tej samej chwili obróciła się lufa pokładowego działka „Sokoła” i przed funkcjonariuszem pojawiła się ściana ognia i piasku. Mężczyzna rzucił blaster i uniósł ręce nad głowę. To samo uczyniło dwóch innych policjantów, dając tym samym dowód, że nie zamierzają brać udziału w dalszej rozgrywce.

Czwarty nie zamierzał tak łatwo rezygnować. Odwrócił się, by pognać w stronę uzbrojonego w ciężkie laserowe działko repulsorowego transportowca. Zanim jednak miał czas dać trzy kroki, pokładowe działko gwiazdowego statku znów obróciło się wokół osi. Z lufy wyskoczyła następna śmiercionośna błyskawica i poszybowała ku policyjnemu pojazdowi. Opancerzony transportowiec podskoczył w powietrze i opadł w postaci płonącego wraku. Ze szczątków zniszczonej maszyny uniosły się w różowiejące niebo kłęby ciemnego, gryzącego dymu.

Nie spuszczając niespokojnego spojrzenia z Jandlera, Lando ciężko zwałił się na najbliższą stertę piasku. Nie przestawał się zastanawiać nad tym, skąd nagle znalazł w sobie tyle siły i odwagi. I gdzie to wszystko zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Tymczasem „Sokół” majestatycznie osiadł w pobliżu, ale lufa działka nie przestała kierować się ku policjantom. Lando dostrzegł ciężki blaster kapitana, leżący w piasku kilka centymetrów od owiniętego szmatą kolana. Podniósł broń i oparł kolbę na biodrze.

Długa, szeroka rampa frachtowca zaskrzypiała i zaczęła opadać. Kiedy znieruchomiała, w mrocznym otworze u jej szczytu pojawił się jakiś błysk, po którym ukazał się Vuffi Raa, cały i zdrowy. Trochę ześlizgując się, a trochę maszerując, zszedł na piasek, każdym gestem i ruchem metalowego ciała zdradzając, jak bardzo jest zadowolony z siebie. Mimo iż wyglądał trochę gorzej niż wówczas, kiedy poprzedniego wieczora Lando widział go po raz ostatni.

- Mistrzu! - zawołał. - Tak się cieszę, że żyjesz! Obawiałem się, że nie zdążę w porę, ale widzę, iż sam zatroszczyłeś się prawie o wszystko, o co było trzeba.

Hazardzista ułożył rysy twarzy w trochę wymuszony uśmiech, a potem z wdzięcznością przyjął wyciągniętą mackę.

- Ja też się cieszę, żeś przyleciał - zważywszy na to, co by się ze mną stało, gdybyś tego nie uczynił. Ale wyglądasz, jakbyś się dostał pod strumień meteorów! Czy może to najnowsza moda, jeżeli chodzi o wygląd automatów?

Począwszy od obiektywu, a skończywszy na czubkach palców, powierzchnię małego androida pokrywały niewielkie, okrągłe zagłębienia. Tam, gdzie stanowiły część powierzchni przegubów -to znaczy praktycznie wszędzie - utrudniały swobodę ruchów, wskutek czego Vuffi Raa poruszał się trochę sztywno i niepewnie. Kiedy przemówił, w jego głosie dał się słyszeć leciutki ślad zakłopotania.

- No cóż, mistrzu, to prawda. Rany po strzałach goją się dosyć powoli. Ale zanim upłynie kilka dni, będę znów sobą. Widzę jednak, że ty odniosłeś obrażenia, które nie zagoją się tak szybko. Muszę zatem przetransportować cię na pokład statku, gdyż dopiero tam będę mógł udzielić ci odpowiedniej...

- Wolnego!

Krzywiąc się i mruczając, Lando pociągnął za mackę Vuffi Raa, by uklęknąć. Później położył dłoń pośrodku obiektywu i opierając cały ciężar ciała na torsie androida, stanął mniej więcej prosto. Zachwiał się, ale nie upadł - a co najważniejsze, cały czas nie przestawał kierować lufy ciężkiego blastera w stronę małego oddziału kolonialnych funkcjonariuszy.

Tymczasem kapitan Jandler zaczął ruszać się i jęczeć. Obrócił się na bok, ale z jego oczu płynęły łzy, moczące wewnętrzną powierzchnię osłony hełmu. W pewnej chwili mężczyzna pokręcił głową, ale nadal leżał, skurczony we dwoje.

- Udzielisz mi pomocy kiedy indziej, stara temperówko do ołówków. Najpierw zajmijmy się udzieleniem „pomocy” mojemu policyjnemu przyjacielowi. Wygląda na to, że powoli wraca do życia, ale nie wiem, na jak długo.

Lando wręczył blaster androidowi i znaczącym spojrzeniem pokazał mu czterech pozostałych, całych i zdrowych funkcjonariuszy.

- Chyba nie mogę liczyć na to, że kiedy będę zajmował się Jandlerem, ty mógłbyś...

- Trzymać im wszystkich w szachu? - dokończył Vuffi Raa. -Nie, mistrzu. Obawiam się, że nic z tego. Nie mogę grozić istotom żywym, że wyrządzą im jakąś krzywdę. Przepraszam...

- No cóż, nic nie szkodzi. Przecież nie nalegam. Już nie. Tyle że będę musiał sam mieć ich na oku. Ale proszę, zaspokój moją ciekawość. Jakim cudem mogłeś zaledwie przed dziesięcioma minutami...

- Posłużyć się uzbrojeniem „Sokoła Milenium”, by powstrzymać ich przed zaatakowaniem ciebie, mistrzu?

- I bez chwili wahania zniszczyć taki piękny policyjny transportowiec. To miłe, ale czy ci się nie wydaje, że chyba trochę wykroczyłeś poza granice swojego oprogramowania?

Lando podszedł do półprytomnego dowódcy policjantów w stopniu kapitana, po czym trącił niezbyt silnie czubkiem buta tylną część opancerzonego munduru.

- No, dobrze, czas wstawać i do pracy! Musimy wyjaśnić sobie to i owo.

Powłóczęk kończynami, Vuffi Raa podszedł do młodego hazardzisty.

- Mistrzu, przecież mogę mieć zamiast ciebie oko na tych policjantów, ale oni nie muszą wiedzieć, że nie użyję przeciwko nim siły- szepnął, po czym dodał o wiele głośniejszym głosem szerszego grona słuchaczy: - Jeżeli któremukolwiek choćby zadrzy powieka, odetnę mu bez litości nogi na wysokości kolan!

Lando zachichotał.

- Taa, a następnym strzałem przetniesz ciało pod pachami! Tylko upewnij się - dodał

szeptem, zwracając się do małego robota - że nie będziesz bliski nerwowego załamania. - Później rozkazał, tym razem znów bardzo głośno: - No, powiedziałem ci, żebyś wstawał!

Jandler poruszył się, kilka razy jęknął i stęknął, po czym obrócił się na drugi bok i z trudem usiadł. Mrużąc oczy, zdjął hełm i otarł z twarzy krople potu.

- Calrissianie, nie uznajesz określonych reguł walki, prawda? Lando wymierzył lufę skonfiskowanego blastera w nos poprzedniego właściciela tej broni.

- W ogóle nie lubię walczyć. Kiedy muszę, staram się zakończyć walkę tak szybko i gładko, jak możliwe. A teraz powiedz mi, do diabła, O CO W TYM WSZYSTKIM CHODZI?

Jandler, jego podwładni i nawet Vuffi Raa, usłyszawszy ten wybuch gniewu, lekko podskoczyli. Dowódca policjantów zamrugał i zastanawiał się chwilę, ale potem westchnął i pokręcił głową.

- No, dobrze, Calrissianie... Jeżeli wiem, niech mnie piekło pochłonie! W ciągu ostatnich kilku dni otrzymałem więcej zwiariowanych rozkazów niż w czasie całej policyjnej kariery. Najpierw twój hotelowy apartament, później „Odpoczynek Astronauty”, potem kosmoport, a teraz Rafa Pięć. Coś takiego może sprawić, że człowiek zaczyna myśleć o wcześniejszym przejściu na emeryturę - bez względu na to, czy otrzyma pełne wynagrodzenie, czy też nie. A co ty wiesz na ten temat?

Lando kucnął obok Jandlera, ale nie przestał mierzyć do niego z blastera.

- Nie znoszę wygłaszać twoich kwestii, kapitanie, ale to ja zadaję tu pytania. Powiedz mi, dokładnie gdzie - a raczej, od kogo -otrzymujesz te rozkazy, o ile, rzecz jasna, mogę o to pytać.

Jandler rzucił okiem na podwładnych, ale później przeniósł spojrzenie znów na Calrissiana. Przesunął językiem po spierzchniętych wargach.

- A jak myślisz, od kogo? - odparł w końcu. - Od tego tłustego sukin...

- Panie kapitanie! - krzyknął jeden z funkcjonariuszy. - Nie może pan...

- Na entropię, a właśnie, że mogę! Czy naprawdę uważasz, że tego opasłego tchórza chociaż odrobinę obchodzi, co się z nami stanie? Interesuje go tylko ta mała błyskotka Sharów, a jeżeli mielibyśmy wrócić bez niej, potraktuje nas tak, że pożałujemy, iż w ogóle wracaliśmy. No cóż, jeżeli chodzi o mnie...

- Mówisz o tym?

Lando wyciągnął Klucz z zanadru. Przedmiot załśnił, oświetlony pierwszymi promieniami wschodzącego słońca, i, o ile to możliwe, jeszcze szybciej zaczął zmieniać barwy i kształty.

Lando zauważył, że dowódca policjantów zaczyna się zastanawiać, czy udałoby mu się skoczyć i wyrwać Klucz z jego palców. Jandler spojrzał z ukosa na prastarą błyskotkę, potem na wylot lufy blastera, na twarz Landa, na Vuffi Raa i ponownie na artefakt Sharów. W końcu wzruszył ramionami.

- Niech sam po niego przylatuje! - postanowił w końcu. - Kapitanie Calrissian, czy istnieje jakiś sposób, żebym ja i moi ludzie wyszli z tego wszystkiego żywi? Tym razem nie będę opowiadał panu żadnych bzdur o „wykonywaniu rozkazów”... tyle że... no cóż, nieszczególnie pociąga mnie myśl o umieraniu, a szczególnie w tej chwili. Zwłaszcza, że właśnie podjąłem decyzję o zakosztowaniu rozkoszy cywilnego życia.

Lando odwrócił się i porozumiewawczo mrugnął do Vuffi Raa, po czym znów popatrzył na Jandlera.

- No cóż, stary policaju, twoi ludzie są dla mnie naprawdę trudnym orzechem do zgryzienia. Muszę przyznać, że decyzja, jaką właśnie podjąłeś, robi na mnie wrażenie, ale nie na tyle duże, abym mógł spokojnie spać wiedząc, iż możecie mnie ścigać po całej Piątce. Wygląda na to, że najprostszym rozwiązaniem byłoby danie ci potężnego

kopniaka i wysłanie na tamten świat...

Uniósł rękę, nie pozwalając, żeby Jandler mu przeszkodził.

- ...Musisz jednak uwierzyć mi na słowo, że z prawdziwą niechęcią uciekłbym się do takiego rozwiązania. Jak wiesz, z zawodu jestem hazardzistą, a nie zabójcą czy mordercą. Żyję, posługując się rozumem, a nie blasterem - aczkolwiek przyznaję, że czasami też lubię sobie postrzelać. A zatem, jeżeli uda się nam wymyślić jakiś sposób i załatwić nasze sprawy tak, aby wszyscy byli zadowoleni, z pewnością nie będę stawiał żadnych przeszkód.

Jandler wyszczerzył zęby w uśmiechu i podrapał się po głowie. Stojący kilkanaście metrów dalej podwładni również wyraźnie się odprężyli.

- Niech pan posłucha, kapitanie Jandler - zaczął Lando. - Wydaje mi się, że najlepiej byłoby, gdybyśmy...

Pomysł okazał się lepszy, niż wszystkim z początku się wydawało.

Na pokładzie „Sokoła” znaleźli kilka wytrzymałych, nadmuchiwanych kapsuł ratunkowych, które w razie niebezpieczeństwa - po zaopatrzeniu w niezbędne zapasy powietrza, wody i żywności - wystrzeliwano w przestworza. Człowiek mógł przeżyć w środku nawet przez kilka dni, nie cierpiąc zbyt z powodu ciasnoty. Kapsuły nie przydawały się na wiele, jeżeli wypadek wydarzył się w przestworzach, ale tu, w obrębie słonecznego systemu - gdzie i tak dochodziło do większości kolizji i awarii - pozwalały przeżyć do czasu pojawienia się ekipy ratunkowej, wezwanej przez automatycznie włączany nadajnik sygnału namiarowego.

Pierwszy plan, jaki opracował Lando, przewidywał odciążenie kapsuły z grupą funkcjonariuszy na odległość kilku jednostek astronomicznych i porzuceniu w przestworzach. Powinno to zdjąć kłopot z głów Landa i Vuffi Raa (rzecz jasna, mówiąc w przenośni), a zarazem umożliwić zainteresowanym przeżycie do czasu, aż będą mogli opowiedzieć wnukom i prawnukom, że wszystko dobrze się skończyło.

Vuffi Raa wymyślił jednak inne rozwiązanie, dzięki któremu cała historia zakończyła się jeszcze lepiej.

- No cóż, mistrzu - oznajmił. - Przypuszczam, że to j rozwiązuje nasz problem. Ci panowie mogą teraz wchodzić na pokład.

Powiedziawszy to, otworzył luk, umieszczony w burcie potężnej międzyplanetarnej barki - wielkiej, mrocznej i zardzewiałej, którą funkcjonariusze policji przylecieli na Rafę Pięć. To właśnie odkrycie tego prymitywnego statku pozwoliło mu tak szybko znaleźć miejsce pobytu Calrissiana.

Lando przełożył blaster do lewej dłoni i wyciągnął prawą do dowódcy policjantów.

- Przypuszczam, stary glino, że teraz powiemy sobie „do widzenia”. Mam nadzieję, że tobie i pozostałym spodoba się ta miła, krótka eskapada.

W odpowiedzi Jandler wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jasne, to lepsze niż laserowa błyskawica w oku, wystrzelona z lufy gorącego blastera. Kapitanie Calrissian...

- Mów mi Lando. Wygląda na to, że nikt inny tak się do mnie nie zwraca.

- Dobrze, Lando. A kiedy wrócimy do domu, chyba żaden z nas nie będzie się spieszył ze składaniem raportu, prawda, chłopaki?

W jego głosie zabrzmiała lekka groźba. Pozostali policjanci natychmiast okazali wielkie zdumienie, zdające się mówić: „Co? Kto, ja, szefie? Ależ skądże!” Lando wierzył, że Jandlerowi uda się utrzymać ich w ryzach. Tym bardziej że i tak nie miało to znaczenia. Plan był doskonały.

Funkcjonariusze, głośno tupiąc buciorami, weszli na pokład. Lando pomachał im, a potem przyglądał się, jak Vuffi Raa spawa kłapę wjazdu do kadłuba.

- Trzydzieści sekund, mistrzu.

- W porządku. Usuńmy się z drogi.

Powoli, łagodnie, z nieprawdopodobnym wdziękiem, niezgrabna gwiezdna balia oderwała się od piasku, kierowana programem, który Vuffi Raa zapisał w mikroskopijnej pamięci pokładowego komputera. Lando zauważył szerniały, stopiony koniec telekomunikacyjnej anteny — jednej z czterech, zniszczonych przez małego androida. Oznaczało to, że w czasie podróży pasażerowie barki nie będą mogli porozumiewać się z pozostałymi planetami systemu Rify. Podróż do jedenastej planety, ostatniej i najpóźniej skolonizowanej, będącej właściwie krążącą w ciemnościach błotną kulą, powinna zająć im jakiś tydzień. Na Jedenastce zbudowano spore laboratorium badawcze; istniała tam także całkiem duża rafineria helu.

- Nie zapomniłeś o pochodniach, prawda?

- Mistrzu, przestań. I bez tego stoczyłem walkę sam z sobą. Nie rozdrapuj ran na moim sumieniu.

- Och, przepraszam. Ale pragnę ci przypomnieć, że uszkodzenie mechanizmów sterujących to był twój pomysł. Gliniarze nie mogą zmienić zaprogramowanego kursu ani porozumieć się z nikim, dopóki nie znajdą się na tyle blisko, że ktoś dojrzy, jak sygnalizują latarkami przez iluminatory. Czy wniosłeś na pokład skrzynkę oseońskiej brandy?

- Tak, mistrzu. Podobnie jak te... te...

- Holokasety? Rzecz absolutnie niezbędna, stara maszyna do wyrzucania gumowych piłek. Okolice, w które się zapuszczają, uchodzą za wyjątkowo mało ciekawe.

Ujrawszy, że barka przebija się przez warstwy rzadkich pierzastych chmur i znika, pozdrowił ją ostatnim salutem.

Widząc to, Vuffi Raa nie odezwał się ani słowem. Prawdę mówiąc, był ze swojego pana bardzo dumny - za to, że oszczędził życie innych ludzi, a szczególnie, że rozstał się z nimi jak z dobrymi przyjaciółmi. Możliwe, że ludzie - a przynajmniej ten osobnik - nie są w końcu takimi złymi istotami.

- No dobrze - odezwał się w końcu Lando, przerywając zamyślenie małego androida. - Ruszajmy w drogę. Musimy odnaleźć Toków. Zabiję tego starego sępa Mohsa, choćby to miała być ostatnia czynność w moim życiu!

Pierwszą rzeczą, jaką zajęli się po wysłaniu w podróż grupy policjantów, było opatrzenie ran, odniesionych przez Calrissiana. Odmrożenia, których nabawił się co niemiara podczas nocnej przygody, trudne do leczenia, w pewnych okolicznościach mogły być nie mniej groźne niż postrzały z blastera. Co więcej, nawet przy użyciu wszystkich cudów nowoczesnej medycyny, mogły w ciągu zaledwie kilku godzin doprowadzić do wdania się gangreny.

Niestety, na pokładzie „Sokoła Milenium” brakowało wszystkich cudów nowoczesnej medycyny. Vuffi Raa odkrył w jednej z szafek przenośny pojemnik z kojącym żelam - miniaturową wersję wielkich, stacjonarnych urządzeń, przeznaczonych do gojenia ran całego ciała. Doszedł do wniosku, że mając do opatrzenia tylko rany stóp Calrissiana, niczego innego nie potrzebuje. Otworzył pojemnik w świetlicy i zanurkował z nim pod przeznaczony do gier losowych mały stolik, na którym Lando rozpracowywał właśnie jakiś problem, związany z grą na szachownicy Moebiusa.

A przynajmniej wszystko wskazywało na to, że go rozpracowuje.

- Niech to licha, Vuffi Raa, dokąd byś się udał na tej planecie, gdybyś był prymitywnym dzikusem, ściganym przez rozwścieczonego mieszkańca cywilizowanego świata?

- Trudno mi powiedzieć, mistrzu. Niemożliwe do ogarnięcia meandry organicznego umysłu...

- Nonsens, stary androidzie. Twój umysł jest w takim samym stopniu organiczny jak

każdy...

- Proszę cię, mistrzu. Nie uczyniłem nic, aby zasłużywać na takie zniewagi. Jeżeli naprawdę chcesz, zastanowię się nad problemem, który właśnie mi przedstawiłeś. - Chwila ciszy, a potem: - Jak ci się wydaje, mistrzu, dlaczego kazał nam posadzić „Sokoła” w pobliżu tej gigantycznej piramidy?

Lando zrezygnował z dalszej gry, wduślił przycisk z napisem WYŁĄCZANIE i przez chwilę przyglądał się, jak dziwaczna, podobna do serpentyny holograficzna szachownica kurczy się i znika znad blatu stołu.

- Prawdę mówiąc, sam się nad tym zastanawiałem. To największa budowla na planecie - możliwe nawet, że w całym systemie, co czyni ją - jestem pewien - największym gmachem w całej galaktyce. Z drugiej strony, Sharowie - dopiero oni byli obdarzeni naprawdę nieprzeniknionymi umysłami - Sharowie mogli wykorzystywać ją do przechowywania ziemniaków.

- Albo Myśloharfy.

- To prawda, chociaż zaryzykowałbym stwierdzenie, że gdyby owa Harfa była po prostu urządzeniem, nakazującym Tokom przybieganie i podawanie swoim panom fajek i rannych pantofli, nie wymagałaby tak dostojnego futerału. W każdym razie jedna rzecz jest pewna. To właśnie obok niej ten łajdak Mohs umówił się ze swoimi dzikusami. A zatem...

- A zatem - podjął Vuffi Raa - może to być doskonale miejsce do urządzenia na nas jeszcze jednej zasadzki. Proszę cię, nie ruszaj się teraz, mistrzu, ponieważ chciałbym zabandażować twoje uszy.

- Zostaw moje uszy w spokoju, ty mechaniczny dziwolągu. Dotychczas nie działo się z nimi nic złego.

- Mistrzu, proszę! Zostałem specjalnie zaprogramowany...

- Dobrze, już dobrze. Tylko później upewnij się, czy twoje macki są wystarczająco giętkie, żebyś nie miał kłopotów z pilotowaniem. Lecimy znów do tej piramidy. Tym razem wezmę jednak aż dwa ciężkie blastery... i parasol, by do lufy nie wpadły żadne strzały.

Okazało się, że wcale nie musieli szukać Mohsa. Kiedy „Sokół Milenium” wylądował obok piramidy, starzec siedział na wierzchołku wydmy i wędził jaszczurkę.

ROZDZIAŁ XIII

- Po dwakroć zwątpiłem w ciebie, o wielki lordzie, zaiste, a ty również po dwakroć wykazywałeś mi, że zbłądziłem! Zabij teraz karykaturę swojego sługi, ażebym już nie mógł ani razu popaść w twoją niełaszkę!

Ognisko, podsycane gałązkami i liśćmi, płonęło w niewielkim dołku, wygrzebanym we wszechobecnym czerwonym piasku, który pokrywał chyba całą powierzchnię Rafy Pięć. Miało tak małe rozmiary, że zapewne dałoby się je nakryć filiżanką od herbaty. Mimo iż Lando skrzyżował nogi i siedział niespełna pół metra od niego, nie czuł ani odrobiny ciepła. Raz po raz uchylał się przed wstęgami cuchnącego dymu, unoszącego się z gałęzi, na której stary Mohs nadział jak na rożen małego, odrażającego gada.

Hazardzista doszedł do wniosku, że nie zazdrości nikomu tak paskudnej śmierci. Nawet jaszczurce. Zwłaszcza iż miał niejake podstawy ku temu, aby przypuszczać, że już wkrótce stanie się ona jeszcze paskudniejszym śniadaniem.

- Posłuchaj, Mohsie, przypomnij mi kiedyś o tym, co przed chwilą powiedziałeś, kiedy nie będę taki zmęczony. Możliwe, że wówczas sprawię ci niespodziankę i skorzystam z twojej propozycji. A tymczasem, czy w dalszym ciągu chcesz posłuchać się tym Kluczem?

- Ależ z całą oczywistością, lordzie! Nazbyt długo mój lud, nieszczęśni Tokowie, cierpieli i jęczeli, uciskani przez tych tyranów...

- Zachowaj siły, Śpiewaku, na zebranie związku zawodowego. W tej chwili chcę wiedzieć tylko to, gdzie mam umieścić ten przedmiot. Jeżeli w wyniku tego ktoś - na przykład twoi ludzie - skorzystają, a ktoś inny straci... no cóż, zapewniam cię, że to nie mój płat farby, który odpadł od kadłuba.

Jak widać, świeżo upieczony kapitan gwiazdnego statku z prawdziwą radością wykorzystywał każdą okazję, by używać słów i zwrotów, składających się na żargon, jakim - w jego mniemaniu - posługiwali się doświadczeni astronauty. Teraz, kiedy zjadł coś gorącego i wypił całe morze czarnej, niemal wrzącej kofeiny, a także włożył czyste, nie podarte ubranie, czuł się rześko i młodo. I to mimo okropnych chwil, jakie przeżył ostatniej nocy w życiosadzie.

- Nie wypuściłbym czkawki ze śluzu, nawet wówczas, gdyby najbardziej skorzystał na tym Gepta - ciągnął, bardzo zadowolony z siebie. - Pod warunkiem, że później opuszczę ten zwariowany system, mając pełne ładownie i głowę na karku... zwróć uwagę, że niekoniecznie w takiej kolejności.

Mohs podskoczył lekko, kiedy usłyszał nazwisko czarownika. Potem zakółsał się, ale nie zapomniał o załamywaniu kościstych górnych kończyn.

- O lordzie, twój pokorny sługa doskonale wie, że mówisz owe wszystkie jakże cyniczne słowa li tylko dlatego, ażeby wypróbować jego wiarę, hart ducha i inne przymioty...

- Które są tak znikome, że aż niegodnie wzmianki - wpadł mu w słowo Lando.

- ...które są tak znikome, że aż niegodnie wzmianki, jako sam uznałeś za słuszne przypomnieć mi, lordzie. A mimo to, azaliż nie zechciałbyś nie wypowiadać takich potwornych, bluźnierczych, nikczemnych i niegodziwych bezeceństw w przytomności twojego pokornego sługi? To przysparza mi o dreszcze.

- Och, doprawdy?

Lando obejrzał się przez ramię. Był absolutnie pewien, że przynajmniej połowę „dreszczy”, jakie mógł odczuwać prastary Śpiewak Toków, wywoływała złowieszczą sylwetka „Sokoła Milenium”, stojącego na piasku w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów i kierującego lufy działek w taki sposób, by uniemożliwić ponowne zastawienie jeszcze jednej, podobnej do poprzedniej pułapki. Kapitan zmodyfikowanego frachtowca miał w wewnętrznej kieszeni kurtki niewielki przekaźnik impulsów, umożliwiający nieustanne kierowanie luf pokładowych działek „Sokoła” ku wszystkiemu, co poruszało się i znajdowało w bliskiej odległości. Rzecz jasna, coś takiego stanowiło niezbędny środek ostrożności, ponieważ przebywający na pokładzie statku Vuffi Raa nie trzymał palca na przycisku spustowym.

Nie pozwalało mu na to oprogramowanie.

Lando już dawno przestał się oburzać na tę cechę małego androida i po prostu uwzględniał ją we wszystkich planach, które zdarzało mu się układać. W prawej zewnętrznej kieszeni kurtki ukrył inne urządzenie, za pomocą którego sterował każdą bronią, jaką dysponował „Sokół Milenium”. Gdyby coś poszło nie po myśli Calrissiana, Vuffi Raa mógł w tym czasie zajmować się unoszeniem rampy w chwili, kiedy znajdzie się na niej wbiegający hazardzista. Na szczęście etyka, jaką wpoiono małemu robotowi, nie zabraniała mu ratowania czyjegokolwiek życia. Prawdę mówiąc, pod tym względem Vuffi Raa okazywał się w przeszłości całkiem użyteczny.

Ale do rzeczy.

- No dobrze, stary teologu, zmieńmy temat. Jakim cudem dowiedziałeś się tego ranka, że przeżyłem, i dlaczego czekałeś na nas właśnie tutaj? Chyba musiałeś wiedzieć, że po wydarzeniach ubiegłego wieczora, widok tego miejsca obudzi we mnie przykre

wspomnienia.

Lando pragnął odejść od ogniska. Najlepiej na odległość tysiąca metrów. Nadziana na patyk jaszczurka, obecnie znajdująca się w stanie, będącym czymś pośrednim między bąblami, znamionującymi oparzenia drugiego stopnia, a zwęgleniem ciała, charakteryzującym trzecie, wydzielala coraz intensywniejszą woń, podobną do... do... No cóż, niedawno, kiedy topił przyczepione do kadłuba gwiazdnego statku stworzenia za pomocą strumienia przegrzanej pary, czuł bardziej apetyczne wonie. Mimo to widok ognia podnosił go na duchu. Nie czuł się taki odprężony ani razu od chwili, kiedy postawił stopę na powierzchni tej parszywej sterty piachu.

Stary Śpiewak otworzył usta.

- Lordzie...

- MISTRZU, ZA TĄ WYDMĄ, KTÓRA ZNAJDUJE SIĘ ZA TWOIMI PLECAMI, PORUSZAJĄ SIĘ JAKIEŚ ISTOTY LUDZKIE.

Tym razem Mohs podskoczył przynajmniej na wysokość metra. Cichy głos małego androida został wzmocniony przez nastawioną na pełną moc aparaturę akustyczną frachtowca i przekazany za pomocą umieszczonych na zewnątrz kadłuba „Sokoła Milenium” gigantycznych megafonów.

- Dzięki, stary trybie zębaty.

Lando wypowiedział te słowa bez podnoszenia głosu. Dobrze wiedział, że czujniki frachtowca wychwycą najcichszy szept. Podobną czułością cechowały się czujniki Vuffi Raa. Zachichotał, obserwując, jak stary szaman usiłuje odzyskać chociaż część godności.

- WYGLĄDA NA TO, MISTRZU, ŻE TRZYMAJĄ TAKIE SAME KUSZE, JAK POPRZEDNIO.

- Mohsie - odezwał się surowo hazardzista. - Mam zamiar dać ci dokładnie trzydzieści sekund na odprawienie swoich ziomków. Jeżeli po upływie tego czasu jeszcze tutaj będą, zamienisz się miejscami z tym biednym stworzeniem, które właśnie w tej chwili opiekasz nad płomieniami. Prawdę mówiąc, powinienem oddać się w łapy tych z Towarzystwa Opieki Nad Zwierzętami - a przynajmniej zapisać do klubu epikurejczyków.

Naczelny Śpiewak powoli wstał, niemiłosiernie wyginając wszystkie członki ciała. Wykrzyczał kilka zwrotek jakiejś mało melodyjnej pieśni - Lando pomyślał, że utwór zapewne nosi nazwę Pieśni Strategicznego Odwrotu - a potem znów usiadł, obrócił jaszczurkę nad ogniskiem i skierował spojrzenie na Calrissiana.

- Powiedziałem im, żeby odeszli, lordzie - oznajmił cicho. - Przybyli li tylko po to, by cię chronić. A teraz pozwól, że twój wierny sługa poświęci kilka chwil na to, żeby trochę się posilić i zatroszczyć o potrzeby swojego ciała. Później udamy się do miejsca, które jest mi dobrze znane... gdzie będziemy mogli posłużyć się Kluczem.

Powiedziawszy to, chwycił jaszczurkę za łebek, zdarł z niej skórę i ściągnął z patyka.

- Wielkie nieba! - krzyknął Lando, przełykając ślinę, żeby zmusić do posłuszeństwa górne części własnego systemu trawiennego. - Ty naprawdę zamierzasz jeść to paskudztwo? Piętnaście minut później wszyscy stali u stóp wielkiej piramidy. Mimo iż ściana, pod którą się znajdowali, nieznacznie odchyłała się od pionu, wydawało się im, że piętrzy się nad ich głowami na podobieństwo fantastycznego, nieskończenie wysokiego urwiska, które w każdej sekundzie może runąć i pogrzebać ich pod szczątkami.

Towarzyszył im Vuffi Raa, który po zejściu z pokładu frachtowca uniósł rampę i zabezpieczył statek przed dostaniem się nieproszonych gości. W tym czasie Śpiewak Toków uważnie oglądał idealnie gładką karmazynową ścianę, chyba szukając w niej czegoś znajomego. W końcu przystanął, wyciągnął rękę w dół i pokazał na podstawę ściany.

- Tutaj - oznajmił stanowczo. - Mniej więcej metr pod powierzchnią gruntu, lordzie.

Potem cofnął się o krok i zaplótł kościste ręce na torsie. Zirytowany Lando przewrócił

oczami.

- Nie patrz tak na mnie! - powiedział. - Ja jestem Posiadaczem. T y jesteś peonem. Przynieść ci łopatę, czy odprawisz tę ceremonię, posługując się własnymi rękami?

Stary Tok sprawiał wrażenie zdezorientowanego i przerażonego. - Ja, lordzie? Jestem przecież Śpiewakiem...

- Chwileczkę, dżentelstoty - wtrącił się pięcioramienny automat. — Mogę to zrobić, zanim skończycie się kłócić.

Puścił w ruch macki, które zaczęły poruszać się tak szybko, że zlały się w jedną, rozmazaną plamę. Przypominały błyszczącą tarczę piły, osadzoną na osi, która jarzyła się rubinowym blaskiem. Za plecami Vuffi Raa utworzyła się absurdalna, sucha fontanna piasku. Jak obiecał android, wszystko trwało zaledwie kilkanaście sekund.

- Escargot i entropia! - zaklął Lando, kiedy ujrzał, co takiego odkopał android. Zdumiony Mohs milcząc, upadł na kolana i zaczął cicho ni to mruczeć, ni to skomleć.

Coś takiego nie mogło być możliwe. Można ułożyć dłoni na czymś płaskim, obrysować ją i wyciąć obrys, a później pociągnąć ku sobie i unieść wycięty wizerunek dłoni na wysokość, powiedzmy, dwóch centymetrów. Można uczynić coś takiego i to bez trudu.

Ale spróbujcie postąpić w taki sam sposób z ubijaczem do białek. Ludzka ręka jest - rzecz jasna, w przybliżeniu - przedmiotem dwuwymiarowym. Tymczasem czegoś innego, co musi być uznane za przedmiot trójwymiarowy, nie można przedstawić w taki sam sposób bez utraty najważniejszej cechy - właśnie trójwymiarowości. Chyba że owym przedmiotem jest wykonany rękami Sharów artefakt, a istotami, które sporządziły tę płaskorzeźbę, są ci sami Sharowie.

Na pierwszy rzut oka ściana piramidy wyglądała na przezroczystą - a wtopiony w nią wizerunek Klucza był widoczny, mimo iż ukryty pod powierzchnią muru. Ale nie to było najdziwniejsze. W pewnym sensie było widać sam Klucz, tyle że odwrócony na drugą stronę, jakby ktoś oglądał go w zwierciadle. Przedmiot sprawiał wrażenie przyklejonego do ściany piramidy - ale jego „wizerunek” (albo czymkolwiek innym było to, co ukazało się ich oczom) ani nie wystawał z powierzchni, ani nie był w nią wtopiony. Całość sprawiała równie dziwaczne, niesamowite i nieprawdopodobne wrażenie, jak sam Klucz - tylko w jeszcze większym stopniu.

I w taki sam sposób przyprawiała widza o atak oczopląsu.

Lando cofnął się o krok i zamrugał, a potem, usiłując odzyskać ostrość spojrzenia, potrząsnął głową.

- No, dobra, Mohsie - powiedział. - Przypuszczam, że teraz powiesz nam wszystko, co wiesz... co mają do powiedzenia na ten temat twoje Pieśni, o ile cokolwiek mają. Zdradź nam, na co spoglądamy i co się stanie, jeżeli posłużymy się tym Kluczem.

Starzec zaczął mruczeć coś pod nosem - początkowo jakby starał się przypomnieć sobie odpowiedni utwór, potem zaś jak gdyby musiał tylko odnaleźć właściwą strofę, aby móc spełnić prośbę Calrissiana.

- To Wielki Zamek, lordzie - zaczął w końcu. — Od nieskończenia wielu pokoleń żaden Tok - prawdziwie, ani żaden intruz, przybłęda ani obcy przybysz z gwiazd - nie mógł wniknąć do wnętrza chociażby najmniejszej spośród wielu świątyń, które Oni pozostawili, kiedy je opuszczali.

- Wspaniale - mruknął hazardzista. - Ale to już wiemy.

- Ach, tak, lordzie, ale zaiste wszystko jest tak, jak mówiono. Wnijdziemy tam, ale nie ruszymy się z miejsca. Będziemy tam śnili, aczkolwiek nie zaśniemy, i nauczymy się, mimo iż nie będziemy się uczyli. I we właściwym czasie, kiedy Oni zechcą, odnajdziemy ukrytą Harfę Myśli. A uwalniając Harfę, uwolnimy...

- Dobrze, już dobrze - przerwał mu Calrissian. - Pozwól, że chwilę się nad tym

zastanowię.

Na próbę kopnął ścianę piramidy tuż nad miejscem, w którym wylaniała się z czerwonego piasku. Nie usłyszał żadnego dźwięku ani nie poczuł, by jego stopa z czymkolwiek się zetknęła. Tak jakby kopnął wodę albo stertę bardzo miękkiego piasku.

- Vuffi Raa?

- Słucham, mistrzu?

- Nie nazywaj mnie mistrzem. Co ty sądzisz na temat tych obcych przybyszów i intruzów?

Wyjął Klucz, przez chwilę obracał w palcach, po czym wsunął z powrotem do kieszeni.

- Wydaje mi się, mistrzu, że już dawno powinienem był poddać się smarowaniu - odrzekł wymijająco android. - A poza tym, chciałbym wrócić do domu i...

- Myślałem, że wszystkie twoje mechanizmy, które wymagają smarowania, są absolutnie szczelne i hermetycznie zamknięte.

Czyżby w pojedynczym oku androida ukazały się pełne zakłopotania błyski?

- To prawda, mistrzu, ale przecież zostałem w wielu miejscach przedziurawiony i straciłem wiele... och, jeżeli chcesz znać moje zdanie, nie widzę innej możliwości niż ta którą proponuje Mohs, mimo iż bardzo chciałbym, aby jakaś istniała. To znaczy, że należy posłużyć się Kluczem...

Lando wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jeżeli chcesz znać całą prawdę, Vuffi Raa, mnie także nie bardzo się podoba to całe „wchodzenie bez wchodzenia, śnienie bez zasypiania” i tak dalej. Posłuchaj, Mohsie. Powiedz nam wszystko, co jeszcze masz powiedzieć - ale tak, żebyśmy zrozumieli.

Po raz pierwszy hazardzista odniósł wrażenie, że staruszek czuje się na Rafie Pięć niepewnie. Dostał nagle gęsiej skórki i drżał - może z zimna, a może z innego powodu.

- To wszystko, co zostało oznajmione Tokom, lordzie - zaczął. - To wszystko, co objawiają Pieśni. Twój pokorny i posłuszny sługa wyznaje, na swój nędzny sposób, że gdyby znalazł się na twoim miejscu, zdecydowałby się odlecieć stąd, nie posłużywszy się Kluczem. Wszystkie owe niezliczone pokolenia, czekające... czekające... Dlaczegoż właśnie ja, lordzie? Dlaczegoż musiało to się przydarzyć za mojego życia?

- Gratulacje, Mohsie, przed chwilą dołączyłeś do grona wybitnych osobistości. To właśnie jest to, czego o n i pragnęli się dowiedzieć, a w dodatku wypowiedziane mniej więcej takim samym, żalonym, rozpaczliwym tonem.

Lando ponownie wyjął Klucz i patrzył na niego ponuro.

- No cóż, nie ma to jak teraźniejszość. Miej oczy szeroko otwarte, Vuffi Raa. Mohsie, co mówią twoje Pieśni na temat posłużenia się tą zabawką?

Uczył wysiłek, żeby się nie wzdygnąć. Starzec odpowiedział niezwykle wymownym wzruszeniem kościstymi ramionami.

- To właśnie w tobie najbardziej lubię - rzekł Calrissian. - Spieszysz z pomocą, kiedy jej szczególnie potrzebuję. Oto dzieje się nic!

Stało się dokładnie, jak powiedział. Lando przyłożył Klucz do wizerunku w ścianie w taki sposób i pod takim kątem, który wydawał mu się najodpowiedniejszy i najlogiczniejszy. Odniosł jednak wrażenie, że jego trud przypomina umieszczanie modelu statku we wnętrzu butelki - a przynajmniej tak mu się wydawało w pierwszej chwili. Później - w taki sposób, że nawet tego nie zauważył - Klucz znalazł się we wnętrzu Zamka.

Słońce świeciło. Wiał wiatr. Piasek zalegał u podstawy piramidy.

Lando popatrzył na Mohsa, który chyba jeszcze nie skończył wzruszać ramionami. Kiedy ramiona starca wreszcie opadły, hazardzista spojrzał na Vuffi Raa. Mały android odwzajemnił jego spojrzenie. Później robot i prastary szaman wymienili spojrzenia. A potem obaj przenieśli je na Calrissiana.

- Wygląda mi to na kompletną klapę. No cóż, Mohsie, wydaje mi się, że już jadłeś śniadanie, ale jeżeli chodzi o mnie, chętnie bym coś przekąsił. Co powiedziałbyś na to, żebyśmy podreptali do statku i... Vuffi Ra?

Nie przestając zwracać się do starca, zauważył, że z małym robotem stało się coś dziwnego. Vuffi Ra zniknął.

- Mohsie, widziałeś to? Mohsie?

W tej samej chwili, kiedy Lando odwrócił głowę i stracił Śpiewaka z pola widzenia, Mohs także zniknął, tak samo jak android - bez jakiegokolwiek dźwięku ani ruchu.

Słońce świeciło. Wiał wiatr. Piasek zalegał u podstawy piramidy.

ROZDZIAŁ XIV

Lando Calrissian nie należał do młodych ludzi robiących często użytek z fizycznej siły. Wiedział, że jego utrzymanie i dobrobyt zależą od sprytu i opanowania, a także umiejętności zręcznego manipulowania wrażliwymi przedmiotami i oceniania charakterów ludzi.

Mimo to wyciągnął rękę, zacisnął palce w pięść i huknął nią w ścianę piramidy.

I aż skulił się ze zdumienia.

Poprzednie zetknięcie się ze ścianą budowli przypominało wystawianie głowy na podmuchy silnego wiatru - było czymś trudnym do opisania, ale niewątpliwie realnym. Teraz jednak to, co mu się przydarzyło, zakrawało na fantazję.

Jego dłoń przeszła przez ścianę i nie napotykając żadnego oporu, zniknęła, jakby cała budowla była jednym gigantycznym hologramem. Lando cofnął rękę, po czym uniósł do oczu i obejrzał. Na próbę rozprostował i zacisnął palce. Przyjrzał się ścianie, ale jej nie dotykał. Materiał, z którego ją wykonano, sprawiał wrażenie jednolitego i gładkiego, a także odpornego na działanie czynników atmosferycznych i czasu. Nie dawał się rysować ani odłupywać. Mimo to na jego powierzchni widniała bardzo cienka warstewka kurzu, a może jakiegoś smaru czy oleju, która pokrywała także chyba wszystkie inne przedmioty na planecie. Lando wyraźnie widział pojedynczy cienki włos - z pewnością nie należący ani do niego, ani do Mohsa; zapewne pozostawiony przez jakieś zwierzę albo przyniesiony z wiatrem który przykleił się i pozostał.

Ponownie wyciągnął rękę i zagłębił w rzekomo nieprzenikliwej ścianie - i dłoń zniknęła, jakby ucięta na wysokości nadgarstka. Lando postąpił krok do przodu, ale kiedy przekonał się, że w taki sam sposób zniknęło całe przedramię aż do łokcia, wzdygnął się i cofnął. Okazało się jednak, że podobnie jak poprzednio, jego ręce nie stała się żadna krzywda. Lando Calrissian był osobą roztropną i ostrożną. Możliwe, że ktoś inny natychmiast puściłby się na poszukiwania Vuffi Ra i Mohsa, gdyż wszystko przemawiało za tym, że i oni zniknęli we wnętrzu piramidy. Ale jakież los mógł ich tam spotkać? Gdyby twój najlepszy przyjaciel nagle zniknął ci z oczu, a ty podejrzewałbyś, że wpadł przez drzwi zapadowe do piwnicy, czy natychmiast skoczyłbyś tam za nim, nie upewniwszy się, czy z podłogi nie wystaje las stalowych szpikulców?

Lando jeszcze raz zagłębił rękę w ścianie, ale przekonał się, że i tym razem nie napotkał żadnego oporu, tak jakby ściana w ogóle nie istniała - oczywiście, jeżeli nie liczyć wrażeń, jakie odbierał jego zmysł wzroku. Zamknął oczy i zaczął przemieszczać rękę w prawo i w lewo. Na zewnątrz piramidy nie czuło się na tyle silnych podmuchów wiatru, aby mógł ocenić, czy ściana wywierała jakiś wpływ na ruchy powietrza. W każdym razie nie wpływała na temperaturę. Lando mógł poruszać palcami, a także zaciskać je w pięść i rozwierać. Na próbę nimi pstryknął. Poczuł, jak palce ocierają się o siebie, ale nie usłyszał żadnego dźwięku.

Umieścił w ścianie drugą rękę i chwycił pierwszą. Obie zachowywały się zupełnie normalnie. Klasnął w dłonie i poczuł, jak się stykają, ale znów nie usłyszał odgłosu klaśnięcia. To było dziwne. Objął palcami prawej ręki nadgarstek lewej, po czym powoli zaczął przesuwając w górę, w kierunku ramienia. Obserwował, jak ręka się pojawia, zupełnie jakby wynurzała się spod powierzchni wody... tyle że owa powierzchnia przypominała pionową ścianę. Pochylił się i nabrał garść piasku, a potem zanurzył znów rękę w ścianie i zaczął przesypywać piasek z jednej dłoni do drugiej.

Wyciągnął obie ręce i odrzucił piasek... ..po czym przeszedł przez ścianę piramidy.

Czasami trzeba zdecydować się na podjęcie ryzyka.

Nie pomyślał o tym nigdy przedtem.

Kiedy Posiadacz umieszczał Klucz we wnętrzu Zamka, starzec Mohs, sędziwy i poważany Naczelný Śpiewak zamieszkujących system Rafy Toków, opierał się o ścianę piramidy. Nagle odniósł wrażenie, że ściana zniknęła. Ogarnęły go nieprzeniknione ciemności i zorientował się, że spada. Na szczęście trwało to dosyć krótko, ale mimo to poczuł, że jego przepaska niemal się rozwiązała.

Przez całe długie, bardzo długie życie Mohs godził się z lodowatymi podmuchami, które jakoś wpadały pod skraj osłaniającej biodra przepaski. Teraz - pomimo iż znajdował się w ciemnościach, w budzącym grozę świętym miejscu, nagle doszedł do wniosku, że przecież może związać długie, zwisający luźno koniec materiału, wepchnąć go między nogi i w ten prosty sposób zlikwidować szczelinę, przez którą dostawało się powietrze.

Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Dlaczego nie pomyślał o tym nikt spośród jego ludzi? Przyłapał się na cynicznym stwierdzeniu, że już sama ta błaha informacja jest warta setek śmiesznych Pieśni... O nie! To było bluźnierstwo! Mohs skulił się i próbował przeniknąć spojrzeniem otaczające go ciemności. Obawiał się... właściwie czego? Zaczął się zastanawiać.

W ciągu ostatnich kilku minut nie robił niczego innego, tylko się zastanawiał.

W końcu doszedł do wniosku - co mogło być pierwszą prawdziwą decyzją w jego życiu, jaką podjął samodzielnie - że zaczeka, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Usiadł na jakiejś twardej, wytrzymałej powierzchni i cieszył się ciepłem, jakie przenikało członki. I uczuciem, że jego umysł działa sprawnie jak nigdy przedtem.

Upłynęło wiele godzin!

Mierząc wewnętrznym chronometrem, cztery godziny, dwadzieścia trzy minuty i pięćdziesiąt pięć sekund. Vuffi Raa nie musiał nigdy sprawdzać, ile czasu upłynęło - po prostu to wiedział. Doszedł do przekonania, że kłopot z zaprogramowanymi umiejętnościami - takimi jak pilotowanie gwiazdowego statku - polegał na tym, że eliminowały albo osłabiały chęć samodzielnego zdobywania jakichkolwiek innych. Pomyślał, że już lepiej być istotą ludzką, nie dysponującą z góry ustalonym oprogramowaniem, zdolną i potrafiącą...

Istotą ludzką? Co za głupie myśli przychodziły mu do głowy?

Jego macia znajdowała się w przybliżeniu - nie, dokładnie -w odległości siedemnastu centymetrów od powierzchni ściany, a jednak, kiedy Lando położył się Kluczem, nagle on, Vuffi Raa, znalazł się tu (bez względu na to, gdzie owo „tu” się znajdowało), po drugiej stronie karmazynowej ściany.

Pięć godzin, dwadzieścia dziewięć minut i trzydzieści jeden sekund.

Rozważając, czym owo „tutaj” było, mały Vuffi Raa czuł się dziwnie odosobniony i samotny. Co najważniejsze, uczucie to tak bez reszty zaprzętało jego myśli, że zaniechał normalnych w takich okolicznościach prób zorientowania się, gdzie się znalazł. Uczucie samotności nie tylko nie ustępowało, ale wręcz przeciwnie, z minuty na minutę coraz bardziej się potęgowało. Vuffi Raa pomyślał, że czym prędzej musi zająć się zbadaniem tego, co go otaczało - choćby w tym celu, by skierować myśli na inne tory.

Nie widział ani śladu niczego, co mogłoby być wewnętrzną powierzchnią ściany piramidy. Znajdował się w jaskrawo oświetlonym korytarzu, którego sufit mógł wznosić się na wysokości wielu kilometrów. Jego dopplerowski radar nie należał do najczulszych zmysłów i chyba dlatego sygnały albo nie docierały do samego sufitu, albo odbijały się i powracały w postaci zniekształconego, zwodniczego echa.

Podłoga pomieszczenia, w którym przebywał, miała kształt wydłużonego prostokąta o wymiarach pięciu na kilkadziesiąt metrów. Za plecami znajdowała się półprzeźroczysta ściana, a za nią było widać coś, co sprawiało wrażenie ogromnego cylindrycznego pojemnika, wysokiego na kilka pięter i przypominającego wielki zbiornik na paliwo, ale wykonanego z takiego samego, wyglądającego jak plastik materiału, jak wszystkie ściany we wnętrzu piramidy. Przed sobą Vuffi Raa widział nieco mniejsze cylindryczne pomieszczenie, zajmujące chyba całą szerokość korytarza - od ściany do ściany. Mimo to, posługując się innymi zmysłami, orientował się, że ma za plecami drugą część korytarza o takich samych wymiarach jak ta, w której przebywał - zupełnie jakby cylinder dzielił korytarz na połowy.

Po prawej i po lewej biegly identyczne, idealnie równoległe korytarze, „widoczne” mimo ścian i mające takie same rozmiary jak ten, w którym teraz stał - z jednym małym wyjątkiem: nie przegradzały ich mniejsze cylindryczne „zbiorniki na paliwo”.

Skręcił w lewo.

Dłuższy czas szedł wzdłuż ściany, ale nie zauważył żadnego wyjścia. W miarę jak zbliżał się do zaokrąglonej przeszkody, korytarz stawał się coraz węższy. Widząc, że wolna przestrzeń się kurczy, przystanął i wrócił po własnych śladach, a później skręcił w odnogę głównego chodnika. Tym razem znalazł miejsce, w którym dało się przeniknąć do innego pomieszczenia. Odkrył je pomiędzy krzywizną cylindrycznego zbiornika a kątem ściany. Przeszedł przez nie do innego chodnika. Podobnie jak poprzedni, ten także był oświetlony łagodnym, ale trochę intensywniejszym błękitnym blaskiem. Po chwili, znalazł następne „miękkie” miejsce w ścianie i prześlizgnął się do identycznej, jak druga, komory.

Dopiero jednak czwarte pomieszczenie wyglądało inaczej niż wszystkie poprzednie. Podłoga miała kształt różnobocznego pięciokąta. Jedyne widoczne miejsce w ścianie, przez które można było przeniknąć do innego pomieszczenia, zostało umieszczone po prawej stronie, co zmusiło Vuffi Raa do skręcenia w prawo. Kolejna komora wyglądała identycznie jak pierwsza, tyle że oglądana w zwierciadle. Później znów zaczęły się powtarzać komory o podłogach, mających kształty wydłużonych prostokątów.

Vuffi Raa nie przestawał iść coraz dalej. Chyba po raz pierwszy w całym życiu był nie na żarty przerażony.

Siedem godzin, szesnaście minut i czterdzieści cztery sekundy.

Okazało się, że ściany piramidy, oglądane od środka, są przezroczyste.

To była pierwsza rzecz, jaką zauważył Calrissian. Widział na zewnątrz świeące słońce, czerwony piasek, kilka kolczastych krzewów i, uspokajająco blisko (aczkolwiek dalej niżby pragnął), sylwetkę „Sokoła Milenium”, cierpliwie czekającego na powrót kapitana. Liczył na to, że lekki frachtowiec nie będzie musiał czekać zbyt długo.

Miał kłopoty z oceną grubości ściany piramidy. Przekonał się, że nie jest zupełnie przezroczysta, ale sprawia wrażenie szkła zabarwionego na jasnobłękitny kolor. Kiedy obejrzał się przez ramię, dostrzegł pustą komnatę - i dopiero wówczas uświadomił sobie, że coś płała figla jego oczom. W odległości niespełna stu metrów widział jedną z przeciwległych ścian pięciobocznej budowli, a za nią znów piaszczystą pustynię. Wszystkie ściany, tworząc szpic, zbiegały się jakieś dwieście metrów nad jego głową.

Kłopot w tym, że kiedy przebywał na zewnątrz, widział na własne oczy, iż budowla ma wysokość kilku kilometrów.

A zatem ściany musiały być skomplikowanymi urządzeniami optycznymi. Wywoływały złudzenie, że budynek jest o wiele mniejszy niż w rzeczywistości - ma rozmiary akceptowalne przez istoty ludzkie.

Zawołał:

- Vuffi Raa? Gdzie jesteś? Mohsie? Odezwijcie się do mnie!

Nie usłyszał nawet przyzwoitego echa.

A to co znowu? Zatopiony - niczym mucha w bryłce bursztynu - w ścianie, przez którą właśnie przeszedł, spoczywał Klucz. Lando wyciągnął rękę, pragnąc go wyjąć... ale niemal zdarł sobie naskórek z czubków palców. Ściana budowli przypominała bryłę litego szkła, a Klucz spoczywał, ukryty w jej głębinie, co najmniej metr od jego wyciągniętej dłoni. A więc taki los czekał go - a zapewne także Vuffi Raa i Mohsa - we wnętrzu dziwacznej piramidy.

Rozejrzał się po nie wyróżniającym się niczym szczególnym pomieszczeniu. Od jednej ściany do drugiej ciągnęła się gładka i lśniąca jak szkło podłoga, na której nie ustawiono żadnych mebli ani innych przedmiotów. Lando czuł się tak, jakby pozostawiono go w ogromnym, opustoszałym magazynie. Widoczne przez ściany budowli niebo miało trochę bardziej niebieską barwę niż w rzeczywistości.

Barwa piasku także była ciemniejsza niż wówczas, kiedy przebywał na zewnątrz. Mieszanina czerwieni i błękitu daje purpurę. Przezroczyste ściany piramidy sprawiały również, że wszystko, co się przez nie oglądało, wydawało się mniejsze i bardziej odległe; skurczone wskutek zjawiska załamывania światła. Możliwe nawet, że ściany nieznacznie się zakrzywiały. „Sokół” wyglądał jak model albo dziecinna zabawka.

Może powinien wyruszyć na poszukiwania innego wyjścia?

Dysponował własnym, praktycznie niewyczerpanym źródłem energii: mikroskopijnym stosem. Stos nigdy nie gaś, mimo iż potrzebował tylko minimalnych ilości paliwa, żeby płonąć i utrzymywać Vuffi Raa przy życiu.

Mimo to mały android czuł się zmęczony. W ciągu całego życia - o wiele, wiele dłuższego niż jego obecny właściciel mógłby zacząć sobie wyobrażać - robot jeszcze nigdy nie czuł się bardziej osamotniony i opuszczony. Teraz zaś, pokonując nieskończenie wiele pustych komnat, odnosił wrażenie, że jest tylko małym pionkiem w jakiejś grze, przesuwanym z jednego miejsca w drugie przez czyjeś ogromne, bez troskie i bezlitosne palce.

Mały android czuł, że się boi.

Przeszedł sporą odległość. Przemierzył sześć niczym nie różniących się od siebie prostopadłościennych komnat, jeżeli nie liczyć tej ze „zbiornikiem na paliwo”, w której się znalazł, kiedy przeniknął przez ścianę piramidy. Później przeszedł przez jeszcze jedną komorę ze zbiornikiem. Następnie przez trzy puste, a w czwartej, także pustej, musiał skrócić pod kątem ostrym w lewo. Kolejna komnata miała cylindryczny pojemnik, ale między jego krzywizną a ścianą znalazł wystarczająco dużo miejsca, by się przecisnąć. Dalej następne puste pomieszczenie, skręt w lewo, trzy dalsze prostopadłościenne błękitne komnaty i kolejny zbiornik.

Wyglądało na to, że taka sekwencja powtarza się bez końca. Mały robot przekonał się, że po każdym bezowocnym skręcie i pokonaniu kolejnej komnaty staje się coraz bardziej zrozpaczony. Wydawało mu się, że to nie jest ta sama planeta - ta sama rzeczywistość — a co dopiero mówić o tej samej budowli, do której wnętrza przypadkiem wniknął. Maszerował dalej.

Upłynęło trzynaście godzin, czterdzieści pięć minut i dwadzieścia osiem sekund.

Kolejny skręt, tym razem w prawo (pierwszy, jeżeli nie liczyć tamtego, który wykonał na początku), dwa w lewo i jeszcze jeden w prawo. Dwa następne w lewo. I zawsze takie same ponure, puste pomieszczenia o jasnobłękitnych ścianach, od czasu do czasu

przecięte pośrodku pustymi cylindrycznymi kolumnami. Więcej skrętów w lewo, mniej w prawo. Ile czasu może to się jeszcze ciągnąć?

Dziewiętnaście godzin, jedenaście minut i cztery sekundy.

Pogrążony w zadumie, Mohs nawet nie zauważył, że nie widzi. Nie bardzo się tym przejmował, ponieważ i tak nie miał dokąd się udać. A zresztą, nigdzie sienie spieszył. Przebywał w tym miejscu tylko przez minutę czy dwie, a zanim upłynie następna minuta albo dwie, pojawiają się Posiadacz i Emisariusz i coś z tym zrobią.

A może nie.

Prawdę mówiąc, nie miało to wielkiego znaczenia. Rozmyślając ponownie o przepasce biodrowej, Mohs uświadomił sobie, że gdyby wziął długi, prostokąny pas tkaniny i zszył krótsze boki, ale w taki sposób, że przedtem obróciłyby jeden na drugą stronę, otrzymałby coś dziwnego: przedmiot, który ma tylko jedną powierzchnię i jedną krawędź. Nie był pewien, jak to możliwe w świecie, w którym wszystko miało - musiało mieć - przynajmniej dwie strony. Doszedł do wniosku, że właśnie w takim kształcie przepaski musi kryć się ważna tajemnica, sugerująca istnienie we wszechświecie jakiegoś fundamentalnego prawa. Tajemnica ta jednak w dziwny sposób wymykała się jego pogrążonym w ciemnościach zmysłom; zapewne była tuż poza zasięgiem wyciągniętych palców. Niepokoiło go to i irytowało.

Nie przestając zastanawiać się nad tym problemem, obracał go w myślach i rozplatał jak samodziałową tkaninę, z której sporządzono pojedynczą sztukę jego ubrania. Nie było to wcale proste, ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym chyba wszystko stawało się prostsze i łatwiejsze.

Obecnie zaś stało się doprawdy bardzo proste.

Mohs wybuchnął śmiechem.

Lando usłyszał, jak ktoś się śmieje.

Odwrocił się i zobaczył Mohsa - w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą go nie było. Kucnąwszy, starzec trzymał jedną rękę na podolku, a drugą umieścił między brodą a kolanami. Na podłodze przed nim, widocznie zapomniana, leżała mniej więcej trzymetrowa wstęga poszarzała ze starości tkaniny, służąca kiedyś jako przepaska biodrowa, a obecnie zwinięta w dziwaczną, zwiotczałą wstęgę Moebiusa. Staruszek był zwrócony plecami do Calrissiana.

- Mohsie! - krzyknął Lando. - Gdzie się podziewałeś? Nie odwracając się, Śpiewak Toków zachichotał.

- Wygląda na to, że w tym samym miejscu, co i ty, kapitanie - odparł, cały czas nie odwracając się przodem do hazardzisty. - Która godzina?

Lando pomyślał, że to bardzo dziwne pytanie, zważywszy na fakt, iż padło z usta nagiego dzikusa. Mimo to spojrzał na zegarek.

- Powiedziałbym, że od chwili, kiedy zniknąłeś w tej ścianie, upłynęło jakieś dwadzieścia minut. Co robiłeś w tym czasie? Po prostu siedziałeś?

- A jak sądzisz, co miałem robić, kapitanie? - Starzec wstał i odwrócił się na pięcie, aby stanąć twarzą do Landa. - Pomyślałem, że jeżeli dokądkolwiek pójde, możemy się nie odnaleźć. W tych ciemnościach człowiek nie widzi nawet własnej ręki.

- Wielkie nieba, człowieku! Co się stało z twoimi oczami? Starzec zamrugał, kilka razy przysłaniając powiekami gałki oczne, które równie dobrze mogłyby być nieprzezroczystymi, białymi szklanymi kulkami.

- Moimi oczami? Nie stało się z nimi nic złego, kapitanie. - Prastary Śpiewak lekko się uśmiechnął. - A co się stało z twoimi? Nie widzisz w tych ciemnościach?

Vuffi Raa nie zabłądził. Po prostu nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

Odkąd przeniknął przez ścianę piramidy, chyba całymi dniami wędrował przez ten

dziwaczny, przeniknięty błękitnym blaskiem labirynt. Wybierał drogę, absolutnie niczym nie różniącą się od wszystkich innych. Miał do wyboru tylko albo iść, albo pozostawać w jednym miejscu, a on zawsze wolał działanie niż bezczynność.

Skręcał cztery razy w prawo (po każdym skręcie przechodził przez dwa, mające dziwne kształty pomieszczenia) i sześć razy w lewo, niekoniecznie właśnie w takiej kolejności. Niedługo powinien się znaleźć tam, skąd wyruszył na wędrowkę. Nie dotrze ani trochę bliżej żadnego konkretnego celu ani nie stanie się ani trochę mądrzejszy, by domyślić się, komu albo czemu miał służyć ten iście piekielny labirynt. Wędrowanie nie pomoże mu ani trochę w odnalezieniu przyjaciół.

Z ust Landa usłyszał kiedyś, że jest tylko maszyną. Vuffi Raa był ciekaw, czy jego pan wie, jak bardzo samotne mogą być automaty. Mały android nigdy dotąd tego nie wiedział, a zapoznał się z tym uczuciem dopiero w ciągu kilku ostatnich godzin. To znaczy, dokładnie dwudziestu siedmiu, jeżeli nie brać pod uwagę trzydziestu sześciu minut i jedenastu sekund. Wychodził właśnie z trzeciej komnaty - następnej po tej, która miała małą cylindryczną subkomnatę. To oznaczałoby, że za chwilę powinien dotrzeć do czwartej, z której będzie musiał skręcić w lewo. A później jeszcze raz w lewo, następne cztery komnaty i wróci do miejsca, z którego wyruszył na wędrowkę.

W wyniku czego ogarnie go jeszcze większe przygnębienie i zniechęcenie.

Odnalazł prześwitujące „miękkie” miejsce w ścianie komnaty i przeniknął do następnej. Pomyślał, że zapewne we wszystkich pomieszczeniach - nie wyłączając tego, z którego właśnie wyszedł - można przejść jedynie przez ścianę, znajdującą się po lewej stronie. Skręcił w lewo i przekonał się, że -jak zawsze w komnacie z cylindrycznymi pojemnikami - oświetlenie jest odrobinę mniej intensywne. Machinalnie pokonał całą długość, minął zbiornik i skierował się do przeciwległej ściany.

I zderzył się z nią. Ściana nie chciała go przepuścić.

To było coś nowego. Fakt ten jednak nie pocieszył małego androida. Nie rozproszył nudy, która stała się jedynym towarzyszem wędrowki. Gdyby był człowiekiem, zapewne postąpiłby pod ścianą, drapiąc się w głowę. Może także, zirytowany, zaplótłby ręce na torsie i zaklął.

Stał więc tak przez chwilę, po czym uniósł mackę, przyłożył do chromowanego pancerza i chyba nie uświadamiając sobie, co robi, lekko go podrapał. Później splótł dwie inne macki w geście, mającym wyrażać obrzydzenie.

- Ale heca! - powiedział, gdyż właśnie to miał na myśli.

Pragnąc zbadać niezwykłą komnatę, przeszedł wzdłuż lewej ściany i ponownie precyzyjnie się wąskim przejściem, pozostawionym obok cylindrycznego zbiornika. Krótszy bok, przez który niedawno się prześlizgnął, okazał się wszakże całkowicie nieprzenikliwy. Coraz bardziej zaniepokojony, Vuffi Raa zaczął posuwać się wzdłuż pierwszej połowy dłuższej ściany w kierunku walcowatego pojemnika. Kiedy znalazł się przy nim, dokonał następnego odkrycia.

Dotychczas zaokrąglone powierzchnie komnat, które przywykł określać mianem pojemników, okazywały się równie nieprzenikliwe jak wszystkie inne ściany. Tym razem stało się inaczej. Mały robot stwierdził, że macka zagłębia się bez przeszkód w powierzchnię cylindra. Ponieważ i tak nie mógł znaleźć innego wyjścia, podążył za macką do wnętrza walca. Kiedy znalazł się w środku, natychmiast zauważył, że jeden punkt wewnętrznej powierzchni jarzy się purpurowym blaskiem. Jak się spodziewał, „zbiornik” nie chciał go wypuścić; podszedł więc do rozjarzonego miejsca i zaczął je oglądać. Okazało się, że jest przepuszczalne.

Znalazł się znów w pomieszczeniu, mającym kształt prostopadłościanu, zupełnie podobnym do wielu innych - rozjaśnionych błękitną poświatą i nie mającym zbiorników

- przez które przechodził w ciągu ostatniej doby.

Tyle że w ścianie ujrzał jaskrawo świecące szkarłatne drzwi.

Jeden, dwa, trzy, cztery. Powinien teraz znaleźć się między dwiema mającymi zbiorniki błękitnymi komnatami, ale tu, gdzie się znalazł, nie widział żadnego cylindra. Pięć, sześć, siedem - coś dziwnego. Odnosił wrażenie, że przeciwległa ściana go przyciąga, a poza tym płonie czerwonym, ale trochę mniej intensywnym blaskiem. Vuffi Raa cofnął się i zaczął myśleć.

Odkąd wpadł w te tarapaty, upłynęły trzydzieści dwie godziny, piętnaście minut i czterdzieści dwie sekundy. Teraz już niemal go nie obchodziło, czy i jak się stąd wydostanie.

Pozwolił, żeby ściana przyciągnęła go do siebie, i przeszedł przez...

Lando ukrył twarz w dłoniach i siedział pod przezroczystą ścianą piramidy. W ciągu ostatnich trzydziestu minut przeżył wiele wstrząsów, ale ten był chyba najsilniejszy. Tam, gdzie stary Śpiewak miał kiedyś oczy, widniały dwie głębokie, brzydkie rany - które bardzo szybko się goiły i nie wykazywały ani śladu infekcji, podobnie jak starzec nie okazywał, że odczuwa jakikolwiek ból. Mimo to był ślepy - straszliwie, okrutnie, nieodwołalnie okaleczony.

I szczęśliwy z tego powodu jak dziecko.

- Kapitanie - powiedział. - Proszę cię, nie martw się z mojego powodu. Tak to już jest, że w życiu nie ma niczego za darmo. Wygląda na to, że zamieniłem oczy na oświecenie. Dopiero teraz wiem, kim dotychczas byłem: upośledzonym dzikusiem, który wprawdzie widział, ale nie rozumiał, na co spogląda. Teraz zaś stałem się człowiekiem cywilizowanym i inteligentnym - który, dziwnym zrządzeniem losu, jest niewidomy. Czy nie uważasz, że to sprawiedliwa zamiana?

Lando mruknął, po czym od niechcenia szturchnął czubkiem palca cienką warstwę kurzu, który zgromadził się w kącie między ścianą a podłogą. Przekonał się, że błyszczy tam coś dziwnego, podobnego do okruchu metalu albo mikroskopijnego odłamka zwierciadła. Zaciekawiony, lekko dmuchnął, pragnąc w ten sposób oczyścić dziwny przedmiot z kurzu. Doszedł do przekonania, że to lepsze niż udzielanie starcowi odpowiedzi - bez względu na to, czy rzetelnej, czy fałszywej. Nic nie mogło zastąpić utraty wzroku.

- Co więcej, kapitanie - ciągnął tymczasem Mohs - myślę, że moje nowo nabyte umiejętności logicznego rozumowania chociaż częściowo potrafią zastąpić utracone oczy. Wiem, na przykład, że siedzisz po mojej lewej ręce i odwrócony twarzą w stronę ściany, grzebiesz palcem w kącie. Wydaje mi się, że to wiem, wnioskując z dźwięków, towarzyszących twoim ruchom, oraz znajomości twojej osobowości — to zupełnie tak, jakbym cię mógł widzieć.

- Cieszę się razem z tobą, Mohsie - mruknął rozdrażniony Lando. Nagle, w tej samej sekundzie, kiedy błyszczący okruch znalazł się trochę bliżej i załśnił intensywniejszym blaskiem, przeraził się i cofnął rękę. - Sukin... Popatrz tylko!

Nie uświadamiając sobie faktu, iż powiedział to do ślepcy, Lando nie przestawał kierować spojrzenia w kąt pomieszczenia. Poruszał się tam chyba jakiś pająk - bardzo mały i bardzo szybko. Usiłując uniknąć spotkania z czubkiem palca ponownie wyciągniętej dłoni Calrissiana, starał się obejść przeszkodę to z lewej, to znów z prawej strony. Nie mógł mieć więcej niż trzy milimetry średnicy.

Mimo to Lando, nie okazując strachu, podstawiał palec i zmusił pająka, żeby wspiął się trochę wyżej. Później uniósł rękę i strząsnął stworzenie do wnętrza podstawionej drugiej dłoni...

I przyglądał się, jak zmniejszony do mikroskopijnych rozmiarów Vuffi Raa, poruszający się chyba sześćdziesiąt razy szybciej niż normalnie, potyka się o linię życia i rozciąga jak drugi.

ROZDZIAŁ XV

Nikt nigdy nie oskarżył Vuffi Raa o to, że jest głupi.

Rzecz jasna, mały robot natychmiast rozpoznał górującego nad nim stumetrowego giganta. Stało się to w tej samej chwili, kiedy wyskoczył z oświetlonej czerwonym blaskiem komory, prawdopodobnie stykającej się z wewnętrzną powierzchnią piramidy. Vuffi Raa rozpoznał swojego pana, ale najbardziej zdumiało go to, co wówczas poczuł. Wydawało mu się, że bez względu na tarapaty, w jakich obaj się znajdują, powrócił do domu.

Wyglądało na to, że i Lando zorientował się w tej niezwyklej sytuacji. Oparł czubek gigantycznego palca przed androidem i trzymał absolutnie nieruchomo przez całą minutę, aby dać czas małemu - bardzo małemu robotowi - na wspięcie się wyżej.

Jeżeli chodziło o niego, Vuffi Raa także starał się bardzo uważać. Mimo iż tak ogromny palec był szorstki i miał mnóstwo wygodnych miejsc, w których dawało się postawić stopę, sprawiał wrażenie miękkiego i gąbczastego. Automat wspinał się zatem bardzo powoli, używając wszystkich pięciu macek i rozczapierzając palce na boki, żeby jak najrównomierniej rozłożyć ciężar ciała. Wiedział, że jeden nieostrożny ruch i mógłby przekuć ciało swojego pana jak igła. Wywołałoby to nagły ruch, wskutek którego Vuffi Raa spadłby i roztrzaskałby się na kawałki.

Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło.

Poruszając ręką wprost nieprawdopodobnie statecznie i powoli, Lando unióś Vuffi Raa na wysokość oczu. Później opuścił go wzdłuż przypominającego zbocze góry torsu i przełożył do drugiej ręki. Vuffi Raa wpadł we wgłębienie podstawionej dłoni. Przez pewien czas koziółkował, ale potem stanął prosto i popatrzył w gigantyczne oko, które nie przestawało go obserwować.

- Mistrzu! - zawołał. - Co za historia! Co zrobimy w takiej sytuacji?

- EEEVVUUUUFFFIII EEERRRAAAAA - odpowiedział Lando, potrzebując na to przynajmniej dwudziestu sekund. Jego głos przypominał pomruk gromu. Gdyby na miejscu androida znalazł się jakiś człowiek, mógłby po prostu nie zrozumieć słów Calrissiana. Zakres częstotliwości dźwięków, odbieranych przez czujniki Vuffi Raa, mógł doprawdy wprowadzić w zdumienie - zwłaszcza że mały android nie tyle usłyszał, ile poczuł.

Dopiero teraz automat zrozumiał przyczynę nienaturalnie powolnych ruchów swojego pana. Musiała istnieć jakaś różnica w tym, jak obaj oceniali szybkość upływu czasu - zapewne wynikająca z różnic rozmiarów. Lando po prostu żył w świecie, gdzie wszystko toczyło się o wiele wolniej niż tam, gdzie żył teraz android. Vuffi Raa zastanawiał się nad tym problemem przez czas, który jego właścicielowi wydał się milisekundą, a potem wydał całą serię głośnych ćwierknień, trwających w sumie trochę ponad minutę. Każdy dźwięk starannie ukształtował i oddzielił od pozostałych, ale w taki sposób, aby zwały się w jeden, który jego pan mógłby łatwo zrozumieć.

- Czy rozumiesz, co mówię, mistrzu? - usłyszał Lando cieniutki, nieprawdopodobnie piskliwy głosik. - Czy w ogóle mnie słyszysz?

Lando także nie był głupi. Widział, jak szybko i nerwowo porusza się Vuffi Raa w zagłębieniu dłoni, i domyślił się, że w ich światach albo czas musi płynąć w innym tempie, albo różne muszą być szybkości przemiany materii. Co więcej, do pewnego stopnia rozumiał nawet to, w jaki sposób Vuffi Raa usiłuje się z nim porozumiewać. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia, co zrobić, aby odpowiedzieć mu w równie zrozumiałym sposób.

Zdecydował, że wypowie tylko jedno słowo:

- Tak.

Vuffi Raa odebrał to jako: „EEETTTAAAKKK”, ale ta część jego organizmu, która stanowiła obwody skomplikowanego komputera, bardzo szybko ściągnęła słowo (nieco wcześniej nauczyła się tego, kiedy Lando zwrócił się do androida po imieniu), po czym sformułowała krótką odpowiedź. Mimo to wypowiedzenie jej zabrało o wiele więcej czasu.

- Zapytaj Mohsa, co on sądzi na ten temat. A później gigant zwrócił się do giganta.

- Posłuchaj, Mohsie, staruszkule, co twoja nowo nabyta umiejętność lepszego rozumowania mówi ci na temat tego niepokojącego wydarzenia? Wygląda na to, że mam najmniejszego androida w całej galaktyce, ale on chyba nie czuje się specjalnie uhonorowany tym wyróżnieniem.

Owinąwszy na nowo biodra przepaską, tym razem na wycucie, stary szaman przestąpił ze stopy na stopę, po czym przekrzywił głowę i zbliżył ucho do małego Vuffi Raa, co miało mu zastąpić kierowanie zniszczonych oczu. Przez długą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie znam żadnej Pieśni, która opiewałaby taką sytuację. On nas słyszy, nieprawdaż?

- Tak - rozległa się piskliwa, ale bardzo wyraźna odpowiedź. Zabrzmiała natychmiast po tym, kiedy Mohs zakończył pytanie, i na długo przedtem, zanim Lando zdołał oznajmić to samo. Młody hazardzista uświadomił sobie, że taki sposób porozumiewania zapewne bardzo odpowiada organicznym gigantom, ale reagującego o wiele szybciej małego androida musi doprowadzać do. szału albo rozpacz. Usłyszenie każdego słowa zajmowało czujnikom przyspieszonego robota wiele sekund - nie wspominając o wiele, wiele dłuższym czasie oczekiwania na to, aż nieruchawe kolosy zdecydują się odpowiedzieć.

- Kapitanie - ciągnął tymczasem starzec, który zapewne nie chciał zwracać się bezpośrednio do mającego rozmiary pająka automatu. - Nie widzę - chociaż to kolejna przenośnia - dla nas innego wyjścia poza kontynuowaniem poszukiwań Harfy. Nie możemy niczego uczynić dla twojego zmniejszonego przyjaciela. Możliwe, że czas albo zmiana sytuacji przyniosą rozwiązanie tego problemu.

- Zgadza się - zapiszczał Vuffi Raa, jeszcze zanim Lando miał szansę zastanowić się nad odpowiedzią.

Tymczasem zminiaturyzowany automat miał wystarczająco dużo czasu, by poświęcić go na dokładne zapoznanie się z wyglądem wnętrza dłoni swojego gigantycznego pana. Naskórek przypominał usiane głazami rumowisko, a delikatne wgłębienia przemieniły się w wyorane pługiem głębokie bruzdy. Puls Landa przywodził na myśl bezgłośnie, ale silne wstrząsy, powtarzające się regularnie co kilka minut. Widoczne w różnych punktach naskórka otwarte pory wyglądały jak jamy, wykopane przez całe stado susłów.

W końcu, kiedy Vuffi Raa znudził się oględzinami, usłyszał:

- EEECCCHHHYYYBBBAAA EEEMMMMAAASSSSZZZ EEERRRAAACCCJJJEEE.

Odpowiadając, zdołał sformułować i wypowiedzieć pytanie, dotyczące sposobu pokonywania dalszej drogi. Oznajmił, że pragnąłby iść o własnych siłach - podobnie jak zamierzały uczynić to istoty ludzkie - ale nie sądził, by jego znacznie większa szybkość poruszania pozwoliła mu nadążyć za większymi istotami, zwłaszcza że podłoga wydawała mu się bardzo nierówna i usiana wieloma przeszkodami. Zaproponował wobec tego, że chętnie skorzysta z jakiegoś środka transportu, i zapytał nieśmiało, jak ludzie wyobrażają sobie rozwiązanie tego problemu.

- Zawsze marzyłem o tym, żeby nosić kolczyk w uchu - zwierzył się Lando zdumionemu robotowi. - Czy sądzisz, że zdołasz się tam utrzymać, nie odrywając mojej małżowiny?

Dzięki temu porozumiewanie się byłoby łatwiejsze i zmniejszyłoby się prawdopodobieństwo,

iż androidowi stanie się coś złego, jako że hazardzista będzie bardzo uważał, by nie uderzyć się w głowę.

- Kapitanie - odezwał się Mohs, kiedy wszystko zostało uzgodnione. - Wydaje mi się, że istnieje jakieś wyjście z tej komnaty.

O ile się dobrze orientuję, znajduje się gdzieś pośrodku sali.

W ciągu stosunkowo krótkiego czasu, kiedy Lando przebywał we wnętrzu piramidy, zwracał uwagę głównie na to, co było widać przez półprzezroczyste ściany. Później zainteresował się Mohsem

i stanem, w jakim znajdowały się jego oczy, a w końcu poświęcił całą uwagę małemu robotowi. Dopiero teraz mógł naprawdę przyjrzeć się wnętrzu. Nie było to wcale łatwe: podłoga połyskiwała, jakby wykonano ją z ułożonego na ciemnym podłożu przezroczystego szkliwa. Hazardzista ujął starego Śpiewaka pod rękę i poprowadził jakieś pięćdziesiąt metrów na środek komnaty. W tym czasie Vuffi Raa trzymał się kurczowo, uczepony wszystkimi pięcioma mackami ucha swojego właściciela.

Po chwili ujrzeli przed sobą łagodnie opadającą rampę, stanowiącą jakby część wypolerowanej podłogi - nieruchomą i pozbawioną jakichkolwiek ozdób czy chociażby bocznych barier ochronnych. Lando pomyślał, że nie zauważył jej od razu właśnie z tego względu, a także dlatego, iż spoglądał na nią z daleka, pod niewielkim kątem, wskutek czego nie odróżniała się od widocznej po drugiej stronie błyszczącej podłogi.

Pośrodku pomieszczenia, pod samym wierzchołkiem piramidy, panował mrok. Słońce, jasno świecące na zewnątrz budowli, dziwnie kontrastowało z tymi ciemnościami. Hazardzista stwierdził, że działa mu to na nerwy.

- No, przyjaciele, idziemy? - zapytał, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Od nikogo nie otrzymał odpowiedzi.

Wzruszył ramionami i postawił stopę na samym początku pochylni - przypomniawszy sobie, kiedy właściwie było już za późno - że właśnie przez coś takiego wpadł... no cóż, przede wszystkim przez coś takiego. Kiedy jednak przeniósł część ciężaru ciała na stopę, ustawioną na skraju lekko opadającej płaszczyzny, stopa ruszyła naprzód, jakby żyła własnym życiem. Lando podskoczył i szybko dołączył do niej drugą stopę. Przekonał się, że jadąc na czymś w rodzaju szklistej taśmy pozbawionego szczególnych cech transportera, porusza się, mimo iż nie idzie - czyli dokładnie tak, jak utrzymywała jedna z proroczych Pieśni Mohsa.

Obejrzał się przez ramię. Starzec jechał kilka kroków z tyłu, ale sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Zapewne nie był zachwycony faktem spełnienia się jednej z przepowiedni.

No cóż - pomyślał Calrissian. - Czy kiedykolwiek jacyś ludzie byliby rzeczywiście z tego zadowoleni?

Pomieszczenie, do którego wkrótce wjechali, było dość przestronne - mogło mieć jakieś dziesięć metrów szerokości. A kiedy znaleźli się pod podłogą, zaczęło się im wydawać, że ruchomy chodnik sunie poziomo. Stwierdzili jednak, że sklepienie nad ich głowami dzieli od ruchomej podłogi stale taka sama odległość, wynosząca mniej więcej dziesięć metrów. Boczne ściany, tworzące w pierwszych chwilach kąt prosty z podłogą, później zaczęły zakrzywiać się nad ich głowami, nadając całości wygląd gigantycznej rury.

Z początku ściany nie wykazywały żadnych szczególnych właściwości. Sprawiały wrażenie przezroczystych, ale pograżonych w ciemności. W podłodze nie dało się zauważyć żadnych ruchomych części. Położony na niej przedmiot poruszał się tak samo szybko, jak Lando, Mohs i Vuffi Raa. Gdyby Lando nie spoglądał na ściany, nie mógłby stwierdzić, czy podłoga w ogóle się porusza.

- EEEVVUUUHHHVVVIII EEERRRAAA, EEEJJA. AAKKK EEESSSIIIEEE EEECCZZZUUU IIIIEESSSSZZZ?

Android trzymał się z całej siły małżowiny Calrissiana. Obserwował, mierzył i starał się robić wszystko, co mógł - zapewne z uwagi na to, że ktoś inny niósł ciężar jego mikroskopijnego ciała. Mimo to największą część uwagi poświęcał zagadnieniu rozmiarów. Założył, że to on uległ miniaturyzacji - na razie nie zastanawiał się nad tym, w jaki sposób, ani nad faktem, że jego stan jest sprzeczny z kilkoma prawami fizyki. Z pewnością jednak nie chciałby spędzić reszty życia, zmniejszony do rozmiarów okrucia. Androidy czasami żyją długo, bardzo długo.

Z drugiej strony, było możliwe, że to Lando i jego sędziwy towarzysz, gwałcąc kilka innych praw fizyki, w tajemniczy sposób urosli. Vuffi Raa nie sądził, że musi pytać ich o to, co sądzą na temat takiej hipotezy.

Jego rozważania zostały przerwane przez tę część świadomości, która zajmowała się obserwacjami. Westchnąwszy cicho w mechanicznym duchu, przygotował się na jeszcze jeden trud kolejnej rozmowy.

- Mistrzu, chyba korytarz zaczyna lekko zakręcać.

- Nie tak głośno, Vuffi Raa! Zakręcać? - Lando rozejrzał się na boki. Niczego nie zauważył. Widocznie promień krzywizny musiał być duży. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Jak bardzo? I kiedy zatoczy pełne koło? W pewnym miejscu musi złączyć się sam z sobą, a my powinniśmy zauważyć, w którym. I to bez względu na to, czy obróci się to naszą korzyść, czy niekorzyść.

- Nie sądzę, mistrzu... Nigdy nie przestaliśmy się zagłębiać. Zjeżdżamy cały czas coraz niżej, jakby po gigantycznej spirali.

- Coś takiego! Jak szybko? - powtórzył Calrissian. Stary Tok przysłuchiwał się ich rozmowie z dziwnym wyrazem pozbawionej oczu twarzy. — Jaką średnicę może mieć ta spirala?

- Według czyjej skali? Lando zachichotał.

- Dobrze pytanie. Niech będzie według mojej, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. I tak musiałbym to przeliczyć, prawda?

Vuffi Raa powstrzymał się od stwierdzenia - i to tylko dlatego, że rozmowa była zajęciem wprost nieprawdopodobnie nudnym - że dotychczas Lando nie bardzo radził sobie z obliczeniem czegokolwiek. Zamiast tego podzielił albo pomnożył przez mniej więcej sześćdziesiąt wszystkie dane, jakich dostarczały mu czujniki.

- W tej chwili jakieś dziesięć klików. Opada sto metrów na każde trzydzieści kilometrów.

- Potrafisz ocenić, jak szybko ta rzecz się porusza?

- Około dwudziestu kilometrów na godzinę. Spirala opada o jeden poziom co każdą dwudziestą trzecią część okresu obrotu planety.

Podróż ciągnęła się chyba bez końca. Mijała godzina za godziną.

Vuffi Raa pierwszy zauważył, że wygląd ścian uległ dostrzegalnej zmianie.

- Mistrzu. Proszę, zwróć uwagę, że przez ściany zaczyna być coś widać.

- Widzę. - Lando wbił spojrzenie w jaśniejące ściany. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą panowały nieprzeniknione ciemności, zaczynały pojawiać się jakieś formy i kształty. Odnosił wrażenie, że jedzie autostradą, która niedługo ma się wyłonić z tunelu, poprowadzonego pod wierzchołkiem góry. - Nareszcie wydostaliśmy się z tej piramidy! Jesteśmy teraz pod nią!

ROZDZIAŁ XVI

Odbyli wyprawę do samego serca planety.

Ścisłe biorąc, miało to się z prawdą, jak Vuffi Raa nie omieszkał od razu zauważyć, ale Lando nie miał nic przeciwko tej metaforze. Wręcz przeciwnie, bardzo mu się podobała. Geologiczne warstwy, które mijali i oglądali, pochodziły -jak twierdził mały android - z okresu, kiedy na Rafie Pięć dopiero budziło się życie. Stwardniałe na kamień złoża, uformowane przez żyjące w morzach i oceanach mikroskopijne organizmy, których na próżno byłoby szukać teraz na prastarej, spalonej słońcem powierzchni planety, przeplatały się z blokami zastygłej lawy, jaka wypłynęła kiedyś z wnętrza wulkanów. Vuffi Raa, który był obdarzony znakomitym wzrokiem - możliwe, iż zawdzięczał go miniaturyzacji - raz po raz wskazywał i objaśniał w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co widział za przezroczystą ścianą.

- A teraz oglądamy... mistrzu... pozostałości po pierwszych koloniach jednokomórkowców... prapraprzodków stworzeń wielokomórkowych.

- Nie nazywaj mnie mistrzem, zwłaszcza kiedy bawisz się w nauczyciela. Chcesz coś zjeść, Mohsie?

Lando zaczął szperać po kieszeniach ocieplanej kurtki, poszukując wody i skondensowanych racji żywnościowych. Vuffi Raa niczego takiego nie potrzebował, ale starzec zdumiał Calrissiana, zadowolając się wypiciem łyka wody z plastikowej manierki.

Od wielu godzin prastary Naczelný Śpiewak Toków nie wypowiedział ani słowa. Sprawiał wrażenie osoby pogrążonej w zadumie. Zachowywał się tak, jakby przysłuchując się wszystkim, o czym opowiadał Vuffi Raa, usiłował przeniknąć ciemności. Lando nie potrafiłby powiedzieć, czy staruszek w ogóle coś rozumiał z paleontologicznych rozpraw, nieustannie wygłaszanych przez zminiaturyzowanego androida.

- Jeżeli oglądamy ślady powolnego, ale ciągłego rozwoju mikroorganicznego życia, czy to nie oznacza, że kierujemy się ku powierzchni planety? - zapytał młody hazardzista, zwracając się do Vuffi Raa.

- Wręcz przeciwnie... mistrzu... nasz korytarz już od dawna biegnie poziomo... i prosto.... Podróżujemy po przekątnej geologicznych warstw... które się wypiętrzyły.

Z jakiegoś powodu fakt ten zaniepokoił Calrissiana. Lando żałował, że mały robot nie informował go cały czas o kierunku podróży. Co więcej, czuł się niemal tak, jakby... jakby...

- Wybrali świadomie właśnie taką trasę, prawda? - zapytał. - Żebyśmy mogli oglądać wszystko, co oglądamy?

- Oni, kapitanie? - odezwał się Mohs, wprawiając hazardzistę w osłupienie.

Starzec już dawno odkrył, że może podróżować ruchomym chodnikiem równie dobrze siedząc, jak stojąc. Lando poszedł w jego ślady i teraz obaj siedzieli w odległości zaledwie metra od siebie. Zanim ściany stały się przezroczyste i Vuffi Raa rozpoczął swoje wykłady, kapitan „Sokoła Milenium” zastanawiał się nawet, czy się nie zdrzemnąć. Prawdę mówiąc, nadal się nad tym zastanawiał.

- Doskonale wiesz, o kogo mi chodzi. W tym wszystkim kryje się jakiś cel, nieprawdaż?

- Jeżeli nawet się jakiś kryje, kapitanie, Pieśni nic na ten...

- Założyłbym się, że nie! - przerwał mu Lando. - Mohsie, głównym zadaniem, jakie miały spełnić twoje Pieśni, było upewnienie się, że ktoś kiedyś znajdzie się dokładnie w miejscu, w którym my teraz się znajdujemy.

- Prawdę mówiąc, jak również powziąłem takie samo przypuszczenie...

Lando poszperał w kieszeniach i wyciągnął papierosa. Zazwyczaj nie palił dużo, a kiedy już się na to decydował, wołał cygara. Bez względu na to, kto dbał o wyposażenie tej kurtki - egzemplarza pochodzącego zapewne z imperialnych nadwyżek - pomyślał chyba o wszystkim. Lando zapalił wysuszonego papierosa, posługując się wszytą w jeden z rękawów miniaturową elektryczną zapalniczką.

- Pozostaje zatem pytanie: dlaczego? Co takiego ważnego i ciekawego może się kryć w oglądaniu wszystkich skał i tak dalej?

Stary mężczyzna uniósł pozbawioną oczu głowę.

- Jestem pewien, że musi istnieć lepsze słowo niż „oglądanie”, kapitanie.

-Wielkie nieba, człowieku, niemal...

Prawdę mówiąc, Lando zupełnie zapomniał o tym, że Mohs nie widzi. Całe szczęście, że ohydne rany szybko się goiły.

Mimo to Naczelnny Śpiewak nie sprawiał wrażenia osoby, która niedawno oślepla. Nie potykał się i nie szukał niczego po omacku. Wydawało się, że przysłuchując się opowiadaniom zminiaturyzowanego androida, raz po raz kieruje spojrzenie to na ściany, to przed siebie, w stronę wciąż jeszcze niewidocznego wylotu tunelu.

- Jakie słowo miałeś na myśli, Mohsie, uważając, że istnieje „lepsze”? - zapytał Calrissian.

- Czy może istnieć jakiś zmysł lepszy niż wzrok?

Śpiewak Toków obrócił się na ruchomym chodniku i skierował twarz w stronę hazardzisty. Nabrał głęboki haust powietrza, po czym długo je wypuszczał.

- Wszystko na to wskazuje, kapitanie - odparł w końcu. - Popatrz na siebie. W prawym uchu nosisz Emisariusza. W lewej dłoni trzymasz pojemnik z wodą, a w prawej to, co pozostało z pałeczki żywnościowej. Twoja kurtka jest rozpięta, a w koszuli, którą nosisz pod spodem, brakuje jednego guzika - drugiego, jeżeli liczyć od góry. W palcach tej samej dłoni, którą obejmujesz manierką, trzymasz zapaloną pałeczkę, wykonaną z mieszaniny sprasowanych chwastów. Mniej więcej jedna trzecia zdążyła zamienić się w popiół.

Lando chyba jeszcze nigdy w życiu nie był tak zdumiony.

- Jaką barwę mają moje oczy?

- Barwę fałszu, barwę podstęp, barwę chciwości, barwę...

- Wystarczy, wystarczy! Przestań używać takich poetyckich zwrotów. Jakimś cudem naprawdę „widzisz” to wszystko. A czy wiesz, w jaki sposób zobaczyć jasnowidzenie, telepatię, psychometrię...

- Nie znam znaczenia tych słów, kapitanie. Słyszę plusk wody w manierce i ciche trzaski płonących wysuszonych chwastów, a tak-

że różnice w tonie twojego głosu i głosu Emisariusza. Wyczuwam dym i drżenie poruszającej się podłogi. Tu jest ciepło, a tam zimno. W moim umyśle tworzą się obrazy. Pozostałe zmysły także zbierają informacje, które mówią mi wszystko, o czym dotąd informowały oczy.

- Całkiem sprytna sztuczka. A ile palców teraz... auć! Uważaj, Vuffi Raa, za chwilę przekłujesz moją małżowinę!

-Przepraszam... mistrzu... ale... przyglądaj się... widokom za ścianami... To są pozostałości po pierwszych dużych... stworzeniach, jakie... zaczęły się pojawiać... na powierzchni tego świata.

Wybrana przez Vuffi Raa metoda porozumiewania mogła sprawiać wrażenie dalekiej od doskonałości, ale i tak w głosie małego androida zabrzmiało nieukrywane podniecenie. Lando zaczął się zastanawiać, co takiego podniecającego może być w widoku szczątków dawno wymarłych stworzeń, żyjących w prastarych morzach i oceanach. Wyglądały chyba zupełnie tak samo jak pozostałości po zwyczajnych jeżowcach, rozgwiazdach i

tak dalej. Może właśnie ten fakt wywierał takie wrażenie na androidzie. Jeżeli wziąć pod uwagę ich kształty, te stworzenia do pewnego stopnia były do niego podobne. Także miały pięcioboczne ciała, po pięć odnóży...

Fakt ten jednak zupełnie nie tłumaczył podniecenia, jakie nagle udzieliło się staremu Mohsowi.

- Zaiste! - wykrzyknął Śpiewak Toków. - Popatrzcie na szlachetne szczątki przodków Tych, których imienia nawet nie godzi się wymieniać w tym miejscu!

- Masz na myśli Sharów? - podsunął buntowniczo Calrissian, który nie znosił pustostowania, nawet wówczas, jeżeli chodziło o słuszną sprawę.

- Tak, kapitanie - westchnął zrezygnowany starzec. - Mam na myśli Sharów.

Bez względu na to, czyimi mogły być przodkami, za przezroczystymi ścianami przesuwali się jedynie szczątki niegdyś oślizgłych szkarłupni.

Godziny wlokły się i ciągnęły chyba bez końca. Raz po raz to android, to znów Mohs wpadali w uniesienie na widok tego, co widzieli za ścianami. W pewnej chwili Lando ziewnął, a potem doszedł do wniosku, że powinien wyciągnąć się na ruchomej powierzchni podłogi. Ułożył kurtkę w taki sposób, żeby kaptur znalazł się pod głową, po czym wcielił pomysł w życie. Zamierzał się zdrzemnąć.

Podłoga była wytrzymała, ale sprężysta, a co najważniejsze - ciepła.

Okazało się jednak, że nawet podczas snu nie przestawał zapoznawać się z naukowymi informacjami. Śledził powolny, ale nieustanny proces - mimo iż każdy etap przyprawiał go o mdłości - poczynawszy od mikroskopijnych, obrzydliwych jednokomórkowych mieszkańców przypominających zawiesinę prastarych oceanów, przez pierwsze kolonie organizmów i wielokomórkowców do obdarzonych kręgosłupem i nogami stworzeń, które w końcu wygramoliły się na ląd stały.

Dziwne, ale im bardziej rozwijały się owe nierzeczywiste stworzenia, coraz wyżej wspinając się po szczeblach drabiny ewolucji, tym mgliściej i mniej wyraźnie malowały się w umyśle Calrissiana. Niesamowite, mroczne cienie, posługując się ułamanymi konarami, walczyły z innymi cieniami. Inne, jeszcze trudniej uchwytnie plamy chwytały za te konary, żeby wyrwać w glebie bruzdy czy wykopać dołki i wrzucić w nie pierwsze ziarna. Lando odnosił wrażenie, że w czasach, kiedy praprzodkowie Sharów zaczęli zakładać prymitywne wioski, osady budowały się same, a później były zasiedlane przez niewidzialnych mieszkańców. Zaczęło się odkrywanie kontynentów, nastąpiła era migracji ludności. Wojny wygrywano i przegrywano, korzystając ze zdobyczy coraz szybciej rozwijających się technologii. Dokonywano odkryć, toczono jeszcze więcej wojen. Praprzodkowie Sharów wyruszyli na podbój przestworzy. Z początku badali je, podróżując w prymitywnych, napędzanych mieszkankami wybuchowymi wehikułach. Zapewne to właśnie oni pozostawili w tych przestworzach pierwszą porcję śmieci i odpadków, przez które musiał przelecieć „Sokół Milenium”, zanim wylądował na powierzchni Rafy Pięć.

Przez cały ten czas Lando stawał się coraz bardziej niespokojny. Jakiś dziwny ból czy ucisk sprawiał, że sen nie był taki przyjemny i kojący, jak powinien. Przez cały dzień na próżno zastanawiał się, jaki może być cel tej dziwnej podróży. Jeżeli chodziło o niego, nie miał wyboru. Musiał odnaleźć Myślöharkę, a później wymyślić sposób wydostania się z tunelu, opuszczenia ruin i powierzchni tej cuchnącej planety, a także całego systemu... najlepiej na zawsze.

Już nigdy więcej nie da się przytapać na sprowadzaniu mynocków do Rafy!

Ani cokolwiek innego.

Tymczasem uczucie niepokoju coraz bardziej się potęgowało, aż w końcu przemieniło się w coś graniczącego z prawdziwym bólem. Lando obracał się z boku na bok i rzucał, ale nie przestając śnić, spał nadal.

Przodkowie Sharów zbudowali drogi i domy, zupełnie podobne do tych, jakie wznosiły niemal wszystkie inne, zamieszkujące całą galaktykę cywilizowane istoty. Podróżowali we wnętrzach napędzanych pojazdów i po jakimś czasie dotarli do pozostałych planet systemu. Z początku warunki, panujące na niektórych światach, uznali za trudne i surowe, wskutek czego musieli zamieszkać pod kopułami albo nawet pod ziemią. W końcu jednak zaczęli przekształcać te planety na podobieństwo tej, z której się wywodzili.

Rafa Pięć nie zawsze przypominała jedną wielką pustynię. Pewną część jej powierzchni zajmowały morza i oceany, jeziora i lasy, a także zwieńczone śnieżnymi czapami górskie łańcuchy. Powietrze zawierało o wiele, wiele więcej wilgoci. Ta część umysłu Landa, która śniła, nie potrafiłaby określić, jak długo trwała taka sytuacja. Ile czasu potrzeba, żeby morza, jeziora i oceany wyparowały i przemieniły się w pustynię?

Stopniowo jednak - w miarę jak rozwój techniki zaczął przewyższać wszystko, co znała cywilizacja z czasów Calrissiana-kształty budowli zaczynały się zmieniać, a drogi zniknęły. Niewidzialne istoty, które stopniowo stawały się Sharami, nie toczyły już więcej wojen, ale w zamian za to zmagwały się ze środowiskiem. Żadna skalna bryła, wirująca po niezależnej orbicie wokół słońca Rasy, nie była zbyt mała, by nie mogła zostać przemieniona w ogród. Coraz mniej jasne stawało się jednak, właściwie jakiemu celowi miało to wszystko służyć. Miasta przestały przypominać cokolwiek, co miałoby jakiś sens. Pojawiły się pierwsze gigantyczne plastikowe budowle - właśnie na Rafie Pięć. W miarę upływu czasu, ozdobiły powierzchnie także innych planet.

Wszystko razem wyglądało jak prawdziwy koszmar. Lando kręcił się i wiercił; pocił się i wymachiwał rękami. W każdej krawędzi i ścianie budowli widział coś niewłaściwego. Wyglądało na to, że stawiane nowe gmachy nie pełniły jakichkolwiek funkcji. Szerokie chodniki nagle zwężały się i przemieniały w wąskie rury. Cienkie jak nitki przejścia stawały się szerokimi arteriami. W tym wszystkim nie było widać żadnego sensu. Oceany i morza kurczyły się, aż zniknęły całkowicie. Tam, gdzie kiedyś widniały jeziora, góry i lasy, pojawiły się wydmy, usypane z miękkiego czerwonego piasku. Czyżby coś złego stało się z dawnym środowiskiem Sharów, czy też może świadomie je przekształcali, bowiem nowe podobało im się bardziej?

Lando pograżył się jeszcze głębiej w odrętwieniu, w którym odczuwał ból, ale już nie śnił. Ostatnia myśl, jaka przyszła mu do głowy, była pytaniem: Czy średnica tego tunelu się nie zmniejszy, a niosąca ich coraz dalej beztłosna podłoga nie rozdrobni ich na kawałki?

Lando się obudził.

Kiedy jeszcze spał, przez ułamek sekundy miał wrażenie, że to wszystko jednak nie jest pozbawione sensu. Później wrażenie go opuściło, pozostawiając jedynie dokuczliwy, nasilający się ból w głowie.

- Vuffi Raa, nie śpisz? Na jakiś czas, dopóki nie przestanę mnie boleć głowa, poszukaj sobie innej grędy.

Obrócił się na plecy i wyciągnął na podłódze, pragnąc rozprostować kości po tym, jak sporą część czasu przespał, leżąc zwinięty w kłębek.

- Mistrzu nareszcie się obudziłeś jak się czujesz?

Lando usiłował usiąść, ale nagły impuls bólu sprawił, że zrezygnował i znieruchomiał.

- Powiedz to jeszcze raz, tylko trochę wolniej, dobrze? - Podstawił dłoń pod ucho. - Wskocz na chwilę, a wówczas może przejdzie mi ten ból głowy.

Poczuł, że jakieś piórko musnęło wnętrze dłoni. Ból z wolna zaczął ustępować. Pomyślał, że dzieje się coś zabawnego, ale nie mogąc pozbyć się resztek snu, nie potrafił powiedzieć, co takiego.

Tymczasem za ścianami przesuwwały się wciąż nowe warstwy geologiczne, tym razem

zawierające wyrzucone metalowe puszkę, plastikowe pojemniki, części maszyn i mechanizmów, a także urządzeń elektronicznych -wszystko wtopione w litą, twardą warstwę gleby. Ile czasu musi istnieć cywilizacja, żeby odbiorniki radiowe i telewizyjne przemieniły się w skamielinę?

- No, dobrze, a teraz powtórz, mój mały, co właściwie mi powiedziałeś.

- Tylko... pozdrowiłem... cię... mistrzu... i zapytałem... jak... się... czujesz.

- Paskudnie. Miło z twojej strony, że mnie o to zapytałeś. Czy w nocy wydarzyło się coś ciekawego?

Lando zaczął szperać po kieszeniach, licząc na to, że uda mu się znaleźć następnego papierosa. Zastanawiał się nad tym, jaką część batonu odżywczego zjeść na śniadanie.

- Na... zewnątrz... panuje... teraz... noc... mistrzu... Przespałeś... cały... dzień.

- Nie sądzę, żeby sprawiało to nam jakąś różnicę. A gdzie jest Mohs?

Lando rozejrzał się, ale nigdzie nie zobaczył starego Śpiewaka. Możliwe, że...

- Kto... mistrzu?

- Wygląda na to, że mamy drobne kłopoty ze zrozumieniem się nawzajem. Zapytałem cię, gdzie jest Mohs. Czy dokądś poszedł? Co się z nim stało?

- Mistrzu... muszę ci... coś powiedzieć.

- Co takiego, stary wkrętaku?

- Wydaje mi się... z pomiarów... że się kurczysz.

- Co takiego?

- Wszystko się kurczy... Z każdym kilometrem nasz tunel... staje się coraz węższy... Ty skurczyłeś się na tyle... że mój ciężar... .. przyprawia cię o ból głowy... Dotychczasowe tempo... z jakim wypowiadałem słowa... okazuje się trochę za szybkie... Osiągamy porównywalne rozmiary... Niedługo czasy w naszych światach... zaczną płynąć w tym samym tempie.

- Równie dobrze może to oznaczać, że ty rośniesz. Czy kiedykolwiek pomyślałeś o takiej ewentualności?

Lando przyjrzał się uważnie małowemu robotowi, spoczywającemu nieruchomo w zagłębieniu dłoni. Zaraz, zaraz... Poprzednio oceniał, że Vuffi Raa ma jakieś trzy milimetry średnicy. Tak, nie ulegało wątpliwości - android był teraz prawie dwa razy większy. Hazardzista uświadomił sobie, że czuje jego ciężar w dłoni.

- Tak... Zastanawiałem się nad tym... Myślę, że to ty się kurczysz.

- No cóż, a ja myślę, że to ty rośniesz. A co z Mohsem?

- Kim... mistrzu... Kim jest Mohs?

- Vuffi Raa, nie rób sobie takich żartów! Mohs - Naczelny Śpiewak Toków! No, wiesz, ten staruszek, który nas tu przyprowadził. Mohsie!

Zapadła długa, bardzo długa cisza. Zminiaturyzowanemu robotowi musiała się wydawać całą wiecznością.

- Mistrzu... - przerwał ją w końcu Vuffi Raa. - Nie przypominam sobie... żadnego Mohsa... Jesteś pewien, że się dobrze czujesz?

ROZDZIAŁ XVII

Nie przestawali się sprzeczać, mimo iż ruchoma podłoga niosła ich coraz dalej i dalej.

- A kogo spotkaliśmy w tamtym barze? Kto zaśpiewał kilka Pieśni, które wskazały nam Rafę Pięc jako miejsce ukrycia Myślöharki?

- No cóż, mistrzu, widocznie coś, co powiedział ci Rokur Gepta, musiało podsunąć ci jakiś

pomysł albo po prostu to odgadłeś. Muszę przyznać, że miałeś dobrego nosa, mistrzu. Okazało się, że zgadłeś prawidłowo.

- Niech ci będzie. A co, do diabła, powiesz na ten tłum dzikusów, żegnających nas w kosmoporcie? Kto dyrygował śpiewem tych tubylców?

- Ależ nikt nim nie dyrygował, mistrzu. Tokowie po prostu śpiewali, co chcieli i jak chcieli. Wyglądało na to, że czynią to spontanicznie.

- Arghhhh! Niech będzie. A dlaczego wyładowaliśmy akurat u stóp piramidy... Nieważne, znam odpowiedź. Była największą budowlą na całej planecie. Powiedz mi w takim razie: Jeżeli nie istniał żaden Mohs, kto urządził na nas tę zasadzkę? Kto zrobił z ciebie sito i kto zaprowadził mnie, żebym zginął w życiokryształowym sadzie?

- Rzecz jasna, tubylcy, mistrzu. Ale nie rozkazywał im żaden wódz, szaman, czarownik czy ktokolwiek inny. Tokowie nie są na tyle inteligentni, żeby chcieli albo mogli sobie go wybrać.

- Ale skonstruować kusze? Posłuchaj, Vuffi Raa, ale z całą pewnością nie wymyśliłem tej historii z jaszczurką. Nie mógłbym.

- Co chcesz, żebym ci na to odpowiedział, mistrzu?

- Chcę, żebyś uczciwie przyznał, że tylko żartowałeś. Chcę, żebyś mnie przeprosił i obiecał, że odtąd będziesz zawsze posłusznym, grzecznym androidem. - Lando potrząsnął plastikowym pudełkiem. Niestety, nie znalazł w środku ani jednego papierosa. - Życie w tych czasach czasami lubi płać irytujące figle.

Vuffi Raa stał na ruchomej podłodze obok kolana leżącego Calrissiana. Nadal rósł. Miał teraz pięć albo sześć centymetrów wysokości i do złudzenia przypominał któregoś z tropikalnych pajaków, żywiących się ptakami.

- Bardzo pragnąłbym spełnić twoje życzenie, mistrzu - zaskrzeczał, mimo iż już nie musiał dzielić zdań na pojedyncze wyrazy ani grupy wyrazów. Nie przestał jednak wymawiać ich bardzo powoli, żeby jego gigantyczny właściciel mógł je zrozumieć. - Jakież mógłbym mieć powód, aby cię okłamywać, mistrzu?

Lando zgniótł pudełko i uniósł rękę, zamierzając je odrzucić, ale spojrzawszy w prawo i w lewo, uświadomił sobie, że lśniąca podłoga jest nieskazitelnie czysta. Widocznie zmienił zdanie, gdyż schował pudełko do kieszeni.

- Nie oskarżam cię o to, Vuffi Raa, że kłamiesz - odparł. - Po prostu jeden z nas jest w błędzie, to wszystko. Na Wiekuiste Jądro, mogę ci opisać staruszka z najdrobniejszymi szczegółami, począwszy od tatuażu na pomarszczonym czole, a skończywszy na brudnych, pomarszczonych stopach!

Vuffi Raa nic na to nie odpowiedział. Po prostu stał na ruchomej podłodze i rósł - albo obserwował, jak kurczy się jego właściciel. To była druga sprawa, co do której obaj nie mogli się zgodzić. Doszli jednak do wniosku, że czują się zbyt zmęczeni, by się kłócić.

Czuli się również zbyt zmęczeni, aby pytać jeden drugiego, kiedy ta podróż się zakończy. W pewnej chwili Lando wyjął talię kart do gry w sabaka i nie zastanawiając się nad tym, co robi, zaczął je tasować. Vuffi Raa przyglądał się temu, wyrażnie zaciekawiony.

- Czy wiesz, stary pięcionogu, że takimi przedmiotami posługiwano się także w celu przepowiadania przyszłości?

Ponownie przetasował karty, odruchowo przełożył i zaczął układać przed sobą na sunącej podłodze.

- To bardzo irracjonalne i mało naukowe zajęcie, mistrzu.

- Nie nazywaj mnie mistrzem. Chyba wiem, o co ci chodzi... Mimo to układanie kart czasami pomaga mi rozwiązać jakiś problem - dzięki temu, że pozwala spojrzeć nań pod innym kątem, o którym przedtem nawet nie myślałem.

- Słyszałem, jak o tym mówiono, mistrzu, ale jeżeli poszukujesz przypadkowych bodźców,

czasami taki sam skutek odnosi silny cios, wymierzony w tył głowy.

To prawda - pomyślał Calrissian. - Potrzebuję innego automatu, z którym mógłbym się przekomarzać. Pierwszą kartą, jaką położył, okazał się Dowódca klepek - karta, którą często utożsamiał ze sobą. Zaczął się zastanawiać nad tym, czy przypadkiem położenie jako pierwszej właśnie tej, prawidłowej karty - a zdarzało się to całkiem często - nie przydaje jego „naukowej” analizie wszelkich pozorów wiarygodności.

- To ja - wyjaśnił, zwracając się do robota. - Osoba, wysłana na bezowocne poszukiwania. Przekonajmy się, co stoi na jej drodze. - Położył drugą kartę, w taki sposób, żeby częściowo zakryła pierwszą. - Wielkie nieba! - wykrzyknął, zdziwiony i przerażony.

- Co się stało, mistrzu?

- Nie co, ale kto. To On we własnej osobie. Zły. Diabeł. Domyślam się, że musi oznaczać Rokura Geptę. Ale uwaga... Karta zaczyna się zmieniać...

Jak mają zwyczaj czynić od czasu do czasu karty do sabaka, druga karta przemieniła się w Legata monet - ale wizerunek leżał odwrócony „do góry nogami”.

- Duttess Mer! - roześmiał się Lando. - Chyba nikt bardziej niż on nie może być skorumpowany i zdeprawowany. No cóż, to wszystko ma sens - nawet wówczas, jeżeli nie mówi nam niczego nowego. Zobaczmy, co dalej.

Trzecią kartę położył tak, że przykryła dwie pierwsze. Wyjaśnił, że piątka szabla oznacza świadome pobudki, jakimi się kieruje - w tym przypadku pragnienie uwolnienia osób słabych i nieostrożnych od nadmiaru zbytecznej gotówki. Zachichotał, po czym czwartą kartę położył poniżej poprzednich, ponieważ miała oznaczać ukryte, często podświadome motywy postępowania. Spojrzał na nią i jęknął.

- Legat klepek. Tylko nie mówcie mi, że w głębi serca jestem dobroczyńcą albo naiwniakiem.

- Mistrzu, karty rozłożyły się w przypadkowy sposób. Nie traktuj tego aż tak poważnie. Lando popatrzył uważnie na małego androida.

- Wydaje mi się, że przed chwilą zostałem znieważony. No cóż, następna karta powinna powiedzieć nam coś nowego. Przedstawia przeszłość, czyli to, co właśnie dobiega końca.

Piątą kartą okazała się szóstka szabla. Lando umieścił ją na lewo od poprzednich.

- Oho! - powiedział. - Ta karta oznacza zazwyczaj ekspedycję albo wyprawę, a to może stanowić wskazówkę, że nasza podróż niedługo się zakończy. Co sądzisz o tym, Vuffi Raa?

- Sądzę, mistrzu, że wszystkie podróże kończą się wcześniej albo później w jakiś sposób - ale nie wszystkie sposoby są tak samo przyjemne albo pożyteczne.

- Chyba właśnie dlatego szukam twojego towarzystwa - mruknął Lando. - Żebyś ściągał mnie na ziemię, ilekroć znajduję się w zbyt dobrym humorze, i przypominał, że każda jasna strona ma swoją ciemną podszewkę. Posłuchaj, czy wiesz, że z każdą chwilą stajesz się coraz większy i masz teraz jakieś osiem czy dziewięć centymetrów wysokości? Twój głos również ulega stopniowej zmianie.

Mały robot nie odpowiedział, ale przyglądał się, jak Lando kładzie następną kartę, tym razem po prawej stronie czterech, leżących pośrodku.

- Płomienie i głód! Popsuleś całą zabawę, Vuffi Raa! To J oznacza zniszczony gwiazdny statek!

- Czy to znaczy, że coś złego stanie się z „Sokołem Milenium”, mistrzu? - zaniepokoił się android.

- Nie nazywaj mnie mistrzem. Myślałem, że nie wierzysz w nic z tego, co ci mówię.

- Nie wierzę. Ale co to oznacza?

- Kataklizmowe zmiany w najbliższej przyszłości. Śmierć i zniszczenia. To mogła być

najgorsza karta z całej talii. Mogła. Jednego się nauczyłem, rozkładając karty - że zawsze pojawia się jakaś gorsza od najgorszej. Następna powie nam, co nas czeka i jak na to zareagujemy.

- My, mistrzu?

- Masz ci los! Wspaniale... Satelita. Oznacza mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy - takich, które na ogół nie oglądają dziennego światła. Zazwyczaj utożsamia się ją z podstępem, oszustwem i zdradą. - Hazardzista po raz drugi popatrzył uważnie na małego robota. - Czy przypadkiem nie przygotowujesz się, żeby mnie oszukać, mechaniczny sługo?

- Widzisz, mistrzu, jakie niebezpieczeństwa mogą się kryć, jeżeli ktoś daje wiarę takim przepowiedniom? Ufałeś mi, zanim zacząłeś rozkładać te karty-płytki, prawda?

- I nadal ci ufam, Vuffi Raa. Następna karta, którą położę tuż nad Satelitą, powinna nam powiedzieć, gdzie znajdziemy się w najbliższej przyszłości. Hmmm... Ciekaw jestem, co to może oznaczać?

Na awersie karty-płytki błyszczało wielkie Koło, oznaczające los - zarówno dobry, jak i zły - a także początek i koniec jakiejś sprawy, losowy wybór i końcowy wynik. Koło nie pozwoliło Calrissianowi na wyciągnięcie jakiegokolwiek wniosku.

Trzecia karta, położona po prawej stronie, nad Satelitą i Kołem, powinna symbolizować przeszkody, jakie pojawią się w przyszłości. Lando skrzywił się, kiedy spojrzał na położoną kartę.

- To znów Gepta! No cóż, przypuszczam, że to ma sens. Czy chcesz się przekonać, stara pozytywko, jak to wszystko się zakończy? I tak się przekonasz. Nie masz wyboru. A zatem, do dzieła! No cóż, mimo wszystko, mogło być gorzej. To Wszechświat. Oznacza, że spróbujemy zrobić wszystko, co zechcemy. Przyłączmy się do rasy istot ludzkich i zobaczymy kawał wszechświata. Coś w tym rodzaju.

- Mistrzu.

- Tak, Vuffi Raa, o co chodzi?

- Mistrzu, ta szóstka szabla. Czy oznacza, że nasza podróż dobiegnie końca?

- Właśnie to powiedziałem, chociaż może oznaczać kilka innych rzecz, na przykład...

- Mistrzu, nasza podróż dobiega końca - wpadł mu w słowo mały android.

Wszystko przemawiało za tym, że ma rację. Podłoga zaczęła zwalniać, kiedy zbliżyli się do ogromnej bramy, stanowiącej wjazd do gigantycznego pomieszczenia, w którym można byłoby zaparkować całą flotę gwiazdnych statków. Daleko, bardzo daleko, majaczyło coś, co wyglądało jak ołtarz albo podwyższenie. Skupiały się na nim wszystkie snopy światła, padające z wielu punktów przypominającej wielką grootę hali.

Nawet znajdując się w odległości kilkuset metrów, Lando widział, że na ołtarzu spoczywa Myśloharfa Sharów. Kiedy na nią patrzył, bolały go oczy.

ROZDZIAŁ XVIII

Okazało się to nie takie łatwe, na jakie z początku wyglądało.

Oprócz ołtarza czy podwyższenia, gdzie umieszczono Myśloharfę albo gigantyczną kopię Klucza, którym posłużył się Lando i który później połknęła ściana piramidy, w ogromnej hali znajdowało się wiele innych rzeczy.

- Czy rozumiesz coś z tego, Vuffi Raa?

Sięgający teraz do kolana Calrissiana android spoglądał na ponurą salę, zalaną takim samym jaskrawym blaskiem, jaki zalewał tunel, którym dotąd podróżowali. Światło miało ciemnobursztynową barwę i sprawiało wrażenie, że promieniuje z podłogi. Pod ścianami podobnego do gigantycznego audytorium pomieszczenia ustawiono przedmioty,

wyglądające jak coś pośredniego między rzeźbami a malowidłami. Przypominały hazardziste obrazy, trochę podobne do tych, jakie widział we snach poprzedniej nocy. Przy samym wejściu umieszczono kudłate stworzenia, które nie umiały chodzić wyprostowane i z trudem utrzymywały się na dwóch nogach. Gdyby nie to, że pozostawały nieruchome, można byłoby pomyśleć, że powłóczą nogami. Nieco dalej było widać istoty coraz wyższe, smuklejsze i stojące prosto, a jeszcze dalej inne, trzymające jakieś przedmioty i odziane nie w skóry czy futra, lecz w normalne ubrania.

Lando i Vuffi Raa podążali wzdłuż jednej ściany, która bardzo łagodnie się zakrzywiała. Stanowiła boczną płaszczyznę podobnej do gigantycznego walca komnaty, w której złożono drogocenny artefakt. Obaj zdążyli przejść zaledwie kilka metrów, kiedy zauważyli, że wtopione w ścianę postacie zaczynają eksperymentować z silnikami spalinowymi i napędami rakiet. Zorientowali się, że przed nimi rozciągają się wszystkie niezliczone stulecia bogatej historii.

Ponieważ robot nie odzywał się ani słowem, Lando obdarzył go zaniepokojonym spojrzeniem. Zauważył, że rubinowe oko jarzy się jakimś dziwnym blaskiem... a może tylko takie wrażenie wywoływał dziwny blask, wydobywający się z podłogi?

- Vuffi Raa, słyszałeś, o co pytałem?

- Ależ tak, Lando - odparł Vuffi Raa, chyba wyrwany z dziwnego zamyślenia albo transu. - Pytałeś mnie, czy coś z tego rozumiem. To samo, co ty. Przebywamy w wielkiej hali, która musi być jakimś ośrodkiem kultury Sharów. A przynajmniej nim była, kiedy odlatywali. I jeszcze to, że Myślöharka ma większe znaczenie, niż początkowo przypuszczaliśmy.

Lando musiał przyznać, że taka myśl nie przyszła mu do głowy. Przypuszczał, że wielka hala jest miejscem jakiegoś kultu, a widoczne w ścianach postacie są ludźmi - Tokami. Podejrzewał, że dziwne płaskorzeźby opowiedzą mu historię rozwoju cywilizacji istot, mieszkających kiedyś na jakiejś odległej planecie, i pozwolą zrozumieć pobudki, jakimi się kierowały, zanim zdecydowały się przylecieć do systemu Rify. Spodziewał się, że podążając wzdłuż ściany, dowie się, gdzie i kiedy Tokowie spotkali się z Sharami, i jak to się stało, że uznali ich za swoich władców.

Mimo to nie uśmiechało mu się czekać tak długo na wyjaśnienia.

- Mam już dosyć tych historycznych bzdur - oznajmił w pewnej chwili. - Idę na skróty. Idziesz ze mną?

Vuffi Raa odwrócił się od ściany i nadal nie mówiąc słowa, podążył za nim.

Okazało się wkrótce, że i ta wyprawa miała zająć bardzo dużo czasu. Wszystko świadczyło o tym, że Sharowie odkryli tę samą tajemnicę, którą znało wielu ludzi, mieszkających na różnych światach. Wiedzieli, że jeżeli podłoga w gmachu, mieszczącym jakąś instytucję użyteczności publicznej, będzie dostatecznie gładka, wyslizgana i wypolerowana, zmusi to zwiedzające gmach istoty do stawiania drobnych kroków, wskutek czego wszystkie odległości wydadzą się większe, a widzowie spokojnieją. Temu samemu celowi miało służyć powiększanie wysokości hali.

Lando nie miał zamiaru dać się nabierać na takie sztuczki. Przebiegł kilka kroków, po czym przejechał po podłodze jak po lodzie.

- Fiu! Ale zabawa! No, dalej, stary hochsztaplerze, sam się przekonaj!

- Mistrzu! - odezwał się mały android tonem, w którym zabrzmiało niedowierzanie i oburzenie. - Czy nie czujesz ani odrobiny szacunku?

Lando znieruchomiał i obdarzył Vuffi Raa poważnym spojrzeniem.

- Ani krzty - przyznał. - A przynajmniej nie wówczas, kiedy zmusza mnie do niego wystrój architektoniczny.

Odwrócił się, znów przebiegł kilka kroków i przejechał po podłodze, tym razem aż kilka metrów. Robot musiał przyspieszyć, aby nie pozostać z tyłu. Kiedy znów znalazł się u

boku Calrissiana, miał niemal taką samą wysokość jak wówczas, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

- Posłuchaj, Lando - zaczął. - Jeżeli już mówimy o architekturze, w tej hali zauważyłem coś dziwnego.

Lando musiał przystanąć, żeby uspokoić oddech. Nawet usiadł na podłodze.

- To by się zgadzało ze wszystkim innym, co widzimy w tym pomieszczeniu. Co takiego zauważyłeś tym razem?

- No cóż, kiedy znajdowaliśmy się w pobliżu wejścia, hala sprawiała wrażenie wielkiego cylindra, zwieńczonego półkulistą kopułą, a odległość w prostej linii od bramy do ołtarza wynosiła jakieś tysiąc metrów.

Lando spojrzał w jedną i w drugą stronę.

- Nadal wygląda na taką samą.

- Mnie również się tak wydaje, jeżeli posługuję się narządem wzroku. Mój radar i kilka innych czujników mówią jednak, że hala ma kształt wielkiego nieforemnego jaja... szerszego w jednym krańcu i węższego w drugim. W tym szerszym umieszczono wejście. Co więcej, im dalej idziemy, tym sufit znajduje się coraz niżej.

Lando poczuł, że na mgnienie oka utworzył mu się w głowie jakiś wizerunek, który już kiedyś widział we śnie. Pierwszy taki obraz wywołało coś, co Vuffi Raa powiedział wcześniej - coś na temat tego, że to nie on, robot, się powiększa, tylko Lando się kurczy. Gdyby miało to się okazać prawdą, rozmiary niosącego ich taśmociągu musiałyby się kurczyć, a przecież w ciągu całej dwudniowej wyprawy sklepienie tunelu pozostawało stale na takiej samej wysokości. Z początku hazardzista wydawał się mikroskopijnemu androidowi gigantem, mającym jakieś sto dziesięć czy sto dwadzieścia metrów wzrostu; teraz zaś liczył ponownie trochę mniej niż dwa metry. Gdyby podejrzenia Vuffi Raa miały okazać się prawdziwe, rozmiary korytarza powinny w takim samym stopniu się zmniejszać.

A gdyby tempo przyszłych zmian nie miało ulec żadnym zmianom, Vuffi Raa i Calrissian wyglądaliby jak gigant z karzełkiem, kiedy obaj dotarliby do stóp ołtarza. Musieliby iść na czworakach, aby dotrzeć do Myślöharki.

- STAĆ - rozległ się nagle czyjś głos.

- Co takiego? - zawołali równocześnie Vuffi Raa i hazardzista.

- CHODZENIE NA SKRÓTY ŚRODKIEM SALI JEST ZABRONIONE.

- A co się stanie, jeżeli jednak to zrobimy? - zainteresował się Lando.

Głos nie od razu odpowiedział, a kiedy w końcu to uczynił, sprawiał wrażenie zaskoconego.

- NO CÓŻ, CHYBA TEGO NIE WIEM. NIKT NIGDY O TO NIE ZAPYTAŁ. ALE TO JEST ZABRONIONE.

Lando otworzył usta...

- A kim ty, do diabła, jesteś, na wielką Halę? - zapytał mały android.

Lando obdarzył go zdumionym spojrzeniem. Nie cierpiał, ilekroć ktoś uprzedzał go w wypowiedaniu kąśliwych uwag. Prawdę mówiąc, zamierzał zadać to samo pytanie.

- ALEŻ TO WŁAŚNIE JA JĘSTEM HALĄ. ZANIM ZBLIŻYCIE SIĘ DO ŚWIĘTEGO ARTEFAKTU, POWINNIŚCIE ZAPOZNAĆ SIĘ ZE WSZYSTKIMI EKSPONATAMI.

- A twoje zadanie polega na upewnieniu się, że żadnego nie przeoczymy? - podsunął Lando. - No cóż, Halo, na początku wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy. Dotychczas dawałem się biernie wciągać w to, co mi się przytrafiało. Teraz jednak nie zamierzam pozwalać, aby jakiś pusty pokój mówił mi, co mam, a czego nie mam robić. Powiedz mi prawdę: Czy coś niebezpiecznego albo złego grozi komuś, kto nie popełni wzdłuż ściany jak pokorny robak?

- NIE, CHYBA NIC MU NIE GROZI.
- No cóż, w takim razie myślę, że nie posłuchamy twojej rady. Czy przypadkiem, Halo, nie mogłabyś poczęstować mnie papierosem?
- OBAWIAM SIĘ, ŻE NIE MAM POJĘCIA, O CO CI CHODZI.
- Spodziewałem się, że usłyszę właśnie taką odpowiedź. Chodźmy dalej, Vuffi Raa. Poszli dalej samym środkiem wielkiej sali. Od czasu do czasu Lando ślizgał się, by zademonstrować, że nie stracił animuszu. Macki małego robota lśniły, posyłając we wszystkie strony błyski dziwnego światła. Nagle hazardziście przyszedł do głowy pewien pomysł.
- Hej, Halo, jesteś tam?
- TAK. CZY POSTANOWILIŚCIE WRÓCIĆ POD ŚCIANĘ?
- Nie. Byłem tylko ciekaw, ile możesz wiedzieć o tym miejscu.
- O SOBIE?
- Nie, o piramidzie, ruchomej podłodze i tunelu, którym się tu dostaliśmy. Zapadła krótka cisza. Widocznie Hala zastanawiała się nad tym, co odpowiedzieć.
- BARDZO DUŻO. CZEGO DOKŁADNIE CHCIAŁBYŚ SIĘ DOWIEDZIEĆ?
- No cóż, na początek tego, ile mam wzrostu. Tym razem cisza trwała o wiele dłużej.
- W JAKICH JEDNOSTKACH?
- Daj sobie z tym spokój. Naprawdę chciałbym się dowiedzieć tylko tego, czy kiedy znajdowaliśmy się jeszcze w odległości kilku kilometrów od ciebie, ja byłem gigantem, a mój mechaniczny przyjaciel małą mrówką.
- CZY TO MA JAKIEŚ ZNACZENIE?
- Oczywiście, że ma! Czy pytałbym cię o to, gdyby nie miało?
- Organiczne istoty czasami lubują się w robieniu rzeczy, które nie służą jakimkolwiek celowi - wtrącił się Vuffi Raa. - W tym przypadku jednak, Halo, ja także jestem zainteresowany twoją odpowiedzią.
- Właśnie - poparł go Lando, który przez kilka ostatnich sekund wstrzymywał oddech.
- To dla nas ważne, żebyśmy mogli rozstrzygnąć różnicę poglądów, jaką mieliśmy na temat ludzkich słabostek. Rozegraj to dobrze, Vuffi Raa. Uśmiechnij się do tej Hali, a może wówczas przemieni cię w budkę telefoniczną albo coś podobnego.
- ZMIANY ROZMIARÓW, JAKIE TU ZACHODZĄ, DOTYCZĄ ORGANICZNYCH FORM ŻYCIA. STANOWI TO NIEZBĘDNY ELEMENT PROCESU, KTÓREGO OSTATECZNYM ETAPEM JEST ODBYCIE WĘDRÓWKI PO OBWODZIE TEJ HALI, JAK Z POCZĄTKU ZAMIERZ...
- Daj sobie spokój ze sloganami reklamowymi - przerwał ha-zardzista - i przejdź do sedna wyjaśnienia.
- JAK PAN SOBIE ŻYCZY. APARATURA DYSPONUJE MOŻLIWOŚCIĄ POWIĘKSZANIA ALBO ZMNIEJSZANIA TAKŻE NIEORGANICZNYCH FORM MATERII, POD WARUNKIEM, ŻE ICH ROZMIARY SĄ ZBLIŻONE DO ROZMIARÓW ISTOT ORGANICZNYCH. W PRZECIWNYM SĄ ZIE ISTOTY NIEORGANICZNE SĄ POCHŁANIANE PRZEZ URZĄDZENIA ZAJMUJĄCE SIĘ NAPRAWAMI.
- Vuffi Raa opisał wędrówkę przez labirynt, w którym ściany miały jasnoblękitną albo purpurową barwę.
- Czy możesz powiedzieć, co właściwie mi się przydarzyło?
- OCZYWIŚCIE. OMYŁKOWO ZOSTAŁEŚ UZNANY PRZEZ ŚCIANĘ ZA NIEWIELKI SPRZĘT GOSPODARSTWA DOMOWEGO I PRZETRZYMANY TAM W CELU DOKONANIA NAPRAWY I PRZEPROGRAMOWANIA. CZY ZOSTAŁEŚ NAPRAWIONY?
- Nic mi nie wiadomo na ten temat. Lando wybuchnął gromkim śmiechem.
- Czy nie bierze cię chętka, żeby coś odkurzyć albo wyrzucić śmieci?
- Lando, to poważna sprawa. Chcę wiedzieć, co się ze mną działo!

- Jaki wrażliwy! No dobrze, przyznaję, że miałeś rację. Urosłem, a później się skurczyłem. Ale jest jedna rzecz, której ci nie daruję. Mohs. Hala powiedziała, że te zmiany dotyczą organicznych form życia. Użyła liczby mnogiej.

- CAŁKIEM SŁUSZNA UWAGA, PROSZĘ PANA. ORGANIZMY W PAŃSKIM WNĘTRZU I WSZYSTKIE SYMBIONTY TAKŻE NAJPIERW ULEGŁY ZWIĘKSZENIU, A PÓŹNIEJ ZMNIEJSZENIU, AŻ POWRÓCIŁY DO POPRZEDNICH ROZMIARÓW. WSZYSTKO TO MIAŁO NA CELU...

- A co z Mohsem? - przerwał hazardzista. - Czy kiedy przeszliśmy przez ścianę piramidy, towarzyszyła nam jeszcze jedna ludzka istota? Co się z nią stało?

Zapadła cisza - przesiąknięta poczuciem winy, o ile to było możliwe. Nagle Lando uzmysłowił sobie, że związki, jakie zachodziły między mechanicznymi inteligentnymi istotami, tylko niewiele różniły się od tych, jakie łączyły istoty organiczne.

- No, i? - zapytał, kiedy cisza się przeciągała. Nie uzyskał odpowiedzi.

Popatrzył na Vuffi Raa.

- Ta rzecz uznała cię za uszkodzony automat naprawczy i usiłując cię zreperować, skasowała część zawartości pamięci. To dlatego nie mogłeś przypomnieć sobie Mohsa. A teraz zapewne odczuwa coś w rodzaju wstydu.

Vuffi Raa spojrzał na Calrissiana.

- Mam nadzieję, że tak było, mistrzu. Mam nadzieję, że tak było. Co zrobimy, kiedy dotrzemy do Myśloharfy?

- CŚŚŚ! Tutaj ściany mają uszy! Posłużymy się nią w taki sposób, w jaki zamierzali twórcy czy konstruktorzy... a raczej zabierzemy ją do kogoś, kto będzie wiedział, jak to zrobić, i pozwolimy, żeby zrobił z niej użytek.

- Masz na myśli gubernatora?

- Tę tłustą małpę? Nie, miałem na myśli Geptę. W rzeczywistości to on wydaje rozkazy i to on wie, kiedy odlecimy z tego parszywego systemu.

Ruszyli dalej, ale nie przestali ponawiać raz po raz prób zwrócenia na siebie uwagi Hali. Ponieważ było oczywiste, że nigdzie się nie zawieruszyła, musiała zacząć ignorować fakt ich obecności. W końcu dotarli do stóp podwyższenia, na którym spoczywała Myśloharfa. Okazało się, że ich sytuacja nie wyglądała tak źle, jak obawiał się Calrissian. Sufit rzeczywiście znajdował się o wiele niżej - mały android osiągnął takie same rozmiary, jakie miał na początku - a pomieszczenie, aczkolwiek nadal ogromne i budzące grozę, obecnie sprawiało wrażenie trochę mniejszego.

Mimo to ołtarz wznosił się na wysokości kilkunastu metrów. Sporządzony z jednego kawałka idealnie przezroczystego materiału, którym był zapewne życiokryształ, miał kształt prawidłowego sześciokątnego graniastosłupa o krawędziach tak ostrych, że można było się skaleczyć albo zranić.

Lando pomyślał, że wspinaczka będzie trwała bardzo, bardzo długo.

Usiadł, żeby zastanowić się, co robić w takiej sytuacji. W komplecie przedmiotów, rzekomo umożliwiających przeżycie w każdej sytuacji, nie znalazł ani liny, ani przyssawek, ani antygravitatora. Widocznie projektanci zestawu spodziewali się, że używająca go osoba znajdzie się w towarzystwie innych - kolegów żołnierzy którzy będą dysponowali pozostałymi niezbędnymi przedmiotami i użyczą ich, kiedy zajdzie potrzeba. Nie pomyśleli o sytuacji, w której przeżycie będzie wiązało się z koniecznością dokonania włamania.

- Masz jakiś pomysł, Vuffi Raa?

- Nie, mistrzu. Gdybym mógł być znów mały...

- Nigdy nie byłeś mały, nie pamiętasz? Mieliśmy niewielką sprzeczkę na ten temat i okazało się, że miałeś rację.

- Ach, tak, prawda. Ale ty przedstawiałeś swoje zdanie tak przekonująco, że na chwilę o

tym zapomniałem.

- Vuffi Raa, to chyba najmiłszy komplement, jaki usłyszałem od ciebie, odkąd się znamy.

- Cała przyjemność po mojej stronie, mistrzu.

- Nie nazywaj mnie mistrzem - odpowiedział machinalnie Lando. Przez chwilę się nad czymś zastanawiał, a później zawołał:

- Hej, jesteś tam, Halo?

- CZY MOGĘ W CZYMŚ POMÓC?

- Myślę, że tak. Jak to się stało, że przedtem nie odpowiedziałas na moje pytanie?

- PRZEPRASZAM. CHYBA SIĘ ZAMYŚLIŁAM. CZY MOGĘ TERAZ W CZYMŚ POMÓC?

- Jasne. Czy ta kolumna nie może zagłębić się w podłodze albo coś w tym rodzaju?

- OBAWIAM SIĘ, ŻE NIE.

- Nie masz przypadkiem pod ręką jakiejś drabiny, prawda?

- NIE, PROSZĘ PANA. NIE WYPOSAŻONO MNIE W TAKIE PRZEDMIOTY.

Tym razem Lando się zamyślił. Chociaż tak długo spał, czuł się głodny i zmęczony. Mimo zapewnień producentów kurtki, racje żywnościowe nie wystarczyły na długo. Prawdę mówiąc, Lando podejrzewał, że ze strony producentów to jeszcze jeden chwyt reklamowy. Ważne jednak, że batony odżywcze utrzymały go przy życiu.

- Posłuchaj! Czy możesz mnie znów powiększyć?

- GRATULUJĘ PANU. WŁAŚNIE ZDAŁ PAN EGZAMIN. TAK JEST, MOGĘ POWIĘKSZYĆ PANA ROZMIARY. CZY CHCE PAN, ŻEBYM ZACZYNAŁA?

- A czy później będziesz mogła znów zmniejszyć mnie do normalnych rozmiarów? - zapytał hazardzista. - Do takich, jakie mam teraz - zakładając, że są takie same, jakie miałem, zanim wszedłem do tamtej piramidy.

- NATYCHMIAST, KIEDY WYRAZI PAN TAKIE ŻYCZENIE.

Lando popatrzył na Vuffi Raa.

- No cóż, znów zaczynamy.

- My, mistrzu?

- Och, daj spokój, nie zaczynaj od nowa. No, dobrze, Halo, zabieraj się do dzieła!

Tym razem cały proces przebiegał tak szybko, że Lando był w stanie śledzić zachodzące różnice. Obserwował, jak pomieszczenie i wszystkie znajdujące się w nim przedmioty się kurczą, Vuffi Raa maleje, a ołtarz się obniża. Wszystko trwało zaledwie kilkanaście sekund.

- Jak, do diabła, funkcjonuje ten mechanizm, Halo? - zapytał. - Nie sądziłem, żeby coś takiego było możliwe... zwłaszcza jeżeli chodzi o siłę nacisku na określoną powierzchnię czy ograniczoną wytrzymałość moich kości, które teraz muszą zmagać się ze zwiększonym ciężarem i tak dalej. To właśnie dlatego przypuszczałem, że przedtem Vuffi Raa się zmniejszył. Domyślam się, że było z tym mnóstwo technicznych problemów, ale chyba wszystkie zostały rozwiązane.

- OCH, NIE BYŁO Z TYM ŻADNYCH PROBLEMÓW, PROSZĘ PANA - zaczęła Hala. Lando zwrócił uwagę, że zwiększenie jego rozmiarów nie spowodowało najmniejszej zmiany tonu ani natężenia głosu. Pomyślał, że Sharowie musieli być znakomitymi inżynierami.

- NIECH PAN SIĘ NIE POCZUJE DOTKNIĘTY, ALE JEST PAN JEDYNNIE ZORGANIZOWANĄ FORMĄ INFORMACJI. A CZYŻ MA JAKIEKOLWIEK ZNACZENIE TO, JAK BARDZO INFORMACJA JEST ŚCIŚNIĘTA? STAROŚWIECKIE KSIĄŻKI DRUKOWANO KIEDYS NA GRUBYM PAPIERZE, ZACHOWUJĄC PODWÓJNE ODSTĘPY MIĘDZY LINIJKAMI, ALE PRZECIEŻ ZAWIERANO W NICH TAKĄ SAMĄ INFORMACJĘ, NIEPRAWDAŻ?

- Usiłujesz mi wmówić, że po prostu zostałem trochę rozciągnięty? - zapytał hazardzista.

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się taki pomysł. No cóż, chyba wystarczy. Vuffi Raa?

W porządku, nie musisz odpowiadać. Pomóż mi tylko, kiedy ją zabiorę. Wygląda na to, że jest bardzo duża.

Myślöharka spoczywała na płaskiej górnej powierzchni pylonu. Jeżeli nie brać pod uwagę rozmiarów, wyglądała jak idealna kopia Klucza - i tak samo, jak on, wyprawiała z oczami Calrissiana dziwne sztuczki. Lando sięgnął po przedmiot i przekonał się, że instrument daje się zdjąć bez oporu. Zaczął chować go do kieszeni... - Mistrzu... nie... rób... tego.

- Masz rację! Moja kurtka by się rozdarła, kiedy zostałbym zmniejszony, prawda? No, dobrze, Halo, a teraz zmniejsz mnie do poprzednich rozmiarów.

Cisza.

- Halo? Hej, obiecałaś mnie zmniejszyć! Zabieraj się do roboty! Nie usłyszałaś odpowiedzi.

- Posłuchaj, Halo. Jeżeli nie wykonasz mojego polecenia, wezmę ten odrażający przedmiot i...

- OCH, BARDZO PANA PRZEPRASZAM. WIDOCZNIE ZNÓW SIĘ ZAMYŚLIŁAM. W MIARĘ JAK UPŁYWAJĄ KOLEJNE TYSIĄCLECIA, ZACZYNA ZDARZAĆ MI SIĘ TO CORAZ CZĘŚCIEJ. ROZUMIEM, ŻE CHCE PAN, ABYM PANA ZMNIEJSZYŁA?

- Dobrze rozumiesz.

Lando zaczął się kurczyć, a Harfa w jego rękach stawała się coraz większa. Kiedy proces zmniejszania dobiegł końca, hazardzista pochylił się i postawił instrument na podłodze obok Vuffi Raa, po czym wyprostował się i zaplótł ręce na torsie.

Myślöharka sięgała mu niemal do pasa. W najszerszym miejscu mogła mieć jakiś metr średnicy i jeszcze bardziej przyprawiała o sensacje wzrokowe niż miniaturowy model, którym Lando bawił się na początku wyprawy.

- Vuffi Raa, będziesz niósł ją za jeden koniec, dobrze? Halo, jak się można stąd wydostać?

- WYJŚCIE ZNAJDUJE SIĘ ZA KOLUMNĄ, PROSZĘ PANA. ŻYCZĘ WIELE SZCZĘŚCIA.

- No cóż, ja też życzę tobie wszystkiego najlepszego. Może któregoś dnia będą tu urządzali koncerty.

- MAM NADZIEJĘ, ŻE NIE, PROSZĘ PANA. LUBIĘ TO MIEJSCE WŁAŚNIE DLATEGO, ŻE JEST TAKIE CICHE.

Za pylonem Lando ujrzał litą ścianę.

W jej płaszczyznę wtopiono Klucz.

Hazardzista pomyślał, że może to ten sam Klucz, którym już się raz posłużył. Ta budowla lubiła płać takie figle. Nie wiedział tylko tego, jak się nim posłużyć. Oderwał jedną dłoń od Myślöharki i samymi czubkami palców dotknął jej mniejszego kolegi.

Powietrze przeszył błysk i w murze pojawił się otwór. Zaczął się powiększać dzięki rozchylaniu się czegoś, co wyglądało jak płatki przysłony archaicznego aparatu fotograficznego. Lando i Vuffi Raa wyszli na zewnątrz budowli.

I stwierdzili, że znajdują się na zalanej słonecznym blaskiem i tętniącej życiem ulicy Teguta Lusac.

ROZDZIAŁ XIX

- Panie policjancie! - Vuffi Raa zwrócił się do pierwszego funkcjonariusza, którego zobaczył na ulicy. Równocześnie wyciągniętą macką pokazał Calrissiana. - Proszę natychmiast aresztować tego osobnika. Rozkaz gubernatora.

Lando zamarł jak sparaliżowany. Nie zdążył odejść nawet trzech kroków od budowli Sharów, z której się wyłonili. Obejrzał się przez ramię, ale przekonał się, że otwór, który

ich wypuścił, zniknął, jakby nigdy go nie było. Nie wypuszczając Myśloharfy z objęć, cofnął się krok, a potem drugi i trzeci, aż oparł się plecami o litą ścianę.

- Ty podstępny mały...

- Dość tego! - przerwał mu policjant. - Nie mogę aresztować człowieka tylko dlatego, że tak każe mi maszyna. Muszę porozumieć się z przełożonymi;

Dotknął bocznej płaszczyzny hełmu, chwilę rozmawiał przez komunikator, a później kilka razy machnął ręką, usiłując rozpędzić tłum gromadzących się gapiów.

Lando dał mały krok w bok. Doszedł do wniosku, że chyba nikt nie zwrócił na to uwagi. Dał drugi, a potem trzeci. Jeszcze kilka takich kroków, a znajdzie się za rogiem i będzie mógł...

- Panie policjancie! - krzyknął Vuffi Raa. - Próbuje uciec. Niech go pan zatrzyma!

- Serdeczne dzięki, ty kurduplowaty atomowy szpiclu! Funkcjonariusz wyciągnął blaster i wymierzył lufę w pierś Calrissiana.

- No cóż... Po raz pierwszy zdarza mi się widzieć automat, który miałby takie uprawnienia. Nie ruszaj się, ty! - krzyknął, zwracając się do stojącego nieruchomo hazardzisty.

- Za chwilę pojawi się jakiś środek transportu, a wówczas udamy się na małą, miłą przejażdżkę.

Gabinet gubernatora wyglądał niemal dokładnie tak samo, jak poprzednio - zwłaszcza że Lando nie widział w nim czarownika Tundów Rokura Gepty. Ponieważ Myśloharfa Sharów spoczywała na blacie kryształowego biurka dostojnika, młody hazardzista zastanawiał się nad tym, dlaczego magik nie pojawia się, żeby zabrać przedmiot, na którym tak mu zależało.

Nie musiał zastanawiać się bardzo długo.

- Dobry wieczór - odezwał się Duttes Mer, który wszedł do gabinetu z przeciwnej strony i ciężko osunął się na wygodny fotel. - Widzę, że znalazłeś ten drobiazg. To bardzo dobrze. Chciałbym jednak, żebyś powiedział mi jedną małą rzecz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Lando znów stał przed biurkiem, trzymany przez dwóch chyba najsilniejszych policjantów, jakimi dysponowano w całym Teguta Lusac. Tym razem w pokoju przebywał także Vuffi Raa. Mały android stał z boku biurka.

- Wszystko, cokolwiek pan zechce - odparł hazardzista, starając się, chyba nadaremnie, żeby zabrzmiało to radośnie i beztrąsko.

- GDZIE WŁAŚCIWIE PODZIEWAŁEŚ SIĘ PRZEZ OSTATNIE CZTERY MIESIĄCE?

Wrzasnąwszy to, gubernator się uspokoił. Rozsiadł się wygodniej na fotelu, poprawił owiazaną wokół karku chustę i zamrugał.

- Cztery miesiące? - powtórzył zdumiony Lando. Czuł, że od tych wszystkich niespodzianek kręci mu się w głowie. A więc tak wyglądało rozwiązanie zagadki. Różnica w czasie. To, co wydawało mu się dwoma dniami, w rzeczywistości było sześćdziesięciokrotnie dłuższym odcinkiem czasu. - Panie gubernatorze, nie uwierzyłby pan, gdybym panu to powiedział. Niech pan zapyta tego podstępnego zdrajcę. On panu to wytłumaczy... o ile nie jest patologicznym łgarzem!

- Nie bądź taki surowy dla małego androida, kapitanie - odparł Duttes Mer. - Zrobił dokładnie to, do czego został zaprogramowany. Miał odegrać rolę Emisariusza, tak by tubylcy pomogli ci odnaleźć Myśloharfę. Miał również natychmiast zameldować mi o tym, że Harfa znalazła się w twoich rękach. Wygląda na to, że pod tym względem szczęście mi dopisało. Jak to się stało, że poleciałeś na Rafę Pięc i wróciłeś w taki sposób, że faktu twojego powrotu nie odnotowały czujniki naszego systemu obronnego? Może nie wiesz, ale dysponujemy naprawdę sprawnym, nowoczesnym systemem.

- Ty mu to powiedz, Vuffi Raa - warknął Calrissian. - I tak jesteś niesamowitym gadułą.

- Proszę pana - zaczął mały android. - Wydaje się, że Sharowie odkryli jakiś sposób transportowania na dowolne odległości. Nie bardzo wiem, kiedy doszło do teleportacji, ponieważ oznajmiono mi, że wszystkie przekazywane przeze mnie sygnały zanikły, kiedy przebywałem na Rafie Pięć - zaraz po tym, jak przeniknąłem przez ścianę tamtej piramidy. Zmiana mogła dokonać się w dowolnej chwili - począwszy od tej, kiedy staliśmy po wewnętrznej stronie ściany, a skończywszy na chwili, kiedy wyszliśmy przez otwór i znaleźliśmy się na ulicy w Teguta Lusac.

Gubernator złączył serdelkowate paluchy.

- Coś takiego, coś takiego. Nieoczekiwana techniczna niespodzianka. .. pod warunkiem, że uda się nam odkryć jej tajemnicę. A tymczasem, jak powiedziałem, nieprawdopodobne szczęście. Widzisz, kapitanie, mój... ehm... kolega właśnie w tej chwili okrąża Rafę Pięć, niecierpliwie czekając, aż wywiążesz się z umowy.

Cha, cha! A ja siedzę tutaj. I to ja mam Myśloharfę. Wygląda na to, że jestem czymś w rodzaju hazardzisty, któremu dopisało wielkie szczęście. Nie uważasz?

Nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy, Calrissian wzruszył ramionami. Nie zamierzał dawać tłuściochowi żadnej satysfakcji, a zrozumiał, że bez względu na to, co powie albo co zrobi, nie poprawi swojej sytuacji.

- Daj spokój, kapitanie, i posłuchaj, co wymyśliśmy. Rokur Gepta zatrudnił antropologa - prawdziwego naukowca, rozumiesz, mającego za sobą bogatą karierę naukową, i kazał mu zbadać cały system. Biedny głupiec przypuszczał, że pracuje dla mnie, dzięki czemu mogłem przywłaszczyć sporą część przeznaczonych na te badania imperialnych funduszy, a Geptę ucieszył sam fakt, że oszustwo nie wyszło na jaw.

Postanowiliśmy zastawić pułapkę. Obiecaliśmy antropologowi, że jeżeli jego badania zakończą się powodzeniem, będzie mógł liczyć na to, iż zatrudnimy go na następny okres. Później kazaliśmy mu polecić na Oseon Dwa Tysiące Siedemset Dziewięćdziesiąt Pięć i poszukać... no cóż... powiedzmy... odpowiedniej osoby, która mogłaby wykonać dla nas resztę pracy.

Lando pomyślał wbrew samemu sobie, że chciałby usłyszeć dalszy ciąg tej opowieści. Uświadamiał sobie także, że Mer oczekuje od niego czegoś w rodzaju... słów uznania albo aprobaty? Zapytał:

- Dlaczego po prostu nie zatrudniliście następnego frajera albo nie kazaliście waszemu obłaskawionemu naukowcowi, żeby sam wyprawił się na poszukiwania Myśloharfy? Dlaczego to musiałem być ja? Dlaczego wciągnęliście mnie w to wszystko, zamiast samemu wyruszyć w drogę i...

Gubernator zarechotał.

- Przecież znasz legendy. To musiał być podróżnik, przybysz z gwiazd, którego Tokowie nie znali. Nie mogła być nim osoba, która przez pewien czas węszyła, rejestrując po kolei wszystkie Pieśni, jakie usłyszała. A teraz prawda. Gdybyś, kapitanie, poznał prawdę, do czego służy Myśloharfa Sharów, teraz ty, a nie ja, sprawowałbyś absolutną władzę nad umysłami wszystkich mieszkańców tego systemu. To jeszcze jeden błąd, jaki popełnił mój szacowny. .. kolega. Rozumiesz więc, dlaczego poszukiwaliśmy pilota gwiazdowego frachtowca - kapitana, któremu ostatnio nie dopisywało szczęście. Sam wiesz, że każdy, kto ląduje na Oseonie Dwa Tysiące Siedemset Dziewięćdziesiąt Pięć, nie narzeka na nadmiar szczęścia. Co więcej, poszukiwania prowadziliśmy w systemie, w którym mogliśmy liczyć na... ehm... zrozumienie i współpracę miejscowych stróżów prawa i porządku. Postaraliśmy się, abyś myślał, iż wygrałeś robotą, i postaviliśmy cię w sytuacji, która zmusiła cię do ucieczki.

- Czyżby? - unosząc brwi, wpadł mu w słowo Calrissian. -A przypuścmy, że poleciałbym, jak zamierzałem, do systemu Dali albo po prostu...

- Dodatkową zachętę miał stanowić skarb oraz fakt, że w systemie Rafy czekał na ciebie drogocenny przedmiot... android, którego wygrałeś w karty. Rzecz jasna, gdybyś tam nie poleciał, ostatecznie Osuno Whett musiałby od nowa zacząć rozglądać się za innym potencjalnym kandydatem. Ty byłeś pierwszym, jakiego znalazł. Muszę przyznać, że jestem z niego bardzo dumny.

Zrezygnowany Lando pokręcił głową.

- Rozumiem. To właśnie dlatego pozostawiliście Vuffi Raa tu, a nie gdzie indziej. Gdybym dostał go, przebywając na Oseonie, i mimo wszystko, nie zdecydowałbym się przylecieć do systemu Rafy, stracilibyście cenny przedmiot, a inny naiwniak, który mógłby połknąć waszą przynętę...

- Właśnie tak, kapitanie. Jestem zadowolony, że tak szybko połapałeś się we wszystkich zawiłościach naszego planu. To byłoby wszystko. Możecie go odprowadzić.

Lando nawet nie miał czasu zaprotestować. Policjanci niemal wyciągnęli go z gabinetu, po czym poprowadzili długim korytarzem do klatki schodowej. Zeszli po schodach na dziedziniec i skierowali się w stronę czekającego policyjnego transportera. Maszyna przemknęła ulicami na skraj miasta i przejechała przez bramę, umieszczoną w luce siłowego pola, jakie otaczało kilkanaście ponurych parterowych budynków o ścianach, wyłożonych karbowanym plastikiem.

- Potraktujcie go jak wszystkich innych - odezwał się jeden z anonimowych funkcjonariuszy, którego twarzy nie dało się dostrzec z powodu opuszczonej osłony hełmu. Wypowiedział te słowa do grubego, ubranego w poplamioną tunikę mężczyzny. - Rano dostaniecie wszystkie niezbędne dokumenty.

- Wspaniale - rozpromienił się tłuścioch. Sprawiał wrażenie ociężałego i zaniedbanego, ale neuroniczny bicz, trzymany w jednej dłoni, i wojskowy blaster, który ścisnął w drugiej, przydawały mu powagi i dostojeństwa. Transporter zawrócił i odjechał.

- Witaj w zakładzie karnym Rafy Cztery - odezwał się grubas, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Lando leżał na stalowej ciemnoszarej pryczy i słuchał ponurego zawodzenia Toków. Skazańców, zesłanych z innych światów, trzymano w celach, urządzonych po jednej stronie przejścia. Tubylcy zajmowali całą drugą stronę, siedząc w nie zamykanych, podobnych do psich bud zagrodach. Cella, w której go zamknięto, różniła się od innych tym, że wszystkie trzy pozostałe prycze były wolne.

Zapewne gubernator nie chciał, żeby rozmawiał z innymi więźniami, dopóki nie zostanie „potraktowany” - bez względu na to, co miało to oznaczać.

Stwierdzenie, że śpiewy tubylców działały mu na nerwy, stanowiłoby żalosny eufemizm. Nie tylko wprawiały go w zły humor, ale przypominały o Mohsie - zgrzybiałym starcu, który zniknął w tajemniczych okolicznościach, kiedy przebywali w środku piramidy. O ile w ogóle istniał. Ta niepewność drażniła hazardzistę co najmniej tak samo, jak sytuacja, w której właśnie się znajdował.

Możliwe, że nawet bardziej, ponieważ już kiedyś wtrącono go do więzienia.

A może mniej, jako że nigdy przedtem nie musiał spędzać reszty życia, pracując w życiosadach.

W przeciwieństwie do innych, niedawno przybyłych więźniów, dobrze wiedział, z czym się to wiązało. Na własnej skórze odczuł, co to znaczy, kiedy rodzące życiokryształ drzewa wysysają z ofiary wszystkie myśli.

A przecież doskonale pamiętał, że Mohs istniał. Dobiegające z przeciwnej strony korytarza śpiewy tylko upewniały go w tym przekonaniu. Również słowa, jakich używali Tokowie, wydawały mu się dziwnie znajome. Lando niemal mógł sobie wyobrazić, że je rozumie. Nie po raz pierwszy dochodził do przekonania, że słyszy zniekształconą wersję języka,

którym posługiwały się istoty w systemie, jaki zdarzyło mu się odwiedzić. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć...

- NO, DOBRA, BUDZIĆ SIĘ I WSTAWAĆ!

Okazało się, że tłuścioch ma przyjaciół - pięciu czy sześciu, również uzbrojonych w bicze i blastery. Przechadzali się po oddzielającym cele od zagród korytarzu i krzyczeli, żeby obudzić pozostałych więźniów. Tokowie zniknęli, zapewne wywiezieni w nocy.

Lando jęknął i obrócił się na bok. Zanim wepchnięto go do celi, zabrano mu ubranie, a zamiast niego dano szorstką piżamę, uszytą z samodziąłowego, nie wybielonego płótna. Teraz kazano mu zdjąć nawet ten skromny przyodziewek.

Bardzo szybko dowiedział się, dlaczego ma to zrobić. Dwaj strażnicy schowali blastery do kabur, po czym rozwinęli długi przeciwpożarowy wąż. Umieścili końcówkę między prętami celi i skierowali silny strumień lodowatej wody prosto w Calrissiana. Smagnięty wodnym biczem Lando uderzył plecami w chropowatą ścianę, po czym, osłaniając oczy przed strugami, osunął się na posadzkę. Po chwili strumień przeniósł się do sąsiedniej celi. Zataczając się, Lando wstał i z powrotem włożył bluzę piżamy - nie zdążył zdjąć spodni, zanim został oblany - po czym zaczął się zastanawiać, co dalej.

Nie musiał się zastanawiać długo.

- No, dobra, więźniowie! - krzyknął otyły mężczyzna. - Za chwilę otworzymy cele. Wyjdziecie na dziedziniec, staniecie w rzędzie na baczność i będziecie tak stali, dopóki nie usłyszycie następnego rozkazu. Wówczas zrobicie w lewo zwrot i pomaszrujecie - pojedynczo i bez słowa - do czekającego autobusu. Jeżeli któryś z was spróbuje wyłamać się z szyku albo wypowie choćby jedno słowo, zostanie natychmiast zastrzelony.

Na szczęście Lando nie mógł przypomnieć sobie żadnej kłśliwej odpowiedzi.

Zamki cel szczękły i drzwi się otworzyły. Lando wyszedł na korytarz i stał na baczność, dopóki nie kazano mu wyjść na dziedziniec. Tam również stał na baczność, mimo iż smagany podmuchami lodowatego wiatru, szczekał zębami i trząsł się z zimna. Dopiero wówczas po raz pierwszy mógł spojrzeć w prawo i w lewo, a kiedy to uczynił, doszedł do wniosku, że nie chciałby przyzwyczajać się do tego miejsca. Dziedziniec, wepchnięty pomiędzy dwa stumetrowe gmachy Sharów, których pionowe ściany były śliskie i idealnie gładkie, z dwóch pozostałych kończył się wysokimi płotami. Na ograniczonej w taki sposób przestrzeni stało kilkanaście małych parterowych budynków z celami oraz kilkupiętrowy budynek administracyjny. Lando pomyślał, że niektórzy więźniowie musieli spędzić tu resztę życia. Nie ma to, jak w domu.

Niech to diabli! - zaklął w duchu. Nie zostanie tu. Ucieknie. Ma kilka rachunków do wyrównania.

Padł rozkaz. Lando odwrócił się w lewo i podążając za kilkoma innymi, idącymi przed nim zesłańcami, ruszył w kierunku staroświeckiego autobusu, którego kierowcą był inny więzień. Boki pojazdu sprawiały wrażenie poplamionych i zardzewiałych. Lando pomyślał, że jazda tego ranka nie będzie należała do największych przyjemności.

Nagle zatrzęsła się i zadrżała ziemia.

Cały dziedziniec przypominał wzburzone morze, po którym przewalały się ziemne fale. Uderzały o ściany parterowych budynków z celami, które rozpadały się jak domki z kart. Gmach administracyjny runął, wzniecając chmurę pyłu. Autobus zakołysał się i wywrócił. Siedzący w nim kierowca krzyknął.

Kilku więźniów rzuciło się ku pojazdowi, by ratować uwięzionego kolegę. Jeden z umundurowanych strażników wyciągnął blaster i strzelił, a trafiony skazaniec zapalił się jak pochodnia i upadł. Natychmiast w płomieniach stanęła struga paliwa, które wyciekło z usytuowanego w przeciwnym krańcu dziedzińca zniszczonego magazynu.

Lando stał tam, gdzie zastało go trzęsienie ziemi. Po chwili jednak doszedł do

przekonania, że wcześniej czy później i tak się przewróci, więc upadł i leżał - zwłaszcza że w takiej pozycji nie groziło mu, iż zostanie trafiony jakimś przypadkowym strzałem. Nagle ujrzał, że do otyłego nadzorcy więzienia podbiega, potykając się co kilka kroków, jakaś postać, odziana w mundur kolonialnego policjanta. Lando usłyszał, co powiedziała, mimo krzyżujących się w powietrzu jęków i okrzyków, a także wszechobecnego grzmotu trzęsącej się ziemi.

- Ten człowiek ma zostać odesłany na jeszcze jedno przesłuchanie!

Ukryty w opancerzonej rękawicy palec funkcjonariusza skierował się ku leżącemu Calrissianowi. Naczelnik i policjant musieli się oprzeć o siebie, by nie runąć na ziemię.

- Nie otrzymałem takiego polecenia! Muszę wykonywać swoje obowiązki. Czy ta sprawa nie może poczekać?

- Gubernator żąda, żeby przysłano go jak najszybciej! - W głosie rosnącego funkcjonariusza zabrzmiała ukryta groźba. - Zapewne chodzi o tę grupę policjantów, którą ten skazaniec podobno wysłał przed czterema miesiącami w okolice Ruffy Jedenaście.

- A, jeżeli tak, to inna sprawa. Możesz go zabierać. Ja... Grubas nie zdążył powiedzieć ani słowa więcej. Zachwiał się i upadł. Policjant, który jakimś cudem utrzymał się na nogach, odwrócił się i ruszył w stronę Calrissiana.

- Idziemy!

Chwycił go za wystrzępiony rękaw bluzy pizamy i niemal zaciągnął do czekającego policyjnego transportera, zaparkowanego tuż obok ściany pobliskiego parterowego budynku więziennego.

- Wskakuj!

Rozległ się ryk silników i maszyna przemknęła przez uszkodzoną bramę, której prawe skrzydło smętnie zwisało, trzymając się na jednym zawiasie. I tak zresztą nie miało to znaczenia. Siłowe pole zanikło, ponieważ trzęsienie ziemi zniszczyło chyba nawet rezerwowe generatory. Transporter kołysał się z boku na bok, ale skręcił w prawo i jechał dalej.

- Posłuchaj, stary platfusie, przecież to nie jest droga do śródmieścia Teguta Lusac! - krzyknął w pewnej chwili hazardzista.

Skulił się, kiedy maszyna skręciła za róg ostatniego domu i pomknęła w stronę terenów, na których, jeżeli nie liczyć ruin budowli Sharów, nie było widać żadnych domów.

- A co cię to obchodzi? Zamknij się i pilnuj własnych interesów!

- Czy to także wchodzi w zakres moich interesów? Policjant spuścił głowę i popatrzył na swój blaster, którego lufa

wbiła się w bok munduru. Uniósł ukrytą za osłoną twarz i popatrzył na młodego hazardzistę.

- Bardzo dobrze - powiedział po chwili. - Widzę, że, mimo wszystko, wcale nie musiałem cię ratować. Może chcesz tam powrócić i przypisać sobie całą zasługę?

- O czym ty, do diabła, mówisz? - zdenerwował się Calrissian. - Zatrzymaj ten pojazd i zdejmij hełm. Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia!

Transporter posłusznie zwolnił i znieruchomiał pośrodku pustej drogi, jakby czekał, aż ustaną ostatnie wstrząsy. Lando wymierzył lufę blastera w twarz policjanta.

- No, dobrze, a teraz ściągaj ten hełm! - rozkazał.

Ukryta w rękawicy dłoń chwyciła za brzeg hełmu i szarpnęła w górę. Zamiast głowy i wystającej z kołnierzyka szyi ukazał się jednak... wąż! Błyszczący, chromowany wąż!

- Czy mogę zdjąć także resztę munduru, mistrzu? Czuję się. w nim bardzo nieswojo.

- Vuffi Raa! Ty mały... O co właściwie tu chodzi? Dlaczego mnie stamtąd wyciągnąłeś?

Mały robot, zajęty zrzućaniem pozostałych części munduru policjanta, przez chwilę nic

nie mówił. Okazało się, że dwie macki zastępowały mu nogi, dwie inne ręce, a ostatnia, pięta, służyła jako zastępcza głowa. Kiedy mały android wreszcie skończył, przyjął wygodniejszą pozycję za drążkiem sterowniczym maszyny.

- Mistrzu, od samego początku byłem zaprogramowany w taki sposób, by cię zdradzić i o niczym ci nie mówić - zaczął. - Ale ty jesteś moim mistrzem, Lando, i kiedy program dobiegł końca, zorientowałem się, że nie mam nic do roboty. Dlatego przyszedłem. Musimy wydostać się z tej planety i całego systemu, mistrzu. I to jak najszybciej.

- Wiem o tym.

- Wiesz? Jakim cudem?

- Dzięki snom i zawodzeniom, jakie słyszałem tej nocy. To starotrammiański - język, jakim posługują się Tokowie. Przed kilkanaście laty zdarzyło mi się odwiedzić Trammis Trzy. Nadal nie władam jeszcze dobrze ich mową, ale widocznie, kiedy spałem, moja podświadomość coś z tego zrozumiała. Rano się obudziłem i stwierdziłem, że wiem wszystko na temat Myślóharfy. Wiem także to, że musimy się jak najszybciej stąd wynosić.

- Dlaczego, mistrzu?

- Nie nazywaj mnie mistrzem. Ponieważ, kiedy ktoś zacznie wygrywać na Harfie jakieś dźwięki, ten system już nigdy nie będzie taki sam, jak przedtem.

- A zatem, musimy się pośpieszyć, mistrzu. Duttes Mer już zaczął posługiwać się Myślóharfą. To właśnie stąd się wzięło to trzęsienie ziemi.

ROZDZIAŁ XX

W przeciwieństwie do fikcyjnych złoczyńców, Duttes Mer nie zamierzał chętnie się ani wyjaśniać do końca swoich planów, kiedy rozmawiał z pokonanym Calrissianem. Po prostu pozbył się go - tak szybko i skutecznie, jak potrafił.

Popęłił jednak pewien błąd - chyba pierwszy w całym życiu - nie zwracając uwagi na służących i wszystkich, których zaliczał do tej kategorii. Usługujących mu Toków w ogóle nie dostrzegał. Uważał, że filiżanki z herbatą, szklanki z trunkiem czy cygara po prostu same pojawiały się koło łokcia - jak powinny. Mimo wszystko, był przecież ważnym dostojnikiem. Androidy traktował tak, jakby w ogóle nie istniały.

Tak więc Vuffi Raa stał pośrodku gabinetu, kiedy gubernator rozpoczynał rozmowę międzyplanetarną z Rokurem Geptą.

- Ach, to ty, mój szacowny czarowniku. Mam dla ciebie wiadomość.

- Jaką, Merze? Lepiej, żeby było to coś dobrego.

- Czy dobrze się bawisz, siedząc na pokładzie statku, krążącego bez przerwy po orbicie wokół niegościnniej, pustynnej planety?

- Mój statek jest o wiele wygodniejszy niż twoje stosy cegieł, które nazywasz miastem. Skończ z tym, Merze, bo zaczynasz działać mi na nerwy.

Gubernator sięgnął po kamerę komunikatora, przymocowaną do końca długiego, giętkiego, automatycznie chowającego się kabla, i skierował oko obiektywu na przedmiot, spoczywający na blacie biurka.

- Czy nie widzisz czegoś, co wydaje ci się znajome, Gepto?

Widoczne na ekranie oczy czarownika rozszerzyły się z zachwyty, który po chwili zastąpiła chciwość, a jeszcze później wściekłość.

- To Myślóharfa! Jakim cudem udało... Gubernator zachichotał.

- To nieważne. Liczy się tylko to, że się udało, a ty znajdujesz się miliony kilometrów ode mnie. Widzisz, ta historyjka, którą uraczyłeś Calrissiana - że Myślóharfa jest Ostatecznym Instrumentem Muzycznym - może była dobra dla niego, ale ja nie zapomniałem jeszcze

tego, co powiedziałeś mnie - że w rzeczywistości pozwala sprawować całkowitą władzę nad umysłami wszystkich Toków. Taki przedmiot z pewnością jest bardzo cenny, ale to - pokazał Harfę- ma dla mnie o wiele, wiele większą wartość.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Merze?

- Ja także potrafię zatrudniać naukowców, drogi były wspólniku. Zależało mi na tym, żeby znaleźć najlepszych i najpewniejszych, więc po prostu zatrudniłem twoich. Przypomnij sobie, że to ja sprawuję władzę i mogę łagodzić wyroki albo nawet ułaskawiać. Znam prawdę. Myśloharfa jest instrumentem, umożliwiającym sprawowanie władzy nad umysłami wszystkich istot, zamieszkujących ten system - a może nawet i sąsiednie. A instrument ten należy do mnie!

- Nie potrafisz się nim posługiwać, Merze. Nie wiesz, na co się decydujesz!

W głosie Rokura Gepty dała się słyszeć panika.

- Wręcz przeciwnie, mój drogi...

- NIE! Niczego nie rozumiesz! Posłużenie się Myśloharfą... Gubernator pozwolił sobie na dobroduszny uśmiech.

- Zapewni mi absolutną władzę, nawet nad tobą. Proponuję -rzecz jasna, jeżeli nie chcesz doświadczyć potęgi tej władzy na własnej skórze - żebyś opuścił orbitę i cały system. Możliwe, że dzięki temu uda ci się zyskać chociaż kilka lat.

- Merze, ostrzegam cię po raz drugi. Nie dysponujesz wszystkimi informacjami, żeby bezpiecznie...

Pstryk!

A zatem, kiedy nadarzyła się pierwsza okazja - a miało to miejsce krótko po północy - Vuffi Raa opuścił gabinet gubernatora, ukradł z pralni mundur jednego z kolonialnych funkcjonariuszy i uruchomił policyjny transporter, a potem wyruszył, aby uratować Calrissiana.

- No cóż, Vuffi Raa, ty stary kryminalisto. Doceniam to, co dla mnie uczyniłeś, ale rozumiesz chyba, iż mimo to nie potrafię pozbyć się odrobiny sceptycyzmu.

Wracali do miasta, tym razem jadąc niezbyt szybko, by nie wzbudzać niczych podejrzeń. Odczuli kilka następnych wstrząsów, ale żaden nie miał tak potwornej siły jak poprzednie.

- Rozumiem cię - przyznał Vuffi Raa - aczkolwiek wydawało mi się, że powiedzenie ci, iż zostałem zaprogramowany, aby cię zdradzić, oznacza mniej więcej to samo, co powiedzenie przez istotę ludzką, że nie mogła nic na to poradzić. No cóż, przyjechałem do więzienia, żeby jakoś ci to wynagrodzić.

Przez jakiś czas Lando zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Bardzo dobrze - odezwał się w końcu. - A zatem, pragnąc okazać ci swoje zaufanie, powiem, że kiedy chodzi o Myśloharfę, racji nie mają ani Duttes Mer, ani Rokur Gepta. Rozległ się pisk hamulców i Vuffi Raa zatrzymał pojazd, jeszcze zanim zdążył dotrzeć do przedmieść Teguta Lusac.

- Co takiego?

- To prawda. A my musimy dostać się do kosmoportu i ukraść coś, co pozwoli nam wynieść się z tego systemu - i to jak najszybciej.

- Mistrzu, zgadzam się z tobą, jeżeli chodzi o to, żeby stąd szybko odlecieć. Z pewnością nie chciałbyś, aby ktokolwiek manipulował twoim umysłem - zwłaszcza jeżeli tym kimś miałby być ktoś taki, jak gubernator. Uwierz mi, bo wiem, co mówię. Ale jeżeli obaj są w błędzie...

- Będzie jeszcze gorzej, Vuffi Raa - wpadł mu w słowo Calrissian. - Żałuję tylko tego, że zostawiłem „Sokoła” na Rafie Pięć.

- Mistrzu, przecież upłynęły cztery miesiące. Nie wiedząc, co się z nami stało, Mer kazał

sprowadzić go z powrotem. Ładownie są nadal pełne życiokryształów, ponieważ dopóki nie pojawiliśmy się w Teguta Lusac, Gepta i Mer nie pozwolili ich wylądować, w obawie, że może będą musieli wykorzystać je jeszcze raz jako kartę przetargową.

- Co takiego? Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś? Ale chyba Mer nie kazał naprawić silników napędu nadświetlnego, prawda? Zapadła długa cisza. Dopiero po chwili android odparł cicho:

- Nie, mistrzu, ale ja je naprawiłem. Jeszcze kiedy lecieliśmy na Rafę Pięć.

Lando nie od razu odpowiedział. Gdyby wówczas uświadamiał sobie ogrom pracy, jaką musiał włożyć mały android, może poleciłby opuścić system, wskutek czego obaj nie spędziliby czterech miesięcy w ruinach Sharów.

- No cóż - odrzekł w końcu, wyraźnie rozdrażniony. - Tak czy owak, musimy dostać się do kosmoportu.

- Racja, mistrzu.

Na pokładzie wycofanego z czynnej służby krążownika „Wennis”, który właśnie opuścił orbitę Rasy Pięć, zapadła ważna decyzja. Rokur Gepta leżał na specjalnej antyprzyspieszeniowej kanapie i zapinał pasy, przygotowując się do czekającej go podróży. Mały statek, stojący na lądowisku dla kapsuł ratunkowych, nie był wcale kapsułą ratunkową, ale wysłużonym imperialnym myśliwcem, wyposażonym jak patrolówka. Mógł pokonać odległość, dzielącą go od Rasy Cztery, w ciągu trzykrotnie krótszego czasu niż macierzysty okręt.

O ile pasażer zniósłby związane z tym przeciążenia.

Gepta uświadamiał sobie, że przedsięwzięte środki ostrożności mają na celu zapewnienie bezpieczeństwa głównie pozostałym członkom załogi. On niczego takiego nie potrzebował, ale nie chciał, żeby inni to wiedzieli. Kiedy opasał ciało taśmami i zapiął sprzączki pasów, odprężył się i zaczekał, aż usłyszy charakterystyczne szcęknięcie. Nawet nie mrugnął, kiedy na jego ciało zaczęła działać potworna siła, która mogłaby wyrządzić poważne szkody w organizmach zwyczajnych ludzi.

Wiedział, że w ciągu godziny powinien znaleźć się w Teguta Lusac.

Duttes Mer popatrzył na Myśloharfę, spoczywającą na blacie kryształowego biurka. Prawdę mówiąc, obawiał się nią posłużyć, ale nade wszystko pragnął opanować tę trudną sztukę, zanim przyleci Rokur Gepta i odbierze mu instrument. Nie żywił żadnych złudzeń. Jeżeli oprócz milionów innych, nie zdołałby podporządkować swojej woli i tego umysłu, byłby zgubiony. Ponownie dotknął krótkimi, grubymi paluchami środka Myśloharfy, a później, stłumiwszy obawy i strach, uczynił wysiłek, by się skupić.

- Mistrzu!

Vuffi Raa kurczowo trzymał drążek sterowniczy i jechał dalej po wstrząsanej drganiemi powierzchni drogi. Lando pochwycił oba końce pasa bezpieczeństwa i próbował zatrzaskać klamrę, mimo iż policyjny wehikuł zataczał się jak pijany.

- To na nic! - krzyknął w końcu, rezygnując z zapięcia pasa. - Posłuchaj, zostawmy tutaj pojazd i przebiegnijmy ostatni kawałek drogi!

Brama kosmoportu znajdowała się w odległości zaledwie kilkuset metrów, ale transporter nie jechał prosto i musiałby pokonać co najmniej dwukrotnie większy dystans. Lando wypchnął drzwiczki i wyskoczył, ale natychmiast upadł. Szybko zerwał się i pobiegł do bramy. Vuffi Raa, który po chwili poszedł w jego ślady, dogonił go bez najmniejszego trudu.

Strażnik, stojący w przyzwoitej odległości od chwiejącej się budki, zauważył ich i podbiegł, by zagrozić drogę. Wymierzył lufę blastera w pierś Calrissiana.

- Stać! - krzyknął. - Mam rozkaz strzelać do rabusiów!

- Nie jestem rabusiem - wrzasnął Lando, nie przestając biec do strażnika. - Jestem

kapitanem tamtego statku, „Sokoła Milenium”. Muszę odlecieć stąd, zanim trzęsienie ziemi zniszczy go tak, jak wszystko inne na tej planecie.

Wylot lufy blastera znalazł się na wysokości oczu młodego hazardzisty.

- Ten statek został opieczętowany i nigdzie nie odleci bez rozkazu gubernatora. Nie możesz...

Lando postąpił ostatnie dwa kroki. Strażnik wystrzelił, ale ponieważ właśnie się zachwiał, zdołał jedynie trafić jakieś krzak, rosnący na poboczu drogi. Lando skoczył do mężczyzny i chwycił za lufę broni. Szarpnąwszy, skierował ją ku niebu, po czym zwinął dłoń w pięść i uderzył strażnika w splot słoneczny.

Elastyczne pancerze potrafią powstrzymywać kule i wiązki energii; nie chronią jednak przed ciosami, zadawanymi przez nie uzbrojonych napastników. Strażnik zgiął się we dwoje i upadł. Lando zabrał jego blaster i dołączył do tego, który wziął, kiedy uciekał z więzienia.

- Chodźmy!

Pobiegli do „Sokoła”. Kiedy mieli pokonać ostatnie kilkanaście metrów, ujrzeni, że rampa powoli się opuszcza, jakby zachęcała ich do wejścia na pokład. Lando i Vuffi Raa zwolnili i ostrożnie weszli po pochylni.

U szczytu powitał ich, jak zawsze stary i pomarszczony, ale starannie ostrzyżony i ubrany w kosztowny garnitur - Mohs, Naczelny Śpiewak Toków. Zamiast oczu widniały w jego twarzy podobne do kosztownych kryształów dwa połyskujące, wielobarwne, fasetkowe czujniki optyczne, przypominające te, w jakie wyposaża się gigantyczne różnokolorowe pająki.

Oburzony Duttles Mer spoglądał na dziwny instrument, leżący przed nim na blacie biurka. Dwukrotnie uciekał się do umysłowych procedur, które zdradzili mu pochwyceni socjologowie Gepty, i próbował przejąć kontrolę nad Myśloharfą, aby...

Zacisnął dłoń w pięść i huknął w blat biurka, aż instrument podskoczył. Nie miał ochoty próbować po raz trzeci. Wyglądało na to, że jedynymi skutkami, jakie udawało mu się wywoływać, były trzęsienia ziemi, które omal nie zrównały z ziemią budynku administracyjnego. Nie wiedział, dlaczego Harfa działała w taki sposób, ale był pewien jednego. Niedługo miał przylecieć Rokur Gepta.

Potwierdziły to radarowe czujniki kosmoportu, na chwilę przedtem, zanim ustała wszelka łączność. Mały i bardzo szybki statek powinien wylądować za niespełna dwadzieścia minut. Mer podejrzewał, że czarownik nie zechce posadzić swojej maszyny na którymś z lądowisk kosmoportu. Na dachu budynku administracyjnego znajdowało się przecież specjalne miejsce do lądowania dla takich małych statków. Nadawało się do tego celu wręcz...

Nie ukrywając wściekłości, gubernator wduśił przycisk interkomu.

- Chcę rozmawiać z kapitanem straży!

Przez dłuższy czas nie słyszał żadnej odpowiedzi. Później z aparatury rozległ się głos przerażonego sekretarza.

- Wasza ekscelencjo, wszyscy strażnicy opuścili budynek z powodu trzęsienia ziemi. Ja także, zanim pan zadzwonił, miałem uczynić to samo. Ja...

- Jeżeli to zrobisz, zostaniesz zastrzelony - przerwał mu zniecierpliwiony Mer. - Wezwij do mnie tych czterech funkcjonariuszy, których ściągnęliśmy z okolic Rafy Jedenaście. Przebywają w areszcie domowym w jednym z pomieszczeń tego gmachu. Powiedz im, żeby natychmiast udali się na dach i... nieważne, sam im to powiem!

Po raz kolejny spojrzał na Myśloharfę Sharów. Pomyślał, że lepiej będzie, jeżeli tym razem instrument nie sprawi mu zawodu.

Za chwilę miał wylądować Rokur Gepta.

- Zechciej mi wybaczyć, kapitanie, że pojawiaam się w tak dramatycznych okolicznościach
- zaczął Mohs, przepuszczając obu gości korytarzem, wiodącym do sterowni - ale wszystko zaczyna dziać się coraz szybciej, a ja jestem zbyt zajęty, aby zwracać uwagę na dramatyzm sytuacji.
- Wiem - odparł Lando, sadowiać się na fotelu pilota, ustawionym po lewej stronie. Pstryknął kilkoma przełącznikami, aby pomóc Vuffi Raa wykonywać czynności, wchodzące w skład procedury przedstartowej. Tworzyły one długą listę... zbyt długą, aby można było spokojnie myśleć o przyszłości. - Wiem wszystko... ale, prawdę mówiąc, ja także się bardzo spieszę.
- Przez chwilę Mohs sprawiał wrażenie zaintrygowanego, ale później odprężył się i uśmiechnął.
- Ach, tak. Dopasowałeś wszystkie kawałki układanki. Przez całe życie byłem w rękach przodków bezwolnym narzędziem, któremu głosy bogów wydawały różne polecenia i kazały się udawać to tu, to tam, dokąd im się podobało. Dla dzikusa, jakim wówczas byłem, jednym z najbardziej przerażających doświadczeń było otarcie się o prastarą ścianę -jak uczyniłem tamtej nocy w Teguta Lu-sac - i pojawienie się kilka sekund później w zupełnie innym, oddalonym o dziesięć kilometrów miejscu, na czele tłumu śpiewających ziomków. Przepraszam również za to, że zniknąłem bez słowa, kiedy podróżowaliśmy tamtym tunelem. Jak widzisz, zniknięcie miało na celu zdobycie elementarnego wykształcenia. A kiedy je zdobyłem i zdałem egzamin, zacząłem wstępować na wyższe szczeble edukacji.
- Odruchowo przesunął czubkami palców po dziwacznych oczach. - Prawdę mówiąc, podjęto tę decyzję za mnie, a ja...
- Nie miałeś wyboru? - domyślił się Lando, znacząco spoglądając na Vuffi Raa. - Ostatnio dzieje się tyle dziwnych rzeczy. Co, na litość niebios, ma oznaczać ta czerwona lampka na pulpicie kontrolnym urządzeń do uzdatniania powietrza i wody? No cóż, spróbujmy ją zignorować...
- Nie grozi wam żadne niebezpieczeństwo. - Mohs znów się uśmiechnął. - Pomogliście mi, a teraz ja odwdzięczam się za tę pomoc. Nie zamierzamy wyrządzić wam żadnej krzywdy.
- Wspaniale. Czy to znaczy, że możesz powstrzymać gubernatora i jego przyjaciela czarownika?
- Mogę powiedzieć wam, że gubernator jest sam i usiłuje posłużyć się Myślöharką, a czarownik właśnie leci z Rafy Pięć. Za chwilę powinien wylądować, ale nie kieruje się do kosmoportu.
- Zdumiony Lando odwrócił się i popatrzył na starca, ani trochę nie zgarbionego czy zgrzybiałego. Wręcz przeciwnie. Chociaż Mohs wyglądał nadal bardzo staro, wiek przydawał mu dostojęstwa i autorytetu.
- Wydatuowany Klucz - dopiero teraz hazardzista uświadomił sobie, że właściwie była to Myślöharka - sprawiał wrażenie ciemniejszego. Wyraźniej odcinał się od jasnej skóry na czole. Właściwie promieniał.
- Czy jest jeszcze wielu takich, jak ty? - zapytał.
- Nie, kapitanie, jestem tylko ja. Przez wszystkie te lata byłem sam pośród wszystkich Toków swojego pokolenia. Miałem złożyć ciężar obowiązków na czyjeś inne barki w przyszłym roku, ale wszystko potoczyło się inaczej, więc oto jestem.
- Mistrzu, o czym mówicie?
- Bądź cicho, Vuffi Raa. I pilnuj temperatury tego reaktora.
- Zapewniam cię, kapitanie, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Uświadomiłbyś sobie to, gdybyś naprawdę znał nasze tajemnice.
- Uwierz mi, Mohsie, że znam wasze tajemnice. Nigdy nie istnieli żadni koloniści, którzy

wyłądowali tu w czasach, poprzedzających powstanie Republiki?

- To prawda, kapitanie.

- Ależ, co mówisz, mistrzu? Jeżeli...

- Prawdę mówiąc, nie było także żadnych Toków. Czyżbym się mylił?

- Mistrzu...

- Bądź cicho, Vuffi Raa! To wy jesteście Sharami, a tę informację zapisano po wewnętrznej stronie ścian waszych piramid. Jesteście istotami człękokszałtnymi i to bardzo, bardzo rozwiniętymi. Nie wiem, co takiego przeraziło waszych prapraprzodków - i to do tego stopnia, że zdecydowali się na tę maskaradę - ale założyłbym się o wszystko, że ty również tego nie wiesz!

- Mistrzu, czy nie zechciałbyś wyjaśnić...

- No dobrze, Vuffi Raa, już dobrze. Mohs poprawi mnie, jeżeli chodzi o szczegóły, które mógłbym opuścić albo przeinaczyć. Nie rozumiem dobrze współczesnego trammiańskiego, a tym bardziej jego starożytnej - i całkowicie syntetycznej - odmiany. A zatem, oto jak wygląda sedno sprawy. Coś strasznego musiało zagrażać dawnym Sharom. Coś, co lubiło niszczyć hiperzaawansowane cywilizacje, ale pozostawiało w spokoju prymitywnych dzikusów.

Stworzono zatem potężny system komputerowy. Właśnie nim są tak zwane ruiny, zajmujące niemal cały system Ruffy. Sharowie, zanim zaczęło im grozić nieznane niebezpieczeństwo, mieszkali w osadach i miastach, niewiele różniących się od naszych. Prawdopodobnie owe miasta kryją się teraz pod monumentalnymi budowlami - a wraz z nimi cała wiedza i mądrość Sharów. Podaj mi na chwilę tę listę.

- Bardzo dobrze, kapitanie - odezwał się Mohs. - Naprawdę bardzo dobrze.

- Jasne, że bardzo dobrze. Życiokryształowych sadów nie stworzono w tym celu, aby zwiększały inteligencję albo przedłużały życie. Ich celem było wysysanie myśli z mózgów tubylców. Idę o zakład, że trzy czwarte zawartości umysłów mieszkańców wszystkich planet jest przechowywane we wnętrzach piramid i innych gigantycznych budowli. Po to, żeby następne pokolenia mogły także uchodzić za dzikusów. Kiedy jednak koloniści zaczęli odrywać kryształy od gałęzi życiodrzew, klejnoty pochłaniały niewielkie ilości inteligencji i witalnych sił z otoczenia i oddawały istotom, które je nosiły. Było to zjawisko uboczne i całkowicie nieprzewidziane.

Starzec kiwnął głową.

- Zrywanie kryształów przez kolonistów nie wyrządziło nam żadnej szkody. To, co naprawdę miało jakąś wartość, ukryto we wnętrzach budowli.

- A budynki - ciągnął Calrissian - mogą być największym systemem komputerowym, jaki kiedykolwiek został zbudowany. Kiedy pojawili się tu pierwsi koloniści, ów megakomputer przeszukał ich bazy danych i wyciągnął z nich informację o statku, zaginionym jeszcze w czasach, kiedy nie istniała Republika, a później wykorzystał ją dla zamydlenia nam oczu. Tymczasem Sharowie -którzy przeistoczyli się w Toków - stali się pożałowania godnymi brutalami i dzikusami, rzekomo „ujarzmionymi” na skutek kontaktów z cywilizacją potężnych Sharów.

Jednego tylko nie rozumiem. Czego tak obawiali się wasi pra-praprzodkowie? Jakim cudem mogli być tak potężni i...

- Ja także nie potrafię udzielić ci odpowiedzi na to pytanie, kapitanie. Informacje tę skasowano z naszych baz danych - zapewne z przerażenia. I to właśnie martwi mnie najbardziej.

- Nie dziwię się. Jesteś gotów, Vuffi Raa?

- Chyba tak, mistrzu. Tak, jesteśmy gotowi. Frachtowcem zakołysały następne wstrząsy.

- Mer ponownie próbuje posłużyć się Myśloharfą. Ależ będzie rozzarowany. To pułapka, nieprawdaż, Mohsie?

- Obawiam się, że tak - odparł śmiertelnie poważnie starzec. - Legendy, jakie krążyły wśród mojego ludu, miały zachęcić inteligentne istoty innych ras do wyruszenia na poszukiwania, odnalezienia i posłużenia się Myśloharfą. Miało to dla nas stanowić sygnał, że niebezpieczeństwo minęło i możemy bez obaw wyjść z ukrycia.

- A wówczas wasz gigantyczny system komputerowy miał wypłuć całą wiedzę, gromadzoną w pamięci przez wszystkie tysiąclecia. Znad miast miały zniknąć wszystkie kryjące je budowle... Wygląda na to, że okolica ulegnie sporym zmianom, prawda?

- Nie tylko okolica. Cały system planetarny.

- A kiedy opadną ostatnie drobiny kurzu, na placu boju pozostaną jedynie Sharowie. No cóż, jeżeli przypomnę sobie gubernatora i sposób sprawowania władzy przez kolonistów, niczego i nikogo nie żałuję... może tylko tego, że musieliście czekać aż tak długo. Odlatujemy. Lepiej zejdź na lądowisko, Mohsie. Powiedziałbym, że cieszę się, iż cię poznałem - gdyby nie to, że nie znoszę być oszukiwany i wykorzystywany - czy to przez gubernatorów, czy czarowników, czy też... przedstawicieli na wpół zaginionych cywilizacji.

Rokur Gepta przygotowywał się do osadzenia małej maszyny na płaskim dachu budynku administracyjnego, w którym mieścił się gabinet gubernatora. Jak się spodziewał, na obrzeżach miniaturowego lądowiska stało kilku strażników.

Omiótł ich ogniem pokładowych działek i nie zwracając uwagi na dymiące szczątki, osadził patrolówkę lekko jak piórko. Ziemia ponownie zadrżała i tym razem nie zamierzała się uspokoić. Gepta pospiesznie zbiegł po schodach i skierował się do gabinetu Duttesa Mera.

Jednym pchnięciem otworzył drzwi i przekonał się, że z wnętrza wydobywa się dziwne światło. Niemal natychmiast został odrzucony pod przeciwległą ścianę korytarza przez strumień promieniującej z pomieszczenia energii. Czarownik zmrużył oczy i uciekł się do kilku innych, mających chronić ciało sztuczek, po czym zerknął na blat biurka gubernatora.

Myśloharfa świeciła jak miniaturowe słońce - zbyt jasne, by ktokolwiek - nawet czarownik - mógł się w nie wpatrywać. Za biurkiem, trzymając instrument grubymi łapskami, stał gubernator. Szeroko otworzył usta i oczy. Wyglądał jak sparaliżowany. I zgubiony.

Gepta patrzył, jak Duttes Mer i Myśloharfa stapiają się w całość, a cały gabinet i korytarz wypełniają się śmiertcionośnym promieniowaniem. Zachował tyle przytomności umysłu, by odwrócić się i uciec na dach kołyszącego się budynku, szarpanego kolejnymi, chyba silniejszymi niż wszystkie poprzednie wstrząsami.

Rozejrzał się po okolicy i stwierdził, że oto widzi prawdziwe piekło. Jak okiem sięgnąć, aż po sam horyzont, pozostawione przez Sharów gigantyczne budowle zmieniały kształty, przemieszczały się, topiły jak Myśloharfa albo nawet - tu i ówdzie - bardzo widowiskowo eksplodowały. Spośród zgłiszcz i ruin wyłaniało się coś dziwnego... coś, na co Gepta nawet nie chciał spojrzeć.

Wskoczył do kabiny patrolówki i wystartował, ale zanim wyrównał lot, omal nie runął w przepaść. Kiedy spojrzał w kierunku kosmoportu, ujrzał wznoszący się w zasnuते dymem niebo dziwny kształt, podobny do niezgrabnego kraba. Zaklął.

Obrócił maszynę w powietrzu, a później skierował ją prosto ku „Sokołowi Milenium”. Przyspieszył i zaczął zmniejszać dzielącą go od frachtowca odległość, po czym umieścił kciuk na przycisku spustowym i próbował pochwycić niczego nie spodziewający się statek w nitki, tworzące krzyż celowniczy. Wydarzyły się dwie rzeczy naraz.

Pierwsza na pokładzie „Sokoła”, gdzie inny kciuk spoczął na innym przycisku spustowym.

W kierunku małej maszyny, którą dostrzegł Vuffi Raa, kiedy lądowała na dachu budynku administracyjnego, poszybowały smugi śmiertelnie niebezpiecznego światła. Radarowe czujniki frachtowca funkcjonowały bez zarzutu, a obaj piloci uważali, żeby w kadłub statku nie trafił ani jeden z fruwających w powietrzu odłamków.

Może nie jestem jeszcze dobrym pilotem - pomyślał Calrissian - ale potrafię celnie strzelać.

Niemal w tej samej sekundzie pod pilotowaną przez Geptę patrolówką eksplodował niewielki obelisk Sharów. Kilka małych odłamków trafiło w kadłub maszyny, która zmieniła kierunek lotu, utraciwszy stateczność. Zmusiło to pilota do awaryjnego lądowania, dzięki czemu stateczek uniknął trafienia przez laserową błyskawicę, wystrzeloną przez Calrissiana.

Kilka sekund później czarownik wygramolił się z kabiny wraku. Przyglądał się, jak „Sokół Milenium” bezpiecznie odlatuje, zabierając pełne ładownie bezcennego towaru - ostatnich życiokryształów, zebranych w systemie Rafy. Już wkrótce Lando będzie bardzo, bardzo bogaty.

Gepta uniósł rękę i pogroził pięścią w ślad za pilotem odlatującego frachtowca. Jeszcze kiedyś mu pokaże...

LANDO CALRISSIAN I MYŚLOHARFA SHARÓW

Lando Calrissian dowiaduje się, że w niedostępnych ruinach na jednej z planet systemu Rafa ukryty jest bezcenny skarb – Myśloharfa Sharów. Dzięki niej mógłby odkryć tajemnice wysoko rozwiniętej cywilizacji dawno wymarłego ludu. Wyruszając „Sokołem Millenium” na Rafę Cztery, Lando nie podejrzewa, że padł ofiarą spisku.

Published originally under the title **Lando Calrissian
and the Mindharp of Sharu**
by Ballantine Books

© 1983 Lucasfilm Ltd. &™, All Rights Reserved.
Used Under Authorization.

ISBN 83-7169-820-8



Cena det. zł 16,80

